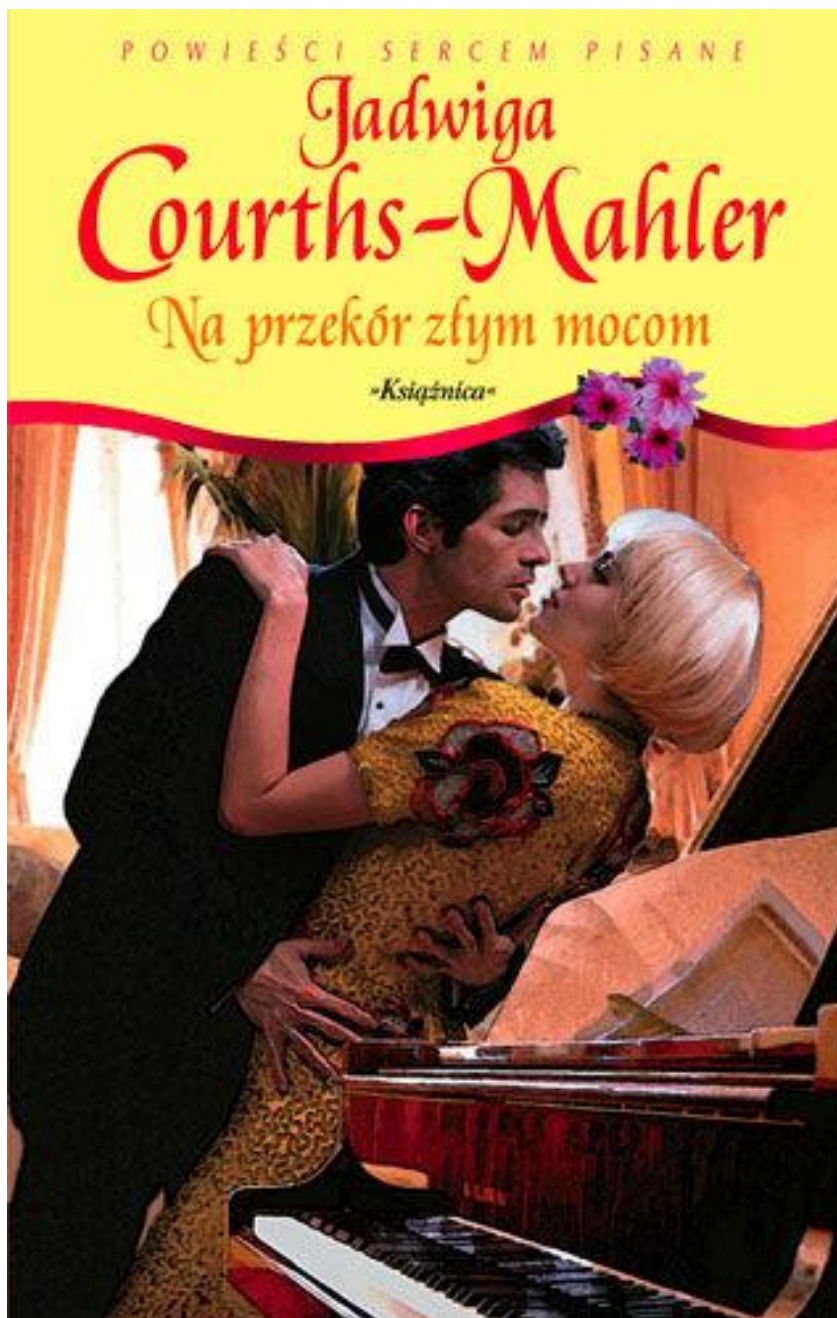




Jadwiga Courths-Mahler Na przekór złym mocom

Przełożyła Izabella Korsak



Lora Darland przymocowała jeszcze jeden kwiat ze srebrnego brokatu do sukni, którą właśnie skończyła szyć dla swojej urodziwej siostry przyrodniej.

— No już, Hildo, gotowe! Jak ci się podoba?

Hilda Hartung okręciła się przed lustrem, patrząc z zadowoleniem na swoje odbicie. Pytanie Lory zbyła milczeniem. Nie podziękowała jej też ani słowem za ciężką pracę nad kolejną kreacją. Rzucając siostrze zalotne spojrzenie, odezwała się w końcu:

— Powiedz, jestem ładna?

Lora cichutko westchnęła, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Przecież dobrze wiesz, że jesteś ładna. Ale ty musisz kokietować wszystkich dookoła, nawet własną siostrę. Pytałam, czy podoba ci się ta suknia.

— Tak, Loro! Wszystko, do czego się bierzesz, robisz dobrze. A suknia wygląda jak z salonu mód. Zresztą inaczej bym jej nie włożyła. Ale powiedz wreszcie: jestem ładna?

— Dobrze już, Hildo. Jesteś bardzo, bardzo ładna. I wyglądasz prześlicznie jak zawsze — przyznała Lora szczerze i bez cienia zawiści.

Hilda pociągnęła ją ku sobie, tak że obie znalazły się przed lustrem. Lora również wyglądała bardzo powabnie w skromnej, ale wytwornej białej sukni, którą oczywiście własnoręcznie uszyła. O tym jednak nikt nie wiedział. Żywa dusza nie powinna domyślić się, że córka profesora Darlanda szyje sobie wszystkie suknie sama i że obszywa także przyrodnią siostrę i macochę. Hilda bowiem spaliłaby się ze wstydu, gdyby ludzie wiedzieli, że nosi suknie szyte własnymi siłami w domu.

Owszem, Lora też była ładna i elegancka — biała suknia spływająca w dół miękkimi fałdami z wysoko wszytego stanu, podkreślając dziewczęcą smukłość sylwetki; delikatną, miłą twarz otaczały włosy o osobliwym orzechowym odcieniu, a ciemne, brunatne oczy były wręcz prześliczne. Nikt jednak nie był w stanie tego docenić, kiedy stała obok swej fascynująco pięknej siostry przyrodniej.

Wtedy cały subtelny, spokojny urok Lory gasł. Hilda wiedziała o tym i w swej bezmiernej próżności lubiła używać siostry jako tła dla swej urody nawet wtedy, kiedy były zupełnie same.

Lora знаła ją na wylot. Wiedziała, że jak zwykle syci się teraz swoją przewagą, znajdując się o wiele piękniejszą i bardziej ponętną niż siostra. Lora nie czuła się tym jednak dotknięta. Uśmiechała się pobłaźliwie.

— I jak, Hildo? Stwierdziłaś raz jeszcze, że ani się do ciebie umygam?

Hilda roześmiała się.

— Ach, wiesz! Dzisiaj zależy mi szczególnie na tym, żeby wszystkie inne zakasować!

— Dlaczego właśnie dzisiaj? — spytała Lora, starając się ukryć lekki niepokój.

Hilda skubnęła brokatowy kwiat przy sukni.

— Bo dzisiaj wszystko się rozstrzygnie; dzisiaj Richard Sundheim musi nareszcie oświadczyć się.

Lora szybko odwróciła pobladłą nagle twarz.

— Czy ty go kochasz, Hildo? — spytała głosem ochryłym od tłumionego wzburzenia.

Hilda wybuchnęła ostrym, zimnym śmiechem.

— Nonsens! Na pewno nie umrę, jeśli tego nie uczyni. Ale Sundheim jest dystyngowanym, interesującym mężczyzną i wszystkie kobiety na niego lecą. To oczywiście mnie podnieca, ale rzeczą zasadniczą jest to, że on ma dziedziczyć po swoim bogatym stryju. I tylko to liczy się naprawdę.

— Och, tylko to? Rzeczywiście tylko to, Hildo? — westchnęła Lora.

— Tak, cielaczku! Chcę wydobyć się z tej całej mizerii i zrobić wspaniałą partię, której wszyscy będą mi zazdrościli. To wszystko. Sundheim musi się jednak dziś zdeklarować; nie mogę dłużej zwodzić tamtego.

— Hildo!

Hilda parsknęła śmiechem na ten rozpaczliwy okrzyk i spojrzała na bladą twarz siostry.

— Wyglądasz na przerażoną. Jesteś rzeczywiście cielątkiem, które nigdy nie nauczy się, jak postępować w życiu. Co cię tak bulwersuje?

Lora odgarnęła drżącą ręką włosy z czoła.

— Dlaczego nie wybierzesz od razu tamtego drugiego? Miałaś na myśli Frankensteina, prawda? On już jest bogaty, nie musi czekać na spadek i nie kryje się z tym, że cię kocha.

Hilda ponownie okręciła się z zadowoloną miną przed lustrem.

— Trzymam go w odwodzie, na wypadek, gdyby Sundheim nie oświadczył mi się. Jeśli chodzi o Frankensteina, to wiem, że wystarczyłoby moje skinienie, ale on budzi we mnie odrazę, a Sundheim mi się podoba. No i jego wszystkie by mi zazdrościły. Gdybym wybrała Frankensteina, też by mi zazdrościły, ale tylko jego bogactwa, nie zaś osoby. Dlatego wolę Richarda, chociaż on dopiero kiedyś otrzyma spadek. A do tego czasu, to znaczy, dopóki stary nie umrze, i tak będziemy wieść dostatnie życie w Gorin. Sundheim świetnie się prezentuje i jest dżentelmenem w każdym calu. Tylko za długo zwleka z oświadczeniami. Pewnie ze względu na stryja. Żeby ten stary wreszcie umarł!

Lora spojrzała zdumiona.

— Co ty mówisz, Hildo? Jak możesz komuś życzyć śmierci!

Hilda wzruszyła ramionami.

— Nie umrze od tego. Ten stary jest przecież tylko zawadą. Dzisiaj zresztą ma przyjść na bal; Richard mówił o tym. Myślę, że to z mojego powodu — stary pewnie chce poznać mnie osobiście. Richard wyznał już wszystko stryjowi: że mnie kocha i chce ożenić się ze mną; wywnioskowałam to z jego napomknięć. Więc on postanowił mnie obejrzeć, zanim da swoje błogosławieństwo. Teraz już rozumiesz, czemu chcę być dzisiaj szczególnie piękna. Trzymaj za mnie kciuki, Loro, bo dziś rozstrzygnie się, czy zostanę panią Sundheim, czy też panią Frankenstein. I zapamiętaj sobie, że należy zawsze trzymać dwie sroki za ogon.

Lora opuściła bezsilnie ramiona, powstrzymując gorzkie łzy. Wiedziała, biedaczka, że Richard Sundheim niestety właśnie w Hildzie upatruje swoje

szczęście, choć na pewno nie będzie szczęśliwy u jej boku. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, do pokoju weszła pani profesorowa Darlandowa — matka Hildy, a macocha Lory.

— Jesteście gotowe? — zapytała.

— Tak, mamó — odparła Lora. — A ojciec?

— Już na nas czeka. Pospieszcie się, weźcie płaszcze.

— Ale wpierw obejrzyj mnie, mamó! Jak wyglądam? — powiedziała Hilda, okręcając się przed matką.

Profesorowa z dumą popatrzyła na córkę.

— Prześlicznie, Hildo. Suknia jest wspaniała. Ten świetlisty błękit podkreśla twoją urodę blondynki.

Zadowolona Hilda zarzuciła na siebie jedwabny, uszyty również przez Lorę, płaszcz dobrany świetnie odcieniem błękitu do sukni. Profesorowa, wiedzona poczuciem obowiązku, spojrzała teraz taksującym wzrokiem na Lorę.

— O, Boże! Czy nie mogłabyś przypiąć czegoś kolorowego? Choćby jakiegoś kwiatka? Masz bladą cerę, a do tego ta jednolicie biała suknia! Powinnaś ożywić tę bezbarwną całość czymś kolorowym. Żywe kolory są teraz modne.

— Nie trzeba, mamó. I tak nikt nie zwróci na mnie uwagi.

— I będziesz sama sobie winna, Loro. Jesteś przecież ładną dziewczyną, elegancką i szykowną. A jeśli nawet nie dorównujesz Hildzie urodą, to i tak mogłabyś mieć wielkie powodzenie u panów, gdybyś tylko była trochę bardziej przystępna, odrobinę wychodząca naprzeciw...

Lora uśmiechnęła się cierpko.

— Takie wychodzenie naprzeciw nie leży w mojej naturze, mamó.

— Mój Boże, w dzisiejszych czasach nigdy tego za wiele, jeśli dziewczyna nie chce zostać starą panną. Z Hildą nie możesz się porównywać. Ona ma w sobie to coś, co pociąga mężczyzn, więc nic nie musi robić, żeby ich zdobywać. Ale ty powinnaś dołożyć starań, jeśli chcesz wyjść za mąż.

Na twarzy Lory odmalował się wyraz udreki. Tego rodzaju uwagi macochy były jej niewymownie przykre.

— Nie spiesz mi się, mamó — odparła nieco szorstko.

— Wybacz, Loro, ale mając dwadzieścia dwa lata nie ma się już zbyt wiele czasu do namysłu.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, profesorowa wyszła z pokoju razem z Hildą. Lora szybko narzuciła na siebie ciemny płaszcz i podążyła za nimi. Ojciec czekał już w wąskim przedpokoju. Wyglądał na zmęczonego i przepracowanego, ale tylko Lora to zauważyła.

— Jesteście nareszcie gotowe? Auto czeka już od dawna, a to przecież kosztuje.

— Ojej, papa jest zawsze w złym humorze, kiedy gdzieś musi z nami wyjść — powiedziała Hilda kpiąco.

Lora położyła ojcu dłoń na ramieniu.

— Wybacz, ojcze, że musiałeś na nas czekać. Pewnie pracowałeś do ostatniej chwili, bo wyglądasz na bardzo zmęczonego.

Profesor Darland spojrział na nią i jakby się uspokoił. Po śmierci pierwszej żony ożenił się był powtórnie — z wdową mającą córkę prawie w tym samym wieku co Lora. Dwunastoletnia dziewczynka od samego początku ustosunkowała się bardzo przyjaźnie do macochy i przyrodniej siostry, chcąc utrzymać w domu spokój i życzliwą atmosferę. Nikt jednak nie podejrzewał, jak bardzo jej uczuciowa i delikatna natura cierpi w zetknięciu z chłodnym, zdawkowym traktowaniem jej przez Hildę i jej matkę. Lora z nikim nie rozmawiała na ten temat, zwłaszcza z ojcem, którego bardzo kochała.

Profesor Darland, jak tyłu innych, stracił w wyniku inflacji cały kapitał, który w swoim czasie skusił jego drugą żonę do poślubienia go. Razem z utratą majątku stracił również bardzo na znaczeniu w oczach żony i Hildy, chociaż troszczył się o ich byt ze wszystkich sił. Obecnie skazany był wyłącznie na swoją pensję profesora gimnazjum, a ponieważ miał już pięćdziesiąt osiem lat, czekała go w niedługim czasie emerytura i związane z nią dalsze zmniejszenie dochodów. To przysparzało mu wiele trosk, gdyż żona i pasierbica były bardzo wymagające. Profesor Darland szukał dodatkowych źródeł zarobku, publikując pod

pseudonimem artykuły w czasopiśmie naukowych. Nie chcąc zaniedbywać swoich podstawowych obowiązków w gimnazjum, pracował bez wytchnienia i ponad siły. Lora martwiła się tym i próbowała mu pomagać wszędzie tam, gdzie to było możliwe.

Przed dwoma laty odziedziczyła po swej ciotce — rodzonej siostrze matki — niewielki spadek. Okazało się bowiem, że ciotka, która wyszła za mąż w Holandii i tam zmarła, nie pozostawiła po sobie potomstwa. Tak więc Lora weszła w posiadanie dwudziestu pięciu tysięcy guldenów, czyli około czterdziestu tysięcy marek, i ilekroć widziała, że ojciec boryka się z brakiem gotówki, proponowała mu pomoc finansową. Profesor Darland zawsze jednak zdecydowanie odmawiał:

— To twoje pieniądze, dziecko. A ja jestem zadowolony, że masz na czarną godzinę jakąś sumkę. Może będziesz kiedyś bardzo jej potrzebowała, bo obecnie trudno jest dziewczynie o męża, który jest w stanie zapewnić rodzinie byt. Poczytywałbym sobie za ujmę przyjęcie choćby feniga z twojego spadku. I tak bardzo mnie odciążasz, pokrywając z odsetek wszelkie wydatki na swoją garderobę i inne potrzeby. Dzięki temu mogę teraz myśleć wyłącznie o potrzebach mamy i Hildy, chociaż ty miałabyś większe prawa do mojej troski niż Hilda, która jest w końcu tylko moją pasierbicą.

Nie mogąc skłonić ojca do przyjęcia pieniędzy i bolejąc nad jego uciążliwą walką o to, by sprostać wymaganiom żony i jej córki, Lora starała się na różne sposoby odjąć mu bodaj część trosk. Robiła więc użytek ze swoich talentów krawieckich, szyjąc piękne suknie według najnowszej mody, przepisywała na maszynie rękopisy ojca i pomagała mu we wszystkim; pilnowała też, aby przy tej wyteżonej pracy nie zapominał o posiłkach. Jej dni wypełnione były szczerze różnego rodzaju obowiązkami, nie wyłączając krzątania wokół domowego gospodarstwa. Macocha i Hilda nie kwapiły się do tych zajęć i nieustannie obarczały Lorę dodatkowymi sprawami, zamiast starać się jej pomóc.

Lora wzięła ojca pod ramię i z czułością podprowadziła do auta, w którym siedziały już profesorowa i Hilda. Wkrótce potem taksówka zajechała przed budynek „Zgody”. Do klubu tego należały wszystkie liczące się w mieście rodziny, a wielki bal, który „Zgoda” urządzała co roku obok innych uroczystości i spotkań, był bez wątpienia najdonioślejszym wydarzeniem towarzyskim sezonu zi-

mowego. Jeśli ktoś chciał cokolwiek znaczyć, musiał pokazać się na balu „Zgody”.

Na szerokich, marmurowych schodach panował już ożywiony ruch. Kiedy po oddaniu okryć w szatni profesor Darland wkroczył ze swoimi paniami do wielkiego westybulu, Hildę otoczyło od razu grono młodych ludzi. Prym wodził między nimi wysoki, postawny mężczyzna około czterdziestki, o czerwonawej, nieco pospolitej twarzy i głośnym, jowialnym sposobie bycia. Był to Ernst Frankenstein, bogaty fabrykant jeżdżący wyłącznie własnym samochodem, posiadacz pięknej, krytej piaskowcem willi stojącej tuż przy miejskim parku, najbardziej pożądanym kandydatem na męża w całym mieście. Jak dotąd żadnej damie nie udało się zagrozić poważnie jego wolności — żadnej, oprócz Hildy Hartung.

Lora ginęła w całym tym zamieszaniu prawie nie zauważana. Stała u boku ojca i spokojnie obserwowała ruch wokół Hildy. Wśród wielbicieli siostry nie było jeszcze Richarda Sundheima, o którym wiedziała, że przyjdzie w towarzystwie stryja znacznie później. Stary pan Sundheim, bogaty właściciel ziemski, był oryginałem i z zasady nie brał udziału w tłumnych spotkaniach towarzyskich. Zapowiedział też bratankowi z góry, że pojawi się na balu już po bankiecie i że zasiądzie w balkonie na galerii, gdzie nie jest tłoczno, bo nie ma najmniejszej ochoty nudzić się w balowym rozgardiaszu.

Lorę zabolaloby, gdyby wśród tłoczących się wokół Hildy adoratorów zobaczyła teraz Richarda Sundheima, ale wiedziała, że i tak nic nie zostanie jej oszczędzone, nawet jeśli młody człowiek zjawi się dopiero po kolacji. Pokochała Richarda ze wszystkich sił od chwili, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. O tym jednak nie wiedział nikt, bo zamknęła tę miłość na dnie serca. Jej uczuć nie domyślał się nawet on sam, ledwie zauważając Lorę koło jej pięknej siostry, która wzbudziła w nim gwałtowną namiętność.

Wielbiciele Hildy zaczęli teraz na wypródki prosić o przywilej poprowadzenia jej do stołu, ale ona rzuciła pełne kokieterii spojrzenie w stronę postawnego fabrykanta i powiedziała:

— Jeśli dobrze pamiętam, obiecałam to już panu Frankensteinowi...

Był to wprawdzie zwykły wybieg, ale Ernst Frankenstein nie należał do mężczyzn marnujących szansę. Potoczył więc dokoła zwycięskim spojrzeniem i skwapliwie przytaknął:

— W rzeczy samej, panna Hartung wyświadczyła mi ten zaszczyt.

Hilda udawała, że wierzy we własne słowa. To posunięcie do niczego jej nie zobowiązywało, pozwalało natomiast przy stole zarzucać spokojnie sieci na Frankensteina, gdyż Richarda i tak wtedy nie będzie. W tym postanowieniu była wierna swej zasadzie trzymania dwóch srok w garści. Wszak po kolacji będzie mogła zająć się nie podejrzewającym niczego Sundheimem, nie dając zarazem Frankensteinowi powodu do utyskiwań, że go zaniedbuje. W każdym razie jednego z nich musi upolować! Reszta adoratorów nie wchodziła w rachubę — żaden nie był dostatecznie bogaty. Byli jednak pożyteczni jako efektowny sztafaż.

Podczas kiedy Hilda kokietowała przy stole Ernsta Frankensteina, i pozbawiając go resztek rozsądku, a przy tym nie wiążąc się żadnym nieopatrzonym słowem, Lora siedziała blada i spokojna na swoim miejscu i prowadziła mimo roztargnienia uprzejmą rozmowę z pewnym młodym inżynierem, który przywiódł ją do stołu. Spoglądając niespokojnie to na Hildę, to na drzwi wejściowe ujrzała nareszcie, tuż przed zakończeniem kolacji, Richarda Sundheima w towarzystwie stryja. Obaj panowie weszli do sali niepostrzeżenie, jedynie Hilda i Lora odnotowały ich przybycie i zauważyły, że Richard skierował stryja niezwłocznie w stronę znajdujących się tuż przy wejściu schodów na balkon. Starszy pan wspierał się na lasce, a bratanek podtrzymywał go troskliwie z drugiej strony.

Lora poczuła kołaczące w gardle serce, ale nikt nie zauważył jej podniecenia.

Kiedy biesiadnicy wstawali od stołu, a liczna służba sprawnie przygotowywała salę balową, Richard Sundheim podszedł do Hildy z rozjaśnioną twarzą. Lora uchwyciła jego spojrzenie i uśmiech siostry. Po chwili Richard podał Hildzie ramię i poprowadził ją do bocznego pomieszczenia. Stojący w pobliżu Ernst Frankenstein obserwował tę scenę z miną kogoś, kto spadł z obłoków na ziemię.

Lora wiedziała, że teraz dojdzie do decydującej rozmowy między Richardem a Hildą. Z ciężkim, bijącym gwałtownie sercem zebrała wszystkie siły, żeby zapanować nad sobą i móc dalej prowadzić rozmowę z obojętnymi jej ludźmi.

Przez salę sunęły w takt muzyki pary taneczne, a na podwyższeniu pod ścianami siedziały matki i kilku ojców, przyglądając się tańcom młodzieży. Przyległe do sali boczne pomieszczenia były również pełne gości. Jedynie w górze, na balkonie, było pustawo; czasem tylko ktoś tam wszedł, aby rzucić okiem na tańczących.

Panu Sundheimowi seniorowi nikt zatem nie przeszkadzał. Mógł w całkowitym spokoju obserwować toczące się na dole ruchliwe życie, ale jego oczy nie mogły oderwać się od pewnej szczególnie go interesującej młodej pary, zwłaszcza od tańczącej dziewczyny. Piękną tancerką była Hilda Hartung, a jej świetnie prezentującym się partnerem — Richard Sundheim, który miał tak rozpromienioną szczęściem twarz, że starszy pan uśmiechnął się drwiąco, obserwując go z góry.

Sam przekroczył już dawno wiek, w którym kobieta może być dla mężczyzny niebezpieczna. Dla niego zresztą nigdy nie stanowiły one niebezpieczeństwa — być może dlatego, że nie miał do nich zbytniego szczęścia. Chorobliwie żółtawa twarz starszego pana wzdrygała się nerwowo od czasu do czasu, a ręce wspierały się mocno na lasce nawet teraz, kiedy siedział. W sumie Sundheim senior sprawiał wrażenie kostycznego pedanta o mało życzliwym usposobieniu.

W stronę młodej pary, z której nie spuszczał oczu, biegły także spojrzenia innych uczestników balu. Jego uwagi nie uszło, że Hilda Hartung rzucała zalotne spojrzenia i uśmiechy również innym młodym mężczyznom. Na twarzy starszego pana pojawiła się złośliwa satysfakcja, a wąskie wargi, opadające kącikami w dół, zacisnęły się jeszcze mocniej.

Ernst Frankenstein stał w drzwiach prowadzących do bocznego pomieszczenia i śledził wzrokiem Richarda Sundheima tańczącego z Hildą. W jego sercu szalała wściekła zazdrość. Hilda rzucała mu w przelocie uwodzicielskie spojrzenia, ale to nie było dla niego żadną pociechą. Wiedział, że Richard ma większe szanse. Powędrował spojrzeniem ku górze, w stronę starego Sundheima, którego zauważył wchodzącego z bratankiem.

„A oto i bogaty stryjaszek!” — pomyślał ze złością.

I nagle w jego oczach błysnęła decyzja. Hilda powiedziała mu ze śmiechem przy stole, że stary Sundheim — pan na Gorin — przybędzie jeszcze tego wieczoru na bal, gdyż Richard pragnie przedstawić ją stryjowi. Powiedziane to było

lekkim tonem, ale Frankenstein wiedział, w czym rzecz. Wiedział też, że nie będzie mógł żywić nadziei na zdobycie Hildy, dopóki Richard Sundheim nie zostanie unieszkodliwiony jako rywal. Teraz zdecydował się to uczynić, gdyż był zakochany w Hildzie do szaleństwa — zakochany tak bardzo, że chciał złożyć jej w ofierze swoją tak długo bronioną wolność.

Tajemnicą poliszynela było, że Richard Sundheim będzie jedynym spadkobiercą swego stryja i że jest całkowicie od niego zależny. Dzięki takim widokom na przyszłość stanowił świetną partię. I tylko on mógł równać się z Frankensteinem, który zdawał sobie sprawę z tego, że Hilda chce sprzedać się jak najdrożej. To jednak w niczym nie umniejszyło siły jego uczuć. Sam należał do natur mało subtelnych i delikatnych, więc nawet trudno byłoby mu pojąć, że tak piękna dziewczyna jak Hilda nie rozgląda się za odpowiednią oprawą dla swej urody. A w tym mieście oprawę taką mógł jej zaofiarować tylko on — lub Richard Sundheim, jeżeli otrzyma spadek po stryju.

Jeżeli!

To „jeżeli” było niczym nagła światłość i natchnienie. Ernst Frankenstein ułożył błyskawicznie plan unieszkodliwienia rywala. Nie znał starego Sundheima — zobaczył go dziś po raz pierwszy — tamten również go nie znał, i na tym właśnie oparł swój plan.

Bez dalszego zastanawiania się przemierzył chyłkiem salę i dotarł do schodów prowadzących na balkon. Tam usiadł niby przypadkiem w łoży zajętej przez Heinricha Sundheima, ale w pewnej odległości za nim, tak żeby nikt z dołu nie mógł go zauważyć.

Heinrich Sundheim z miną mało zachęcającą obejrzał się za natrętem zakłócającym mu samotność. Ernst Frankenstein złożył ukłon, wymamrotał niewyraźnie jakieś nazwisko i zagadnął w najbardziej ujmujący sposób jak potrafił:

— Czy pozwoli pan, że przysiadę się na chwilę i popatrzę na tańce?

Starszy pan odsunął się trochę.

— Proszę, ta łoża jest dla każdego, tak samo jak wszystkie pozostałe odparł zrzedliwym tonem, myśląc przy tym, że intruz mógłby równie dobrze usiąść gdzie indziej.

Ernst Frankenstein przybrał minę niefrasobliwie przyjacielską.

— Na górze są takie pustki, że pozwoliłem sobie usiąść obok pana. Człowiek chciałby czasem zamienić z kimś słowo, kiedy na coś patrzy.

Heinrich Sundheim burknął sobie w brodę coś niezrozumiałego. Nie po to tu przyszedł, żeby gawędzić z jakimś nieznanym, ale po to, żeby nareszcie zobaczyć tę pannę Hartung, którą jego bratanek tak urzekająco barwnie opisywał. Richard miał przedstawić mu tę pannę w trakcie balu, ale dopiero po przyjrzeniu się jej na odległość. Dlatego Richard powiedział stryjowi, że Hilda wystąpi w niebieskiej toalecie, i podał, na które tańce jest z nią umówiony.

Ernst Frankenstein nie dał się odstraszyć szorstkim zachowaniem starego i konsekwentnie trzymał się swojego planu.

— Wie pan, tkwiąc tam, na sali, widzi się niewiele; stąd można lepiej wszystko obserwować.

— Pan przecież jest za młody, żeby zadowalać się samą tylko obserwacją.

— Ale dostatecznie stary, żeby nie musieć cały czas brać w tym udział. Wolę raczej przyglądać się, zwłaszcza jeśli ktoś dobrze tańczy. A tutaj jest kilka par, które tańczą znakomicie.

— Ach, te modne tańce! Za czasów mojej młodości tańczono inaczej — rzucił starszy pan z irytacją.

Frankenstein roześmiał się z pozorną bez troską.

— Ja też co prawda wolę walca, ale czasem przyjemnie jest popatrzeć, jak tańczą inni. O, proszę! Niech pan zwróci uwagę na tę piękną młodą parę: damę w niebieskiej sukni ozdobionej srebrzystym kwiatem tańczącą ze szczupłym, eleganckim młodzieńcem. Piękna para! I tańczą znakomicie, nie uważa pan?

— Hm, tak, bardzo ładnie — mruknął starszy pan, nie wyjaśniając ani słowem, że ów szczupły elegancki młodzieniec to jego bratanek, a dama w niebieskiej sukni to panna Hartung, którą tenże bratanek ma zamiar poślubić.

Frankenstein nie oczekiwał wyjaśnień — pokrzyżowałoby mu to plany, gdyby starszy pan dał coś po sobie poznać. Ciągnął więc z udawaną obojętnością dalej:

— To w ogóle jest ciekawa para. Chcą się pobrać, ale bogaty stryjasek tego młodego człowieka, jakiś okropny staruch, ciągle jeszcze żyje, a oni oboje nie mogą doczekać się jego śmierci.

Heinrich Sundheim drgnął lekko. Gdyby nawet miał zamiar wtrącić, kim jest dla niego ów młody człowiek, to teraz zachowałby ten szczegół przy sobie. Na jego twarzy pojawił się wyraz dziwnego napięcia; skrzywił się jeszcze bardziej, ale spytał ze sztuczną swobodą:

— Ach, tak! To znaczy, że ten bogaty stryjasek stoi mu na przeszkodzie?

Frankenstein zauważył z ulgą, że stary Sundheim nastawił uszu.

— Właśnie! Ten młody człowiek, niejaki pan Sundheim, jest moim znajomym i sam mi o wszystkim opowiadał. Jego stryj to stary głupiec i absolutny mi-zantrop, a przy tym despota i zrzęda. Trzyma bratanka żelazną ręką i strasznie go tyranizuje, więc trudno mieć młodemu za złe, że czeka na śmierć stryjaska. Dopiero wtedy będzie mógł wprowadzić do domu tę piękną młodą damę. Inaczej ona się od tego wymówi, żeby uniknąć kurateli starego. Na pewno będzie wolała od razu sama zostać panią całego majątku. Rzecz w tym, że wszystko należy do stryja. On ma również duże kapitały, ale bratankowi okropnie skąpi pieniędzy. No cóż, bogaci krewni mają to do siebie, że siedzą na workach złota, a swoim spadkobiercom każą czekać do Sądnego Dnia. W tym wypadku jednak stryjasek ciągle niedomaga, więc młodzi mają nadzieję, że długo już nie pociągnie. Naprawdę nie można mieć za złe Richardowi, że marzy o śmierci stryja, bo przecież ten stary stoi na drodze jego szczęścia.

W oczach Heinricha Sundheima zamigotał niedobry błysk. Postanowił wysłuchać nieznanego do końca, żeby zgłębić całą nikczemność bratanka.

— Czy to jednak nie dowodzi zupełnego braku serca u tego młodzieńca, że pragnie śmierci starego człowieka?

Frankenstein zauważył z zadowoleniem, że ryba połknęła haczyk. Teraz będzie można podjudzać Sundheima seniora jeszcze bardziej.

— A czegoż można oczekiwać, jeżeli ktoś jest zakochany i musi wybierać między piękną dziewczyną a starym, przykrym stryjem? Ja rozumiem Richarda, że chciałby jak najszybciej ożenić się i nie narażać młodej żony na życie pod wspólnym dachem ze starym despota.

— Hm-hm, i ten młody człowiek tak po prostu zwierzył się panu ze swych spraw?

— Tylko w najgłębszej tajemnicy, rzecz jasna. Właściwie nie powinienem o tym mówić... Ale pan jest obcy w naszym mieście, inaczej bym pana znał; my tu wszyscy znamy się między sobą. A pan też chyba nie ma tu nikogo, skoro siedzi pan tak samotnie.

— Ma pan rację, jestem tu tylko przejazdem. Mieszkam w pobliskim hotelu i przyszedłem popatrzeć chwilę na zabawę.

Frankenstein triumfował po cichu.

— Tak właśnie myślałem. Nie powinien pan jednak zbyt surowo osądzać mojego znajomego. On jest poza tym czarującym młodym człowiekiem, a to, że nienawidzi swojego stryja, można zrozumieć, bo go do tego doprowadzono. Jeśli zaś nienawidzi się kogoś całym sercem, to i życzy mu się odpowiednio. Tak to już jest na tym świecie, że starzy są dla młodych zawadą, a świat nie bardzo wie, co ze starymi począć.

Twarz starszego pana zadrgała konwulsyjnie.

— A więc ten bogaty stryj, któremu ci młodzi tak gorąco życzą śmierci, jest całkowicie zbyteczny?

— Całkowicie! Nie może nic lepszego zrobić, jak przenieść się do wieczności, zostawiając bratankowi cały majątek. Ostatecznie po to istnieją na świecie bogaci stryjaskowie.

Starszy pan błysnął ponurym spojrzeniem w stronę rozmówcy.

— Proszę nie zapomnieć, że pan również kiedyś się zestarzeje i być może zostanie bogatym stryjaskiem.

— Wykluczone! Postaram się mieć dzieci, którym będę mógł zostawić majątek.

Obaj panowie tak byli pogrążeni w rozmowie, coraz żywszej i gorętszej, że nie spostrzegli wchodzącej po schodach młodej, smukłej damy w białej sukni. Lora Darland stwierdziła ze zdumieniem, że Ernst Frankenstein dotrzymuje towarzysztwa staremu panu Sundheimowi. Spotkanie tutaj Frankensteina nie sprawa-

wiło jej przyjemności — uważała go za człowieka wyjątkowo niesympatycznego — natychmiast więc zawróciła i zeszła z powrotem do sali balowej.

Lora nie należała do dziewcząt, o które panowie dobijają się, prosząc je do tańca. Jej spokojny i powściągliwy sposób bycia nie zachęcał zbytnio młodych mężczyzn, a jej też nie zależało, żeby kręcić się w tańcu z kimś obojętnym. Przywykła przy tym od dawna, że musi zawsze trzymać się skromnie z tyłu, za swoją piękną, atrakcyjną siostrą przyrodnią. A na balkon poszła, skoro tylko zorientowała się, że chronią się tam ci nieliczni, którzy tak jak ona nie są spragnieni tańców.

Marzyła o jakimś spokojnym kącie, gdzie będzie mogła bez przeszkód pogрузić się w swoich niewesołych rozmyślaniach. Było jej bardzo ciężko na sercu. Musiała patrzeć, jak Richard tonie spojrzeniem w oczach Hildy, jak niemal pijany szczęściem całuje ją w rękę. Wielki Boże, jak on ją kochał! A ona? Ona łaskawie pozwalała się uwielbiać, nie odwzajemniając jego uczuć. Zimna i bez serca, pochlebiona jedynie w swojej próżności, stała na wprost niego i nawet w tej chwili biła się z myślami, komu oddać się na własność: jemu czy Frankensteinowi?

Lora była ostatecznie zgnębiona. Życzyłaby siostrze szczęścia u boku Richarda, gdyby wiedziała, że Hilda rzeczywiście go kocha. Nawet gdyby miała bardzo cierpieć, pociechą byłaby myśl, że Hilda da Richardowi szczęście. On powinien być szczęśliwy, a tego przy Hildzie nie osiągnie — na tyle zdążyła go już poznać. Hilda była tak bezgranicznie interesowna, kochająca tylko siebie, patrząca na każdą sprawę wyłącznie od strony własnych korzyści i tak bardzo zimna, że Richard Sundheim któregoś dnia ją przejrzy, ale wtedy będzie już za późno. Lora była tego całkowicie pewna i to legło jej ciężarem na sercu, ponieważ nie mogła uchronić Richarda przed fałszywym krokiem.

Nie zastanawiając się dłużej, o czym obaj panowie debatują tak żywo, wycofała się pospiesznie w obawie, że Frankenstein ją zagadnie, a może nawet zapozna ze stryjem Richarda. A to z pewnością Hilda miałaby jej za złe.

Zadowolona, że zdołała wymknąć się niepostrzeżenie, poszła do macochy, która na szczęście zajęta była rozmową z kilkoma starszymi paniami. To zaoszczędziło Lorze wysłuchiwanie cierpkich rad, co powinna robić, aby panowie prosili ją do tańca. Poszukała wzrokiem Hildy i Richarda: właśnie szli przez salę, pogrążeni w rozmowie i bardzo sobą zajęci.

Orkiestra zaczęła znowu grać. Lora zobaczyła, że Frankenstein wynurzył się nagle tuż przy nich i poprosił Hildę do tańca, zapewne już wcześniej obiecanego, bo Hilda pożegnała Richarda uśmiechem i poszła z Frankensteinem, który zdążył już tymczasem wsączyć jad w duszę starszego pana i opuścić go pod pretekstem obowiązków towarzyskich.

Richard zniknął gdzieś w tłumie, a kiedy Lora próbowała wytropić go wśród gości, stanął przed nią nieoczekiwanie i poprosił do tańca. Dziewczyna drgnęła zaskoczona, ale natychmiast podniosła się, już opanowana i spokojna. Wiedziała, iż Richard podszedł do niej tylko dlatego, że była siostrą Hildy; inaczej w ogóle by jej nie zauważył. Bolesny uśmiech przemkał po jej twarzy. Richard dostrzegł go i po raz pierwszy przyjrzał się Lorze baczniej. Instynktownie uważał ją za osobę bardzo miłą, ale uczucie do Hildy pochłaniało go bez reszty, usuwając z pola widzenia wszystkie inne kobiety i nie pozwalając poświęcić im nic poza przelotnym spojrzeniem. Jednakże myśl, że będzie miał tak uroczą szwagierkę, sprawiła mu przyjemność i skłoniła do zwierzeń.

— Widziałam, jak wchodził pan na salę w towarzystwie starszego pana; to, zdaje się, pański stryj? Nie widuje się go u nas w mieście, więc stąd moje domysły — powiedziała Lora, zmuszając się do rozmowy na obojętny temat.

— I ma pani rację. Nareszcie udało mi się wyciągnąć stryja z jego twierdzy. Nie będę taił przed panią, że przyświecał mi przy tym określony cel. Powiedziałem mu, że kocham Hildę i pragnę ją poślubić. Ale ponieważ jestem od stryja zależny, nie chciałem zaręczyć się oficjalnie, zanim choćby raz nie zobaczy mojej przyszłej żony i zanim będzie mi wolno przedstawić ją stryjowi. Po ślubie zamieszkamy z Hildą w Gorin, w domu stryja, więc jestem mu winien wszelkie względy.

— To oczywiste — odparła Lora, usiłując zachować spokój.

— No właśnie. Hilda dała mi dzisiaj swoje słowo i jestem bardzo szczęśliwy. Po tym tańcu, który obiecała panu Frankensteinowi, chcę ją zaprowadzić do stryja i przedstawić mu ją jako swoją narzeczoną. Stryj

siedzi na balkonie, bo nie mógł zdecydować się na przebywanie w tłumie gości. On prawie stale trochę niedomaga i żyje w odosobnieniu, więc to z jego strony wielkie poświęcenie, że przyszedł tu ze mną.

— Nie wątpię, że to rzeczywiście była ofiara. Dla starszych ludzi taki bal jest mniejszą lub większą mordęgą. Mój ojciec też się poświęca, kiedy musi nam gdzieś towarzyszyć.

— A więc rozumie pani mojego stryja. To dziwak, aleja mam wobec niego długi wdzięczności. Stryj wyświadczył mi wiele dobrego. Żał mi, że stał się takim zgorzkniałym odludkiem. Niestety nie jestem w stanie mu pomóc.

— Należy mu współczuć, że mimo całego bogactwa ma tak niewiele radości w życiu.

Łagodny, ciepły głos Lory podziałał dziwnie uspokajająco na Richarda trochę spiętego i zdenerwowanego, gdyż ten wieczór miał zdecydować o jego szczęściu i dalszych losach.

— Ma pani rację; stryjowi należy tylko współczuć. Na jego życiu położyły się cieniem jakieś ciężkie doświadczenia w młodości. Ale ja głęboko wierzę, że stryj odżyje, kiedy Hilda zamieszka ze mną w Gorin. Jej urokowi nikt się nie oprze. Jest przecież takim zachwycającym, serdecznym stworzeniem, pogodnym i radosnym. Wierzę, że uczyni stryja innym człowiekiem. Jeśli ofiaruje mu choćby cząstkę swego uczuciowego bogactwa, nie będzie mógł się oprzeć.

Lorze było coraz ciężej na sercu. Nie miała wątpliwości, że Richard w bardzo niedługim czasie przeżyje gorzkie rozczarowanie co do charakteru Hildy. Teraz odgrywała przed nim urokliwą komedię, jak zawsze, kiedy chciała kogoś zdobyć, ale wkrótce odłoży swoje gierki do lamusa jako zbyteczne i nużące rekwizyty.

— Miejmy nadzieję, że Hilda spełni wszystkie pana pragnienia — odparła Lora; na więcej nie potrafiła się zdobyć.

— Och, z całą pewnością! Stryj będzie się początkowo trzymał na uboczu. Hilda i ja zamieszkamy w bocznym bardzo przestronnym skrzydle dworu w Gorin, a stryj pozostanie w części środkowej. Będziemy się z nim widywać tylko wtedy, kiedy on tego zechce. Dla Hildy będzie tak chyba najlepiej, bo nie powinna mieć uczucia, że jest zależna od humoru stryja. Ona zresztą zgodziła się na wszystko. Boi się trochę stryja, ale to minie, kiedy przekona się, że nie jest on człowiekiem niedobrym, tylko zgorzkniałym. Ja zawdzięczam mu nieskończenie wiele. Zaopiekował się mną, kiedy zostałem sierotą; wyznaczył mnie nawet na swego spadkobiercę. Myślę, że Hilda zdobędzie się bez większego wysiłku na

trochę cierpliwości w stosunku do niego. I że przyjdzie jej to łatwiej ze względu na mnie, nie sądzi pani?

Lora powstrzymała westchnienie, wiedząc dobrze, jak niewiele cierpliwości wykazuje Hilda w stosunku do innych ludzi.

— Hilda na pewno będzie rozsądna — powiedziała Lora oględnie, żeby nie martwić Richarda, a jednak miała takie uczucie, jakby go okłamała, jakby dopuściła się fałszu, zamiast go ostrzec i otworzyć mu oczy na prawdziwy charakter Hildy.

Ale czy mogła to uczynić? Czy nie zdradziłaby się przy tym ze swoim uczuciem? Nie, z jej ust nie może paść ani jedno słowo, które ściągnęłoby go z obłoków. Musi spokojnie patrzeć, jak człowiek, któremu oddana jest całą duszą, będzie okrutnie okłamany i oszukany.

Taniec skończył się i Richard Sundheim odprowadził Lorę do macochy, do której podeszła również Hilda ze swym partnerem. Frankenstein przez cały czas gorliwie nadszkakiwał Hildzie i składał jej wyraźne deklaracje, na co ona pozwalała, aczkolwiek była już po słowie z Richardem. W dalszym ciągu uważała bowiem za słuszne trzymać dwie sroki za ogon, skoro nie wiadomo było, jak odnieść się do niej siedzący na balkonie starszy pan, kiedy Richard mu ją przedstawi. Hilda nie miała zamiaru dać się tyranizować. Zanim więc odprawi Frankensteina, musi zdobyć pewność, że życie pod jednym dachem z Heinrichem Sundheimem będzie dla niej do przyjęcia.

Dlatego kiedy po skończonym tańcu Frankenstein odprowadził ją do matki, pożegnała go uśmiechem bardziej niż obiecującym. On zaś odszedł pozornie spokojny, chociaż robiło mu się gorąco na myśl o skutkach, jakie niechybnie wywoła trucizna wsączona w uszy starego Sundheima.

Richard złożył ukłon Lorze i przysunął się do narzeczonej.

— Czy chcesz teraz pójść ze mną na górę do stryja, Hildo? — zapytał szeptem, gdyż nikt nie powinien usłyszeć, że zwraca się do niej per „ty”.

Hilda westchnęła lekko, ale spojrzała zalotnie na Richarda.

— No cóż, raz w końcu musi do tego dojść.

— Nie obawiaj się niczego, Hildo. I niech cię nie zwiedzie sposób bycia stryja. Nawet jeśli będzie mało uprzejmy i niezbyt wylewny, to nie oznacza, że jest zły. Myśl o tym, że nasza przyszłość spoczywa w jego rękach, i bądź dla niego bardzo miła.

To zupełnie nie było po myśli Hildy. Czy rzeczywiście musi przypochlebiać się temu staremu zrzędzie? Frankenstein był na pewno równie bogaty jak stary Sundheim, a wystarczyło tylko skinąć, by leżał u jej stóp z całym swym majątkiem. Jeśli zaś skłonna była poświęcić się i wybrać Richarda, to tylko dlatego, że nieskończenie górował nad tamtym wytworną prezencją.

Hilda wmawiała sobie całkiem serio, że poświęca się dla Richarda — warunki małżeństwa z Frankensteinem znacznie bardziej jej odpowiadały. Gdybyż on tylko nie Wyglądał tak pospolicie! Oczywiście, przyjemniej będzie zostać żoną Richarda niż Frankensteina, ale z tym wszystkim nie należy oczekiwać od niej zbyt wielu poświęceń i wysiłków.

W niezbyt różowym nastroju, żałując po trosze, że związała się już słowem, przeszła z Richardem przez salę i schody wiodące na balkon. Lora powiodła za nimi niespokojnym, smutnym spojrzeniem.

Frankenstein pozostawił był Heinricha Sundheima w nastroju trudnym do opisanego. Starszy pan uwierzył bez zastrzeżeń we wszystko, co mu tamten powiedział. Może dlatego, że zawsze gotów był dostrzegać w ludziach raczej zło niż dobro.

Richarda usynowił, kiedy chłopiec miał dwanaście lat. Jego rodzice zginęli w katastrofie kolejowej. Nie pozostawili po sobie żadnej schedy, ale stryj zapewnił Richardowi porządne wykształcenie i nie ukrywał, że kiedyś przekaze mu swój majątek. Richard poświęcił się zatem rolnictwu. Po ukończeniu studiów prowadził na życzenie stryja przez dłuższy czas — w celu doskonalenia zdobytego wykształcenia — wzorcowe gospodarstwo jako wolontariusz, a od dwóch lat pomagał stryjowi gospodarować w Gorin. Po raz pierwszy miał uczucie, że nie korzysta z jałmużny i dobrodziejstwa stryja, lecz że uczciwie pracuje na swoje utrzymanie.

Dziwna rzecz, ale odkąd Richard stał się dorosłym mężczyzną, który energią i pracowitością przyczyniał się do rozwoju majątku Gorin, w starszym panu zaczęło kiełkować coś w rodzaju niechęci. Teraz patrzył na Richarda omal jak na

szczęśliwszego rywala, któremu zazdrościł młodości, doskonałej prezencji i licznych dowodów ludzkiej sympatii. Widział w nim reprezentanta zwycięskiej przyszłości, podczas kiedy on sam coraz bardziej i bardziej odchodził w zużytą przeszłość. To przeświadczenie męczyło go równie mocno jak lęk przed śmiercią. Myśl, że tuż za nim stoi następca odsuwający go w cień, przyprawiała Heinricha Sundheima o katusze, a kwitnące obok życie tylko wzmagало gorycz.

Nie opuszczająca go nigdy podejrzliwość często podsuwała wtedy myśl, że Richard czeka być może niecierpliwie na śmierć stryja. Nie wiedział, jak bardzo się myli, jak zupełnie nie zna swego bratanka i nie wyczuwa ani jego delikatności, ani głębokiej wdzięczności. Czasem oczywiście ogarniał starszego pana wstyd za te małosłowne odczucia, ale potem zwyciężała zastarzała nieufność do ludzi i górę brało rozgoryczenie.

Kiedy niedawno Richard zwierzył się stryjowi ze swoich spraw sercowych, jego podejrzliwość wzrosła ze szczególną mocą. Bo niby na czym Richard buduje swoje małżeńskie plany? Oczywiście na tym, że jest spadkobiercą Heinricha Sundheima! W końcu jednak wyraził zgodę, a także obiecał, że przyjdzie na bal, aby Richard mógł przedstawić mu swoją wybrankę.

I teraz w niezbyt dobrym nastroju obserwował z wysokości balkonu tańczącą Hildę. Dziewczyna nie wzbudzała w nim absolutnie żadnej sympatii, więc tylko uznał Richarda za głupca, który dał się omamić ładnej buzi.

Ernst Frankenstein wtargnął w ten nastrój i swoją gadaniną ugodził go w sam serce. Starszy pan zbyt łatwo wprawdzie dał intrygantowi wiarę, ale to, co usłyszał, tylko potwierdziło nurtujące go od dawna podejrzenia. Dusząc się niemal z wściekłości, czekał z gorączkową niecierpliwością na chwilę, kiedy Richard przyjdzie przedstawić mu narzeczoną. Będą się mieć z pyszna! Zniweczy jednym słowem ich szczęście i wyjaśni, że na próżno czekają na jego śmierć. Rozsierdzony coraz bardziej, z wybałuszonymi gniewem oczami, rozkoszował się z góry swoją zemstą. Richard nie będzie po nim dziedziczył — rzuci mu to zaraz prosto w twarz. Wygna go z domu i odmówi wszelkiej pomocy. Niech się przekona, do czego doprowadził.

Osobliwą koleją rzeczy rozmyślania te przyniosły staremu dziwakowi uczucie jakiegoś wyzwolenia, wiarę, że zdoła przedłużyć swoje życie, skoro odtąd nie będzie przy nim nikogo, kto czekałby na jego śmierć. Poza Richardem miał na świecie tylko jednego jaszczke krewnego: Karla Sundheima, który przed wielu la-

ty wywędrował do Australii. Karl był chyba o kilka lat starszy od Richarda. Wiedzano o nim tyle tylko, że założył w Melbourne czy też w Sydney niewielką, kiepsko prosperującą firmę, i że — wedle ostatnich wiadomości — nadal nie jest żonaty. To on zostanie spadkobiercą — przynajmniej nie będzie czyhał na śmierć stryja, bo wie, że wszystko dziedziczyć miał Richard. Jutro rano trzeba będzie zniszczyć stary testament i sporządzić nowy — na rzecz Karla. A z Richardem koniec po wsze czasy! Niech spróbuje przejść przez życie bez pomocy bogatego stryja! O żeniactwie raczej nie będzie myślał, jako że ta panna Hartung jest podobno biedna.

Tymczasem Richard, nie przeczuwając burzy zbierającej się nad jego niewinną głową, wszedł uśmiechnięty do łoża. W kilku ciepłych słowach przedstawił stryjowi swoją ukochaną, - Hilda zaś przyoblekła twarz w zalotny uśmiech, całkowicie pewna, że podbije nim „starego” bez reszty. Ale Heinrich Sundheim szybko wstał, podpierając się laską, i obrzucił młodych lodowatym, szyderczym spojrzeniem.

— Ciesz się, że mogłem panią poznać, piękna panienko, bo dzięki temu mam możliwość powiedzieć wprost, iż nadzieje pani, a także mojego lubego bratanka na moją rychłą śmierć są płonne. Muszę pani wyjaśnić, że Richard nie odziedziczy po mnie ani złamanego szeląga i że w ogóle nie mam z nim już nic wspólnego. Stary tyran będzie umiał zrobić lepszy użytek ze swojego majątku niż przekazać go niewdzięcznemu hultajowi. I nie ma ochoty znosić obok siebie ludzi, którzy tylko czyhają na jego śmierć. A między nami wszystko skończone, Richardzie Sundheim! Nie licz więcej na jakąkolwiek pomoc z mojej strony. W moim domu nie ma dla ciebie miejsca, zrozumiałeś?

Heinrich Sundheim wszystko to powiedział ostrym i podniesionym tonem, w czasie kiedy orkiestra zaczęła od nowa przygrywać do tańca, po czym, podpierając się laską, ruszył porywczo w stronę schodów i zszedł nimi tak szybko, jak tylko mógł.

Richard stał jak sparaliżowany, nie wiedząc, co stryja wprawiło w teki gniew. Do głowy mu nie przyszło, że ktoś mógłby podstępnie i kłamliwie oczernić go przed stryjem. Co prawda, stary pan Sundheim nigdy nie był zbyt miły, a w ciągu ostatnich lat bywał właściwie bardzo często chmurny i nieprzyjazny, ale Richard kładł to na karb pogłębiającego się zdziwienia i był mimo wszystko przekonany, że stryj odwzajemnia jego przywiązanie. Ten wybuch był jednak

czymś zupełnie nieoczekiwanym. Richard stał przez chwilę kompletnie zaskoczony i patrzył w ślad za stryjem, ciągle nie pojmując, co się stało.

Hilda zbladła jak płótno. Ze słów starszego pana zrozumiała przede wszystkim to, że Richard został wydziedziczony i że stryj cofa mu wszelką pomoc. Mimo konsternacji zdziwiła się w duchu, skąd „stary” wie, że ona tak liczy na jego rychły zgon. Nie miała oczywiście pojęcia, że to robota Frankensteina, który postanowił wkroczyć w jej i Richarda życie. Szybko jednak rozejrzała się w sytuacji i uznała, że musi teraz za wszelką cenę wymigać się od zobowiązań wobec Richarda i zrećźnie wydobyć się z matni. No bo jeśli Richard został wydziedziczony, to tym samym przestaje być dobrą partią.

Wzburzona odsunęła się od niego o krok.

— Że też muszę znosić podobne impertynencje! To niesłychane! Przecież pan powiedział mi, że stryj wyraził na wszystko zgodę! A teraz taki afront! Jak mam to rozumieć? — powiedziała ostrym, zirytowanym tonem.

Richard uniósł bezradnie ramiona. Wyglądał jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. Słowa Hildy ocuciły go z odrętwienia. Spojrzał na nią rozgorzałym nagle wzrokiem.

— Na miły Bóg, uspokój się, Hildo! Ja sam nic z tego nie rozumiem. Muszę cię teraz pożegnać i pójść zapytać stryja, co to wszystko ma znaczyć. Proszę cię, bądź spokojna; musiało zajść jakieś nieporozumienie. Zapewniam cię, że słowa stryja zaskoczyły mnie jeszcze bardziej niż ciebie. Wybacz mi, że naraziłem cię na taką sytuację, ale nie mogłem przecież jej przewidzieć. Nie rozumiem stryja; jego zachowanie jest dla mnie całkowitą zagadką. Proszę cię, wróć teraz do matki i bądź dobrej myśli; sprawa musi się wyjaśnić. Jeśli nie zdołam wrócić jeszcze dzisiaj, przyjdę do ciebie jutro koło jedenastej przed południem, żeby porozmawiać z twoimi rodzicami. Mam nadzieję, że przyniosę już dobre wiadomości. Przykro mi, że muszę cię teraz zostawić. Bardzo proszę, nie gniewaj się. Dobranoc, kochanie! Zaręczam ci, że wszystko będzie dobrze.

Porywczym gestem podniósł jej dłonie do ust i szybko zbiegł po schodach, nie zauważywszy Frankensteina, który stał nie opodal i ukradkiem obserwował całą scenę. Plan najwidoczniej powiódł się! Teraz należało urobić Hildę, przekonać ją, że on, Frankenstein, ma więcej do zaoferowania niż tamten młody czło-

wiek zależny we wszystkim od stryja. Bo jeśli nawet zdoła się z nim pogodzić, stary będzie cholernie skąpił młodej parze. I to trzeba Hildzie uświadomić.

Frankenstein zupełnie nie zastanawiał się nad tym co wyrządził Richardowi. Niech Richard postara się przebłagać stryjaską, ale dopiero potem — kiedy on już zdobędzie Hildę dla siebie! Bo w to, żeby stary Sundheim wyrzekł się swego bratanka na zawsze, Frankenstein nie wierzył.

Tymczasem Richard ruszył na poszukiwanie stryja do szatni, ale tam powiedziano mu, że, owszem, starszy pan o lasce odebrał płaszcz i dopiero co wyszedł. Richard wybiegł przed portal i zobaczył odjeżdżający samochód stryja. Wzburzony chciał w pierwszym odruchu pobiec za autem, ale to było przecież bezcelowe. Przez chwilę stał w niepewności, co czynić, potem otrząsnął się i spojrzał na zegarek. Ostatni pociąg do Gorin odchodził za kwadrans. Zawrócił spieszenie do szatni, odebrał swoje rzeczy i taksówką pojechał na dworzec.

Jeśli miał jeszcze dziś porozmawiać ze stryjem i dowiedzieć się, co właściwie zaszło, czas był po temu najwyższy.

III

Richardowi udało się złapać pociąg. Wysiadł na pierwszej stacji — Gorin, oddalonej o piętnaście minut drogi od majątku stryja. Z pociągu wysiadło oprócz Richarda jeszcze kilku miejscowych chłopów, którzy pozdrowili go z szacunkiem jako przyszłego pana dóbr Gorin. Richard odpowiedział im z roztargnieniem, gdyż myślami błądził ustawicznie wokół zagadkowej sceny na balu.

Idąc teraz w ciemnościach nocy, rozpamiętywał bez końca każde słowo, które stryj wyrzucał z siebie tonem zimnym i ostrym, a zarazem pełnym niepohamowanego gniewu. Richard zadawał sobie ciągle od nowa to samo pytanie: jak stryj mógł coś takiego powiedzieć? Przecież nigdy nie wyczekiwał jego śmierci; na odwrót — troszczył się o zdrowie swego dobrodzieja. Co w ogóle przyszło stryjowi do głowy?

Otworzył bramę gorinowskiego dworu, do której miał własny klucz, i już z daleka zobaczył, że w oknie gabinetu stryja pali się światło — znak, że starszy

pan nie poszedł jeszcze spać. A więc można będzie poprosić go o rozmowę i wyjaśnienie niezrozumiałego zachowania.

Friedrich, zaufany służący stryja, wyszedł Richardowi naprzeciw z zafrasowaną miną.

— Friedrich, zamelduj mnie, proszę, stryjowi. Muszę z nim koniecznie jeszcze dzisiaj porozmawiać.

Stary sługa potrząsnął głową zmartwiony.

— Przykro mi, panie Richardzie, ale otrzymałem wyraźny rozkaz, aby pana nie wpuszczać. Jaśnie pan zamknął się teraz w gabinecie, ale przedtem strasznie się złościł. Wygłosił całą mowę, wyciągnął z biurka testament i podarł go na drobne kawałki. A mnie kazał panu powiedzieć, że widziałem to na własne oczy i że nie ma sensu, żeby pan starał się z nim zobaczyć. Bo wszystko się skończyło i on nie chce mieć z panem do czynienia. A jeśli pan pojawi się w Gorin jeszcze dziś, to mam panu powiedzieć, żeby pan spakował swoje rzeczy i rankiem opuścił ten dom. Na miłość boską, co się wydarzyło, panie Richardzie? Mnie po prostu ścięło z nóg, bo nigdy jeszcze nie widziałem, żeby jaśnie pan był tak wzburzony i rozgniewany.

Richard, bardzo blady i przygnębiony, wzruszył ramionami.

— Sam chciałbym to wiedzieć. Ni z tego, ni z owego zrobił mi piekielną scenę. Powiedział, że na próżno czekam na jego śmierć, bo on i tak mnie wydziedziczy, że nie dostanę od niego ani złamanego szeląga i że mam opuścić jego dom. Nie mam pojęcia, co mu się stało. Przecież ty wiesz, Friedrich, że nie mam sobie nic do wyrzucenia, jeśli chodzi o stryja.

— O, Boże! Wiem, oczywiście, że wiem, bo znam pana od dziecka. Coś jednak musiało jaśnie pana wytrącić z równowagi, ale mnie też nic na ten temat nie powiedział. Myślałem, że dostanie apopleksji, kiedy zaczął wykrzykiwać, jakim to pan jest niewdzięcznikiem. Próbowałem coś wtrącić, że to nieprawda, że pan na pewno nie jest niewdzięczny, to zaczął krzyczeć na mnie: „Milcz, bo i do ciebie stracę zaufanie! Pewnie masz z nim konszachty i też dybiesz na moją śmierć!” Więc zmilczałem, bo dopóki jaśnie pan jest w gniewie, dopóty nie można z nim rozmawiać.

Stary służący spojrzął zatroskany na pobladłą twarz młodego człowieka.

— Rozumiem, że dzisiaj już nie zdołam wedrzeć się do stryja; nie chciałbym go od nowa zirytować, bo to mu szkodzi. Ale spróbuj, proszę, nakłonić go jutro rano, żeby mnie przyjął. Nie mogę przecież tak po prostu odejść na zawsze. Chciałbym chociaż wiedzieć, czym mu się naraziłem.

— Zrobię wszystko, co będę mógł, panie Richardzie. Niech pan idzie teraz odpocząć. Wygląda pan bardzo kiepsko. W takim stanie nigdy jeszcze pana nie widziałem.

Richard uśmiechnął się gorzko.

— Runąłem dziś bardzo gwałtownie z niebios na ziemię. Nie uda mi się zasnąć, bo od łaski lub niełaski stryja zależy w moim życiu więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Pójdę teraz i spakuję swoje rzeczy.

— Niech pan jeszcze się z tym wstrzyma; jutro, być może, jaśnie pan będzie innej myśli — próbował go pocieszyć służący.

Richard potrząsnął głową.

— Nie, Friedrich! Nie mogę zostać, jeśli on wszystkiego nie odwoła, a wiesz, jaki jest zawzięty. Dobranoc, Friedrich. Jeśli stryj zechce mnie widzieć, zwołaj mnie natychmiast.

Służący popatrzył ze smutkiem: jeśli pan Richard będzie musiał stąd odejść, zabierze ze sobą także część jego serca.

— Oby wszystko obróciło się na dobre, proszę pana.

Richard udał się do swego pokoju. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do klubu, żeby uspokoić Hildę, ale przypomniał sobie, że pociąg nie chodzi już o tej porze do miasta, a nie miał odwagi wziąć samochodu po tym, co zaszło. Gdyby zaś wyruszył do miasta piechotą, z pewnością dotarłby tam po zakończeniu balu. Zupełnie bez sensu. Hilda musi uzbroić się w cierpliwość do południa. Może będzie już wtedy więcej wiedział niż teraz.

Rzucił się na fotel i zapatrzył przed siebie, medytując nad tym, co się wydarzyło, i przypominając sobie każde słowo stryja po kolei. Ale roztrząsanie wszystkiego od nowa nie dało żadnego rezultatu. Dla Richarda jedno tylko stało się jasne — że należy natychmiast spakować rzeczy.

Co będzie później, kiedy rzeczywiście opuści ten dom, kiedy stryj naprawdę go wydziedziczy i odmówi wszelkiej pomocy — tego jeszcze nie wiedział. Dziś z pewnością niczego nie wymyśli. Pewne było tylko to, że potem trzeba będzie zbudować swoje życie na zupełnie nowych podstawach.

Kiedy ileś lat temu stanął przed problemem wyboru zawodu, pragnął zostać inżynierem. Zrezygnował z tego wyłącznie ze względu na stryjka, który przekonał go, że dla przyszłego właściciela majątku ziemskiego w Gorin nie wchodzi w rachubę żaden inny kierunek wykształcenia poza agronomią. Ale wykształcenie przygotowujące do pracy na roli było przydatne tylko wtedy, jeśli posiadało się własną ziemię. Tak więc widoki na zbudowanie sobie egzystencji przy zmianie roli życiowej przedstawiały się źle. Pozostawała jeszcze jedna możliwość: posada rządcy majątku, ale to było prawie nieosiągalne. Większość właścicieli ziemskich obywatela się bez rządcy, tam zaś, gdzie był on konieczny, pracował już zazwyczaj ktoś zasiedziały i wypróbowany. Dla agronomów było niewiele miejsc pracy, za to wielu chętnych do ich objęcia. Poza tym, gdyby nawet jakimś cudem Richard otrzymał taką posadę, zarabiałby niewiele, tyle co na własne potrzeby. Utrzymanie z tego żony, nie mówiąc już o rodzinie, byłoby niemożliwością. Zwłaszcza żony takiej jak Hilda — bez własnego majątku, za to wymagającej i przyzwyczajonej do wygod.

Przypomniał mu się nagle ciawny przyjaciel ze studiów, Heinz Martens. On także uznał, że jako rolnik bez ziemi nie ma w Niemczech żadnej przyszłości i wywedrował do Afryki Południowo-Zachodniej. Jego listy były bardzo interesujące i rozbudzały w Richardzie żądę przygód tkwiącą w każdym mężczyźnie. Richard postanowił zabrać je ze sobą i w wolnej chwili jeszcze raz uważnie przeczytać. Może w nich znajdzie pomocną wskazówkę, co powinien dalej czynić.

Wstał, poszukał listów Heinza i włożył do podręcznego neseseru jako pierwszą rzecz do zabrania. Ale po chwili przeciągnął ręką po czole z nagłym uczuciem gorąca. Afryka? A co z Hildą?

Poprosił ją o rękę, ale był wtedy przekonany, że jest spadkobiercą stryjka. A teraz? Wielki Boże, co będzie teraz? Przecież bez wsparcia stryjka jest nędzarzem.

Wiedział aż za dobrze, że czekają go ciężkie, pełne trosk czasy, jeśli stryj rzeczywiście go wydziedziczy i odmówi wszelkiej pomocy. O siebie martwił się jednak znacznie mniej niż o Hildę. Świadomość, że jest z nią po słowie, wezbrała w nim słodkim upojeniem mimo zmartwień. Wszystko jednak wskazywało na to,

że teraz nie będzie mógł zapewnić jej przyszłości. Aby szybciej do czegoś dojść, należało wyjechać za granicę i tam walczyć o byt. Nawet w najlepszym wypadku upłyną lata, zanim będzie mógł pomyśleć o sprowadzeniu żony. Czy Hilda zechce tak długo czekać? I czy on ma prawo wymagać tego od niej, a potem narażać ją na pełne trosk życie u jego boku? Nie, tego mu nie wolno.

Richard ukrył twarz w dłoniach, tłumiąc jęk. Gdzie podziało się jego szczęście, w które tak gorąco wierzył? Przecież jeszcze tego wieczoru Hilda sama dała mu usta do pocałunku, kiedy zostali na chwilę sami w pomieszczeniu obok sali balowej... Biedna Hilda! Co ona teraz czuje? Musiał ją zostawić właśnie wtedy, kiedy go potrzebowała, kiedy nie mogła się strząsnąć po szorstkim potraktowaniu jej przez stryja. „Moja słodczy, że też nie mogłem ci tego zaoszczędzić. Czy myślisz o mnie teraz, tak jak ja myślę o tobie? Pewnie siedzisz w swoim pokoju i zadrezczasz się myślami. Czy będziesz dzielna, kochanie? Czy twoja miłość będzie na tyle mocna, żeby wytrwać do dnia, w którym wprowadzę cię do naszego domu?”

Tak rozmawiając w myślach z ukochaną, poczuł przyływ nieśmiałej nadziei, że wszystko, być może, jeszcze się ułoży. Choćby tylko ze względu na Hildę stryj powinien złagodzić swoje surowe postępowanie. Może był to tylko wybuch złego humoru, może wynik złego samopoczucia, może rano wycofa się ze wszystkiego. Musi przecież zrozumieć, że wyrządza im ciężką krzywdę.

Richard wstał i polecił jednemu ze służących przynieść swoje dwa duże kufry, których używał jeszcze w czasach, studenckich. Do neseseru, w którym znajdowały się już listy Heinza Martensa, zapakował najpotrzebniejsze rzeczy na najbliższe dni. Miał zamiar przenieść się na razie do hotelu. Wyciągnął w westchnieniem portfel i przeliczył pieniądze: niecałe trzysta marek. Daleko z tym nie zajędzie, ale w razie potrzeby może jeszcze sprzedać złoty zegarek, kilka innych wartościowych drobiazgów i w ten sposób przetrwać jakiś czas. I tu zadał sobie pytanie, czy ma prawo zabrać je ze sobą, bo wszystko przecież pochodziło od stryja. Wprawdzie przez ostatnie lata intensywnie dla niego pracował, ale to nie równoważyło tego wszystkiego, co był stryjowi winien. W końcu uspokoił swoje sumienie przypomnieniem, że stryj nakazał mu zabrać swoje rzeczy.

Zgromadził więc wszystko, co do niego należało: ubrania, bieliznę, książki, i wkrótce oba kufry były pełne. Stryj nigdy mu nie skąpił pieniędzy, dzięki czemu

mógł się elegancko ubierać. Dobrze przynajmniej, że jest zaopatrzony w odzież i bieliznę, bo będzie mu to musiało starczyć na długi czas.

Skończył pakowanie i rzucił się na łóżko, żeby choć trochę się przespać. Długo nie mógł zasnąć, zmorzyło go dopiero o świtaniu. Ocknął się, kiedy stary Friedrich stanął przy posłaniu i ze zmartwioną miną podał mu list.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry, Friedrich. Jednak trochę pospałem. Czy stryj już się obudził?

— O, tak, dawno. Zdążył już posłać do miasta samochód po notariusza, pana Weidlicha. Wygląda na to, że on rzeczywiście chce spisać nowy testament. Nadal jest zły na pana, a mnie nie pozwolił wtrącić ani słowa w pańskiej obronie. To jest list od niego. Kazał mi powiedzieć, że nie chce pana widzieć nigdy więcej.

Richard zerwał się z posłania, wziął list.

— Dziękuję, Friedrich. Nie rób sobie kłopotów z mego powodu. Przyjdź, proszę, do mnie za kwadrans. Przeczytam list i napiszę kilka słów pożegnania, skoro stryj nie chce dopuścić mnie do siebie.

— Drogi panie Richardzie, co będzie z panem dalej?

— To wie tylko Bóg na niebie; ja nie mam pojęcia. Jakoś będę przebijał się przez życie. Nie martw się o mnie.

Stary sługa, który był przywiązany do Richarda jak do własnego syna, wyszedł z pokoju przygnębiony.

Richard otworzył list, rozłożył arkusik papieru — na podłogę sfrunął czek. Podniósł go i obejrzał. Opiewał na tysiąc marek. List nie miał nagłówka i brzmiał następująco:

Zalączęm czek na sumę tysiąca marek. To jest ostatnie wsparcie od „bogatego stryjka”. Pieniądze te wystarczą Ci na jakiś czas, potem będziesz musiał radzić sobie sam. Między nami wszystko skończone. Testament, który niegdyś sporządziłem na Twoją korzyść, zniszczyłem, co Friedrich może potwierdzić. Jeszcze dziś spiszę nowy, w którym moim jedynym spadkobiercą uczynię Karla Sundheima. On nie będzie czatował na moją śmierć, bo nie ma pojęcia, że będzie

po mnie dziedziczył; dowie się o tym dopiero po mojej śmierci. W ten sposób zamknę schyłek mojego życia bez przeświadczenia, że ktoś chciwie Uczy ostatnie godziny, które mi jeszcze pozostały.

Nie mam zamiaru wyrzucać Ci Twojej bezgranicznej niewdzięczności, w ogóle nie chcę więcej mówić o tym, co się stało. Dostateczną karą jest to, że „stary tyran” Cię wydziedziczył, usunął ze swego domu i cofnął wszelką pomoc. Nie wolno Ci nigdy więcej stanąć przede mną ani Uczyć na cokolwiek, bo nie dostaniesz ode mnie ani feniga. Pocięchą w tej stracie będzie Ci piękna narzeczona; dla mnie zadośćuczynieniem jest myśl, że ominie Was czekanie na moją śmierć. Żądam, abys natychmiast opuścił Gorin i wyjechał jeszcze rannym pociągiem. Kazałem odwieźć Cię na dworzec wraz z bagażami.

Heinrich Sundheim

Czoło Richarda pokrył rumieniec. Cóż on takiego uczynił, że stryj przemawiał do niego tym tonem?

Najchętniej zwróciłby mu natychmiast przysłany czek, ale kiedy pomyślał, że za te trzysta marek, którymi dysponuje, nawet nie może wyjechać za granicę, zacisnął zęby. Musi przyjąć tę pogardliwie ofiarowaną jałmużnę, choćby nie wiedzieć jak było mu ciężko. Oby mógł kiedyś zwrócić te pieniądze razem ze wszystkim, co jest stryjowi winien.

Zrezygnował z dalszych starań o rozmowę ze stryjem. Przy swoim obecnym nastawieniu stryj uznałby to jedynie za próbę nakłaniania go do zmiany decyzji w sprawie spadku. A do tego nie wolno dopuścić. Należy jak najszybciej opuścić ten dom. W pośpiechu skreślił krótki list.

Drogi Stryju!

Nie wiem, czym ściągnąłem na siebie Twój gniew. Nie czuję się w niczym winny i nie rozumiem Twoich napomknięć. Ale nigdy — i na to daję Ci słowo honoru — nie przyszło mi na myśl, żeby czatować na Twoją śmierć. Nie besztaj mnie jako niewdzięcznika, bo nim nie jestem. Nawet teraz, kiedy z taką pogardą wyrzucasz mnie ze swego domu, mam pełną świadomość, jak wiele Ci zawdzięczam.

Nie muszę podkreślać, że przez tę nagłą banicję stawiasz mnie w ciężkim położeniu. Wyczuwam, że to jest właśnie Twoim zamiarem. Dałbym jednak wiele, żeby przynajmniej wiedzieć, dlaczego tak postępujesz. Nie mogę uczynić nic innego, jak zastosować się do Twej woli i jak najszybciej opuścić Gorin.

Dziękuję Ci, że przez tyle lat Twój dom był osieroconemu domem rodzinnym. Moim najgorętszym życzeniem jest, abym któregoś dnia mógł spłacić Ci zaciągnięty dług wdzięczności, dług, który teraz bardzo mi ciąży.

Proszę Cię — także ze względu na Twoje dobro — uwolnij się od błędnego urojenia, które najwidoczniej Tobą owładnęło, że wyczekuję Twojej śmierci. Jestem zbyt dumny, żeby bronić się przed takimi posądzeniami.

Żegnaj, Stryju, i niech niebiosa obdarzą Cię wieloma jeszcze latami w spokoju i zdrowiu.

Twój mimo wszystko Cię kochający, wdzięczny bratanek

Richard

Friedrich pojawił się, kiedy tylko Richard skończył pisać.

— Oddaj, proszę list stryjowi, ale dopiero wtedy, kiedy mnie już tutaj nie będzie. Każ teraz, żeby zajechał po mnie samochód. Ale zanim wyjdiesz, podaj mi rękę, mój drogi, i pozwól, że ci podziękuję za wszystkie związane ze mną trudności, za dobre słowa, których mi nie szczędziłeś. Niestety nie mogę ci się teraz niczym odwdzińczyć.

Stary służący mocno uścisnął mu dłoń, a potem powiedział z wahaniem:

— Proszę mi nie wiać za złe, jeśli niezbyt zrećcznie coś panu zaproponuję, ale jest mi pan kimś bliskim, jak gdyby kimś z rodziny. Otóż wiem, że został pan nagle pozbawiony wszelkich środków. A ja... ja mam w kasie oszczędności ponad trzy tysiące marek. Więc chciałbym pomóc panu choć w ten sposób; proszę je wziąć ode mnie.

Richard z największym wysiłkiem opanował wzruszenie.

— Mój dobry, kochany... nawet nie wiesz, jak bardzo mnie poruszyła twoja propozycja. To dowód serca i dobrych uczuć. Ale nie będę cię pozbawiał twoich oszczędności, niech mnie Bóg broni! To byłby dla mnie wielki wstyd.

— Kiedy ja ich nie potrzebuję, panie Richardzie. Mam przecież tutaj wszystko, co mi potrzeba.

Richard uśmiechnął się z goryczą.

— Ale nie wiesz, czy pewnego dnia kaprys mojego stryja nie pozbawi cię dachu nad głową. Nie, mój drogi, nie wezmę twoich pieniędzy. Jestem młody i zdrowy, dam sobie radę. Ale dziękuję ci z całego serca. Nigdy nie zapomnę, że chciałeś mi przyjść z pomocą.

Stary służący był wyraźnie zmartwiony.

— Czy będę miał od czasu do czasu jakieś wiadomości od pana?

Richard zastanowił się.

— Nie chcę, żebyś z mojego powodu miał nieprzyjemności, Friedrich. Dlatego umówmy się, że co trzy miesiące, pod koniec każdego kwartału, napiszę do ciebie na *poste restante*. W ten sposób będziesz zawsze wiedział, gdzie jestem i jak mi się powodzi. A ty też będziesz mógł czasem napisać do mnie, co u ciebie słychać... i jak się miewa stryj. On jednak nie powinien wiedzieć, że się o niego troszczę.

— Dobrze, panie Richardzie, będę pisał o wszystkim ważnym. Cieszę się, że chce pan utrzymywać ze mną kontakt. Moje najlepsze myśli będą panu stale towarzyszyć. Bóg panu pomoże. Ja wiem, że pan nie uczynił i nigdy nie uczyni niczego złego.

Richard klepnął go po ramieniu.

— Nie martw się, stary! Przecież muszę przynieść ci chlubę jako twój wychowanek. Niech ci się wiedzie. A teraz załatw, proszę, samochód, bo inaczej spóźnię się na pociąg.

Friedrich wyszedł, a Richard polecił znieść kufry do auta. Stryj nie oddał mu jednak do dyspozycji swojego eleganckiego auta, lecz kazał odwieźć Richarda starym, zdezelowanym landem, zaprzężonym w parę szkap. Richard wyczuł w tej dyspozycji chęć upokorzenia go i twarz mu drgnęła. Powiódł spojrzeniem po oknach pokojów stryja, ale nigdzie go nie odkrył. Nie wiedział, że starszy pan obserwował jego odjazd ukryty za zasłoną.

Wyraz zaspokojonej zemsty rozlał się na twarzy Heinricha Sundheima. Przyniesiony przez Friedricha list Richarda skwitował po przeczytaniu jednym ostrym słowem:

— Komedial!

Stary Friedrich, który coś porządkował w pokoju, popatrzył smutno.

— Jaśnie panie, nawet gdybym miał za to zaraz stracić miejsce, muszę powiedzieć, że pan Richard z całą pewnością nie zrobił niczego złego.

— Zamknij się, stary ośle! Jesteś tak samo głupi, jak ja do niedawna byłem!

— Ach, jaśnie panie! Jak ciężko było panu Richardowi stąd odjeżdżać...

— Nie wątpię! Taki koniec z tyloma tłustymi latami!

— To nie to, jaśnie panie, to naprawdę nie to.

— Spokój, do diabła! Nie chcę już więcej słuchać o tym, jasne? Wynoś się, chcę zostać sam! A jak przyjdzie notariusz, przyprowadź go zaraz do mnie.

Friedrich musiał usłuchać rozkazu, ale w jego oczach można było wyczytać, że jeszcze nieraz będzie ryzykował, mówiąc swoje w obronie Richarda.

IV

Kiedy Richard poszedł z zamiarem odszukania stryja, Hilda Hartung zatrzymała się na chwilę przed lożą starego Sundheima. Patrząc ponuro przed siebie, stuknęła ze złością obcasem w podłogę. Jej gniew kierował się zarówno w stronę stryja, jak i bratanka. Była wściekła, że Richard ruszył za „starym”, pozostawiając ją na balu samą. Porywczo oskarżała go o wyłudzenie podstępem jej zgody na małżeństwo. Wszak zapewniał, że stryj zaakceptował jego wybór i że mogą zamieszkać w Gorin, gdzie nie będzie jej na niczym zbywało. W różowych barwach odmalował przyszłość: jako jego żona miała mieć do dyspozycji auto, ile razy zechce pojechać do miasta, w ogóle miała być otoczona komfortem należnym jej elegancji.

A teraz? Co zostało z tych wszystkich obietnic, z tej wspaniałej partii, którą miała nadzieję zrobić? Nic — po prostu nic. Richard Sundheim stał się nędzarzem wyzutym ze wszystkiego i wypędzonym. W tych okolicznościach nikt nie może od niej wymagać, żeby podtrzymywała narzeczeństwo z Richardem. To byłoby czystym szaleństwem. Oczywiście, nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby jednak mimo wszystko związać z nim swój los. Nie, scena ze stryjaszkiem całkowicie uwalniała ją ze zobowiązań. Przyjęła oświadczyzny w całkowicie odmiennych warunkach. Teraz należy tylko zręcznie wydobyć się z sideł i spróbować innej szansy.

W oczach Hildy błysnęła twarda decyzja. Musi uwolnić się od Richarda, a także jeszcze dziś sprowokować Frankensteina do oświadczyzny. To nie powinno nastroczać szczególnych trudności — zadała sobie przecież wiele trudu, żeby go przy sobie utrzymać.

Osobowość Frankensteina była jej wprawdzie wstrętna — Hildę przeszył przelotny dreszcz niepokoju — ale on był bogaty, bardzo bogaty. Miał piękną willę, wielkie fabryki, wspaniałe auto — wszystko, czego tak gorąco pragnęła. Ale razem z jego bogactwem trzeba było niestety wziąć także jego osobę.

Wyprostowała się energicznie, otworzyła torebkę i patrząc w lusterko, które zawsze nosiła ze sobą, przeciągnęła puszką po twarzy. Dobrze! Teraz jeszcze tylko pogodna mina — nikt nie powinien domyślić się, jak bardzo zirytowała się przed chwilą.

Zeszła powoli po schodach prowadzących do sali balowej. Zauważyła stojącego nie opodal Frankensteina, który jak gdyby na nią czatował, patrząc wyczekującym wzrokiem. Hilda wyglądała już na spokojną; nie było po niej poznać wzburzenia. Frankenstein podszedł skwapliwie, zachęcony jej uśmiechem.

— Widziałem, jak pani szła przed chwilą w towarzystwie pana Sundheima na balkon. Ale on wkrótce potem pobiegł gdzieś szybko, więc postanowiłem tu poczekać, aby poprosić panią o jeszcze jeden taniec.

Hilda rzuciła mu takie spojrzenie, jakiego jeszcze nigdy nie otrzymała od niej. Frankenstein poczuł bicie serca i wzmożona namiętność do tej pięknej dziewczyny ogarnęła go ze zdwojoną siłą.

— Pan Sundheim chciał mnie przedstawić swojemu stryjowi, który siedział na balkonie. Ale niech Bóg broni każdego przed równie nieznośnym starszym

panem! Mnie ledwo zauważył, za to swego bratanka powitał gniewem i zaraz sobie poszedł. Pan Sundheim junior poleciał za nim ciężko wystraszony, bo o względy bogatego stryja należy przecież dbać. Zostałam więc pozostawiona samej sobie i przyglądałam się tańcom, żeby trochę odpocząć.

— To niesłychane! Jak można było tak zachować się w stosunku do pani!

Hilda roześmiała się, udając rozbawienie.

— Sama zadaję sobie to pytanie. Szczerze mówiąc, uważam, że ta prośba, aby iść aż na balkon w celu poznania kapryśnego starszego pana, była zbyt wygórowana. Ale czasem nie sposób komuś odmówić. Nie rozumiem pana Sundheima, dlaczego tak bardzo chciał mnie przedstawić swemu stryjowi.

Frankenstein tak manewrował, żeby niepostrzeżenie móc przejść z Hildą do pustawych pomieszczeń obok głównej sali.

— Naprawdę nie zorientowała się pani, o co mu chodzi? — spytał, patrząc na nią badawczo. — Nie zauważyła pani, jak bardzo jest panią zainteresowany?

Hilda obojętnie wzruszyła ramionami.

— Nie on jeden. Cóż można na to poradzić?

— Pan Sundheim jednak na pewno chciał przedstawić stryjowi kobietę, którą miał zamiar wprowadzić któregoś dnia pod swój dach.

— Mógł sobie tego zaoszczędzić. Byłby to zupełnie beznadziejny przypadek... moje serce już od dawna należy do innego.

Spojrzenie towarzyszące tym słowom nie pozwalało Frankensteinowi wątpić, że to on jest tym, który posiadał serce Hildy.

Przystanął i ujął jej dłoń.

— Panno Hildo, ukochana panno Hildo, czy mogę żywić nadzieję, że ofiaruje mi pani swe serce i odwzajemni moją gorącą miłość?

Spojrzała na niego tęsknym spojrzeniem, które zawsze miała na podorędziu, kiedy sytuacja tego wymagała.

— Czy może pan w to wątpić? Czy nie zdradzałam się z tym od czasu do czasu, nie bacząc na żadne względy?

Ucałował gorąco jej ręce. W tej chwili nie chciał zastanawiać się, czy Hilda rzeczywiście go kocha, czy też popchnęła ją w jego ramiona wykoncypowana przez niego na zimno katastrofa między stryjem a bratankiem. Teraz pragnął tylko zdobyć za wszelką cenę to śliczne stworzenie.

— Hildo najdroższa, nie śmiałem myśleć, że pani dodawała mi w ten sposób odwagi. Czy zechce pani zostać moją uwielbianą żoną, której będę mógł złożyć u stóp wszystko, co posiadam?

Spojrzała w czerwonawą, prostacką twarz z małymi oczkami, w tej chwili jeszcze brzydszą i bardziej pospolitą pod wpływem wzburzenia, i przywołała marzydzielski uśmiech. Z wystudiowaną nieśmiałością podała mu dłoń.

— Wiem tylko, że pana kocham i że będę szczęśliwa, zostając pańską żoną — powiedziała ze skromną minką.

Nie panując dłużej nad ogarniającą go namiętnością, wziął ją w ramiona i gorąco pocałował.

— Hildo, moja jedyna!

Wzdrygnęła się z odrazą, myśląc, o ile było przyjemniej zaledwie przed godziną, kiedy całował ją Richard. Wyrwała się gwałtownie z objęć Frankensteina, ale natychmiast poskromiła swój odruch.

— Gdyby tak ktoś nas zobaczył... — szepnęła.

Uszczęśliwiony Frankenstein roześmiał się głośno.

— No to co, Hildo? Przecież jesteśmy parą narzeczonych. Cały świat może patrzeć, jak się całujemy. Ale chodźmy teraz do twoich rodziców. Będę chyba mile widziany jako zięć, co? Jak myślisz?

W jego pytaniu pobrzmiwała pycha. Hildzie wydał się odstęczający w swoim sytym samozadowoleniu. Tylko że on był bogaty, tak bardzo bogaty, że będzie mogła zaspokoić każdą swoją zachciankę.

— Mam nadzieję — powiedziała chłodno.

— Nawet nie wiesz, ilu rodziców dałoby mi chętnie błogosławieństwo, bylebym tylko zapragnął poślubić ich córkę! Ale żadnej nie udało się mnie złowić. Jedynie tobie, mała czarodziejko. Właściwie to nie musimy tak bardzo zabiegać

o pozwolenie twoich rodziców. Przecież ty, Hildo, jesteś pełnoletnia, a poza tym profesor Darland jest tylko twoim ojczymem, więc w gruncie rzeczy jedynie twoja matka miałaby tu coś do powiedzenia.

— A mama i tak chce tego, czego chcę ja, więc nie musisz się niczym trapić, Ernst — odparła Hilda trochę protekcyjnie, chcąc już na wstępie zaznaczyć, że jej wola jest ważna. Od nadmiaru pewności siebie postanowiła go odzwyczać dopiero po ślubie.

Frankenstein pocałował ją jeszcze raz, chociaż się wzbraniała, a potem poszli do rodziców Hildy. Starsi państwo siedzieli sami, jedynie w towarzystwie Lory.

Dziewczyna wyglądała bardzo mizernie. Co jakiś czas rzuciła pełne niepokoju spojrzenia w stronę balkonu, nie widząc ani Hildy, ani Richarda. Teraz nagle zobaczyła siostrę idącą z Frankensteinem pod rękę. Zdumiona spojrzała w twarz Hildy, jakby nieco bledszą niż przedtem. Tamci właśnie nadeszli i Lora, gubiąc się w domysłach, usłyszała, jak Frankenstein zwraca się do ojca:

— Łaskawy panie profesorze, pańska córka Hilda wyświadczyła mi ten zaszczyt i zgodziła się zostać moją żoną. Zwracamy się zatem do pana i do pańskiej małżonki z prośbą o pobłogosławienie naszego związku. Nie chcieliśmy zwlekać aż do jutra z zawiadomieniem państwa o naszych zaręczynach.

Lora miała uczucie, że zamiera w niej serce. Śmiertelnie blada wpatrzyła się z nerwowym napięciem w uśmiechniętą twarz Hildy. Co się stało? Hilda zaręczona z Frankensteinem? To niemożliwe! Przecież w czasie tańca Richard Sundheim powiedział całkiem jasno i wyraźnie, że Hilda zgodziła się zostać jego żoną. Więc skąd nagle Frankenstein występuje w roli narzeczonego Hildy? Niejasna obawa przeniknęła jej duszę. Miała chęć potrząsnąć Hildą i zapytać, co będzie teraz z Richardem. Nie była w stanie cieszyć się z tego, że jest wolny i że Hilda, kobieta o zimnym sercu, nie zostanie jego żoną. Wiedziała przecież, jak straszliwie będzie cierpiał.

Do jej świadomości nie dotarło ani jedno słowo z tego, o czym rodzice rozmawiali z parą narzeczonych. Z tych przytłaczających myśli wyrwała ją dopiero Hilda, która przysiadła się do niej i zapytała z uśmiechem:

— No i co, Loro, nie życzysz mi szczęścia?

Lora z trudem dochodziła do siebie. Frankenstein zauważył jej bladość i pomyślał z łaskawym współczuciem: „To biedne stworzenie jest zupełnie ogłuszone szczęściem siostry”. Dziewczyna wyjąkała kilka słów, ledwie przechodzących jej przez gardło. Własny głos dochodził ją jakby z daleka. Na szczęście rodzice całkowicie zaanektowali Frankensteina, dzięki czemu mogła szepnąć Hildzie roztrzęsionym głosem:

— Czy to możliwe, Hildo? Gdzie jest Richard Sundheim? Co się w ogóle stało?

Hilda mocno ścisnęła ją za ramię i, przesyłając narzeczonemu czarujący uśmiech, syknęła:

— Ani słowa o nim! W domu dowiesz się wszystkiego, a teraz milcz!

I już po chwili śmiała się z trochę nadmierną wesołością, żartując z rodzicami i Frankensteinem. Profesor był w doskonałym humorze, zadowolony, że Hildzie tak się powiodło i że nie będzie musiał dłużej troszczyć się o nią. Profesorka promieniała — bogaty zięć i jego wspaniała willa przy parku miejskim bardzo jej imponowały. Zawsze wiedziała, że Hilda jest „rozsądna” i drogo sprzeda swoją urodę.

— Możemy ogłosić wasze zaręczyny jeszcze dziś — powiedziała żywo — bo prawie wszyscy nasi znajomi przyszli na bal.

Hilda gwałtownie zaprotestowała:

— W żadnym wypadku, mamó! Zbyt wiele tu zamieszania.

Frankenstein roześmiał się triumfalnie.

— Hilda ma miękkie serce: chce oszczędzić swych licznych adoratorów tak długo, jak się da.

Hilda pomyślała z niechęcią o jego zarozumiałej, zwycięskiej pewności siebie.

— Nie o to mi chodzi, tylko że to musi być okropne, kiedy człowiek staje się nagle ośrodkiem zainteresowania dużego towarzystwa i wszyscy opadają go z życzeniami.

W istocie byłaby mile pochlebiona w swej próżności, gdyby fetowano ją tutaj jako narzeczoną Frankensteina i gdyby mogła zobaczyć zazdrość na wszystkich twarzach. Rzecz w tym, że nie miała całkowitej pewności, czy Richard Sundheim nie wróci na bal. Wolała, żeby nie dowiedział się o jej zaręczynach z Frankensteinem, zanim sama z nim nie porozmawia i nie udowodni mu, że nie może rościć sobie do niej żadnych praw. Postara się przedstawić sprawę oględnie, w sposób dla siebie korzystny, że między nimi wszystko skończone. Ona nie powinna mieć z tego tytułu żadnych przykrości.

I dlatego zaręczyny nie zostały ogłoszone.

V

Lora ciągle jeszcze wypatrywała Richarda Sundheima. W pewnym momencie zostawiła rodzinne grono i weszła na balkon sprawdzić, czy może Richard towarzyszy nadal stryjowi. Ale w łóży nie było nikogo, a ponieważ nie znalazła go również na dole, uznała, że najwidoczniej wyszedł z klubu.

Jak to się stało, że Hilda zaręczyła się z Frankensteinem, skoro zaledwie godzinę temu była po słowie z Richardem? Coś musiało się tymczasem wydarzyć — wskazywały na to również słowa Hildy — ale co?

Lorze wydawało się, że bal trwa nieznośnie długo. Odetchnęła z ulgą, kiedy nareszcie się skończył. Frankenstein, który towarzyszył im cały czas, zaproponował odwiezienie państwa swoim samochodem do domu. Otulony w futro usiadł obok szofera, Hilda zaś w jedynej w swoim rodzaju pozie usadowiła się na wyściełanym siedzeniu eleganckiego auta. Czuła się już jego właścicielką.

Lorę rozbolała głowa. Nie mogła już znieść nie kończącej się rozmowy macychy z ojcem na temat niebywałego szczęścia Hildy, która przysłuchiwała się temu z uśmiechem wyższości. Ojciec głąskał ukradkiem rękę Lory, jak gdyby chcąc pocieszyć córkę, że to nie ją spotkało to przeogromne szczęście. Domyślała się jego intencji i słaby uśmiech / przemknął po jej twarzy. Żeby wiedział, jak mało zazdrościła Hildzie jej „szczęścia"! Serce Lory toczył jedynie niepokój o Richarda.

Samochód zajechał wreszcie na miejsce. Frankenstein pomógł wysiąść z jasno oświetlonego wozu najpierw macosze, potem Lorze, a na końcu Hildzie, którą pocałował na pożegnanie z radosną dumą posiadacza.

— Jutro przed południem przyjdę z wizytą, jeśli państwo pozwolą — oznajmił.

Profesor i jego żona zapewnili, że bardzo będą radzi, Hilda jednak powiedziała spokojnie i stanowczo:

— Nie przychodź jednak, proszę, przed dwunastą. Muszę się dobrze wyspać po dzisiejszym wyczerpującym wieczorze.

Frankenstein uśmiechnął się z czułością.

— Śpij słodko, moja kochana, i śnij o mnie — szepnął.

Hilda w odpowiedzi skinęła tylko blond główką i rzuciła mu powłóczyście spojrzenie.

Pół godziny później siostry zostały nareszcie same we wspólnie dzielonej sypialni. Lora osunęła się bez sił na fotel, podczas kiedy Hilda kokieteryjnie kręciła się przed lustrem, rzucając sama sobie zabójcze spojrzenia.

— Jak myślisz, Loro, jaki klejnot podaruje mi Frankenstein na zaręczyny? Czy zdobędzie się na perły?

Lora spojrzała na nią niespokojnie.

— Jest dla mnie rzeczą niepojętą, że w takiej chwili interesuje cię właśnie to. Powiedz wreszcie, na miłość boską, jak to się stało, że jesteś zaręczona z Frankensteinem, skoro godzinę wcześniej przyjęłaś oświadczyzny Richarda Sundheima?

Hilda również rzuciła się na fotel i złożyła dłonie czubkami palców.

— Mówiąc najkrócej, Loro, doszło do awantury. Sundheim poprosił mnie o rękę i ja przyrzekłam wyjść za niego, ale on wyłudził ode mnie słowo w sposób podstępny, składając fałszywe obietnice.

Lora zerwała się oburzona, jak gdyby to ją osobiście ktoś śmiertelnie obraził.

— Richard Sundheim? To niemożliwe!

— A jednak możliwe. Powiedział mi, że stryj zaakceptował jego wybór, że będziemy mieć w Gorin całe skrzydło dworu dla siebie, że będę miała samochód do dyspozycji i że będziemy żyć w komforcie. Powiedział też, że jest jedynym spadkobiercą swego stryja i że nie będzie mi na niczym zbywało. Jego stryj przyjąć miał na bal jakoby jedynie po to, żeby poznać mnie osobiście i tak dalej, i tak dalej. A potem zaprowadził mnie na górę do tego okropnego starucha. Boże, jestem szczęśliwa, że nie będę musiała przebywać w jego pobliżu! Ten straszny dziadyga rzucił się na nas jak wściekły i zapewnił mnie, że jego bratanek nie odziedziczy po nim ani złamanego szeląga i że nasze czekanie na jego śmierć jest bezcelowe, bo on odmawia Richardowi wszelkiej pomocy i każe mu na zawsze opuścić swój dom — i dalej w tym sensie. Ten stary był po prostu obrzydliwy w swoim gniewie. Bóg raczy wiedzieć, co go tak rozwścieczyło. A kiedy całkowicie ulżył swojej wątrobie, po prostu się wyniósł. Richard był tak zmieszany, że nie wydobył z siebie ani słowa i całkiem zwyczajnie zostawił mnie samą, zapewniając łaskawie, że przyjdzie jutro o jedenastej przed południem jeśli nie zdoła wrócić na bal. A teraz powiedz, czy ja muszę znosić coś podobnego? Czy mam być tak szalona i wiązać się z człowiekiem, który nie będzie miał co do ust włożyć, jeśli stryj go wygna i wydziedziczy?

Lora westchnęła ciężko; jej serce drżało o los Richarda.

— Mój Boże, co wprawiło starszego pana aż w taki gniew? — spytała blada z przejęcia.

Hilda wzruszyła ramionami.

— Któż to wie! Ale ja wcale nie chcę wiedzieć, to mnie już nie obchodzi. Między mną a Sundheimem wszystko skończone. Nie czuję się z nim związana i to właśnie powiem mu jutro. Oczywiście, muszę się z nim rozmówić, zanim przyjdzie Frankenstein i zanim zostaną ogłoszone nasze zaręczyny. Dlatego powiedziałam Frankensteinowi, żeby przyszedł dopiero na dwunastą. Sundheim nie może wymagać ode mnie, żebym dotrzymywała słowa, które wyłudził w podstępny sposób.

— Hildo! Jak możesz tak mówić! On jest człowiekiem honoru i nigdy by nie wyłudzał czegoś, stwarzając fałszywe pozory.

Hilda spojrzała z ironią.

— Mój Boże, tak gorąco za nim przemawiasz, Loro... Czy nie jesteś w nim trochę zakochana?

Lora zmarszczyła brwi. W żadnym wypadku nie zdradzi się ze swym uczuciem przed wścibskimi oczami Hildy.

— Nie mów głupstw, Hildo. Ja tylko wiem, że Richard Sundheim jest człowiekiem honoru i że kocha cię bez pamięci. Jeśli zaręczysz się z innym, będzie miał złamane serce.

— Nie wierz w to! Nie będzie tak źle. On zrozumie przecież, że dziewczyna taka jak ja nie wychodzi za mąż za kogoś, kto musi zaczynać od zera, a w perspektywie ma tylko biedę z nędzą. Ja w każdym razie pięknie dziękuję!

— Ale nie wolno ci myśleć, że on cię oszukiwał. To, co powiedział, było na pewno prawdą. A jego stryj z całą pewnością musiał wiedzieć o wszystkim i wyrazić zgodę, bo przecież przyszedł po to, żeby cię poznać. Coś musiało zajść, co wzbudziło w nim taki gniew na bratanka.

— Ale co mogło zajść?

Lora patrzyła przez chwilę w skupieniu przed siebie, jakby zgłębiając jakąś myśl, po czym zerwała się podniecona. Przypomniało jej się, że widziała Frankensteina siedzącego w łoży starszego pana i że obaj pochłonięci byli żywą rozmową.

— Co się stało, Loro?

Lora zmusiła się do zachowania spokoju.

— Opowiedz mi raz jeszcze, możliwie wiernie, co mówił stryj Richarda — poprosiła załamującym się głosem.

Hilda potrząsnęła głową zdumiona.

— Dziwna jesteś, Loro. Dlaczego to cię tak wzburza? Ja jestem całkiem spokojna, jak widzisz.

— Potem ci wyjaśnię, a teraz powtórz, proszę, dokładnie jeszcze raz, co on powiedział.

Hilda odtworzyła wiernie scenę na balkonie. Lora słuchała z napiętą uwagą, a kiedy skończyła, powiedziała zdecydowanie:

— Teraz ci powiem, co mnie tak wzburzyło. Za tym wszystkim kryje się Frankenstein. To jemu Richard zawdzięczać będzie niełaskę stryja i wydziedziczenie.

Hilda nie kryła swego zdumienia.

— Ale co Frankenstein ma z tym wspólnego?

— Posłuchaj. Krótco przedtem, zanim poszłaś z Richardem na górę, widziałam Frankensteina siedzącego w łoży starego pana Sundheima i prowadzącego z nim rozmowę. A potem, kiedy już byliście na balkonie, Frankenstein z dziwną miną warował przy schodach, tak jakby w napięciu czegoś wyczekiwał. Frankenstein jest bez pamięci w tobie zakochany i zazdrosny o Richarda, bo go w pewnym sposób wyróżniłaś. Widać wpadł na pomysł, jak wysadzić Richarda z siodła, i uznał, że jeśli stryj wydziedziczy rywala, wtedy on będzie miał szansę na poślubienie ciebie. Prawdopodobnie podburzył starszego pana przeciwko bratankowi; może mu powiedział, że wy oboje czekacie na jego śmierć, aby wejść w posiadanie spadku. Jestem przekonana, że to on jest przyczyną katastrofy.

Hilda wyglądała na zaskoczoną.

— Istny Sherlock Holmes z ciebie, Loro — powiedziała drwiącym tonem.

— Poskładanie tego w całość nie było trudne. Stary pan Sundheim z pewnością przystał na wasz związek i poczynił różne koncesje na rzecz Richarda, zanim przyjechał na bal. I nagle wpada w straszny gniew z powodu niewdzięczności bratanka. Skąd ta raptowna zmiana? W klubie nie rozmawiał z nikim oprócz Frankensteina, bo na górze poza nimi dwoma nie było żywego ducha. Wszystko jest jasne jak na dłoni.

Hilda przechyliła głowę na oparcie fotela, przez chwilę medytowała, jak gdyby rozważając wszystkie za i przeciw, a potem wyprostowała się.

— To jest niewątpliwie jakieś wyjaśnienie, ale ono i tak niczego nie zmieni. Nie wyjdę za mąż za Richarda Sundheima, wykluczone! Jeśli stryj go wydziedziczy, będzie nędzarzem; a gdyby się z nim pojednał, musiałabym żyć z tym okropnym staruchem pod jednym dachem i godzić się na wszystko. Pięknie dziękuję za jedno i za drugie. Nie, nie! Dobrze jest jak jest. Warunki Frankensteina dają mi większe gwarancje na przyszłość. Jeśli nawet dopomógł losowi, to co to mnie obchodzi? Nic

tym nie wiem i nie chcę wiedzieć. Zresztą zrobił to z miłości do mnie, a w ostatecznym rozrachunku uzyskał również dla mnie to, co najlepsze, powstrzymał mnie od szaleńczego kroku.

Lora patrzyła na siostrę zdumiona.

— A na razie Richard Sundheim odpokutuje za wszystko: Czy nie jest ci żal, że zadasz mu tyle bólu i cierpienia?

Hilda znów wzruszyła ramionami.

— Nic na to nie poradzę. W końcu tu chodzi o moje szczęście i ono jest dla mnie najważniejsze.

Lora miała ochotę potrząsnąć nią z całych sił.

— Wierzysz w to, że będziesz szczęśliwa z kimś takim jak Frankenstein, z człowiekiem, który w gruncie rzeczy wcale ci się nie podoba?

— Będzie spełniał wszystkie moje życzenia. Wydostanę się nareszcie z tych wszystkich codziennych trosk i będę żyła w luksusie. To na pewno uczyni mnie szczęśliwą. Proszę cię, nie bądź bardziej sentymentalna, niż to jest konieczne. Sundheim się nie załamie z mojego powodu, a ja mam coś, do czego warto było dążyć. Muszę jutro porozmawiać z Richardem Sundheimem — pomóż mi, proszę, zaaranżować półgodzinną rozmowę bez świadków. Powiem mu po prostu, że po tej scenie ze stryjem czuję się zwolniona z przyrzeczenia, które mu dałam w innych warunkach, i że zaręczyłam się z Frankensteinem. Będzie musiał się z tym pogodzić.

Lora zacisnęła kurczowo dłoń.

— Jeśli moje domysły są słuszne, to czy nie ciąży ci na sumieniu fakt, że Frankenstein pozbawił Richarda spadku, oczerniając go przed stryjem?

— Pogodzą się za jakiś czas.

— A jeśli nie?

— O, Boże! To wtedy ja też nic na to nie poradzę. Przecież niczego nie zrobiłam, żeby do tego doszło.

— Niczego poza tym, że prowadziłaś podwójną grę, robiąc do Frankensteinia słodkie oczy i budząc jego zazdrość o Richarda.

Hilda wstała, nie tając złego humoru.

— Bądź tak dobra i nie rób mi wiecznych wymówek. Zrobiłam to, co uznałam za najlepsze dla siebie, w pierwszej kolejności. Ostrzegam cię, żebyś swoich podejrzeń co do Frankensteinia nie przyoblekała w słowa i z nikim o tym nie rozmawiała. Na mglistych domysłach nie można budować oskarżeń. Zwłaszcza niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby cokolwiek powiedzieć Sundheimowi, bo mogłoby z tego wynikać wiele złego. Gdyby doszło do pojedynku i któryś z nich by zginął, tylko ty byłabyś temu winna. Ja nie chcę już więcej o tym słuchać; pozwoliłam ci mówić, bo jesteśmy same. Ale każde następne słowo przeciwko Frankensteinowi poczytam sobie za obrazę. Bądź na to przygotowana.

Siostry nie zamieniły już ani słowa więcej i ułożyły się do snu. Lecz kiedy miarowy, spokojny oddech Hildy dał wkrótce znać, że zasnęła, Lora leżała wpatrzona płonącymi oczami w ciemność. Czuła się współwinna nieszczęściu Richarda, gdyż nie starczyło jej odwagi, by ostrzec go przed Hildą. Z obawy, by nie domyślił się, jak bardzo go kocha, milczała i pozwoliła mu brnąć w nieszczęście. Trzeba było raczej zaryzykować swoją tajemnicę i ostrzec go. Może by się ocknął, otrząsnął ze swego oczarowania, a Frankenstein, nie mając powodu do zazdrości, nie oczerniłby go przed stryjem?

I tak przy całej bezgranicznej miłości do Richarda stała się współwinna jego niedoli. Jak uporać się z tą świadomością? Z sercem pełnym obaw i żalu rozważała, jak naprawić zło, które wyrządziła mu Hilda, lecz za które również ona ponosiła i nadal ponosić będzie część winy.

VI

Richard Sundheim pozostawił oba wielkie kufry w przechowalni dworcowej; do hotelu zabrał tylko neseser. Ciągle jeszcze nie zdecydował, co czynić dalej. Wpierw jednak powinien porozmawiać z Hildą. W hotelowym pokoju usiadł i wpatrzył się w przestrzeń za oknem. Było jeszcze za wcześnie, żeby pójść do

Darlandów. Hilda oczekiwać go będzie dopiero o jedenastej. Próbował uporządkować myśli i choć było mu niezmiernie ciężko, doszedł do wniosku, że w obecnej sytuacji powinien zwrócić Hildzie słowo. Tak, musi zwrócić jej wolność, to jego obowiązek. W głębi duszy miał jednak nadzieję, że Hilda nie przyjmie jego gestu i powie: „Kocham cię i będę czekać na ciebie; cokolwiek los nam zgotuje, pójdziemy dalej razem”. Wierzył w Hildę i postanowił dołożyć wszystkich sił, aby w krótkim czasie móc zaofiarować jej znośną egzystencję bez materialnych trosk.

Łamał sobie głowę, co należało zrobić, żeby swoją życiową łódź przeprowadzić przez burzę i zawinąć do bezpiecznego portu. Był młody, zdrowy, miał parę mocnych rąk do pracy i silną wolę, żeby nie pójść na dno. Na przekór złym mocom — wytrwać.

Słowa poety*¹ wydały mu się nagle wskazówką, wyzwoliły w nim silną wiarę w siebie i niezłomną wolę życia, sprawiły, że Richard zdecydowanym ruchem podniósł głowę. Nie wolno mu poddać się zwątpieniu, musi wziąć los we własne ręce, jeśli chce nad nim panować.

Tkwiący w portfelu czek palił go niczym ogień. Jakże chętnie zwróciłby go stryjowi i jak bardzo go upokarzało, że nie mógł sobie pozwolić na ten luksus w obecnym położeniu, choć w istocie na rozpoczęcie nowego życia było tych pieniędzy o wiele za mało.

Znów zaczęła go nurtować myśl o wyjeździe. Dysponując sumą tysiąca trzystu marek, mógłby pokusić się o wyjazd za granicę — ale co potem? I dokąd się udać?

Przypomniawszy sobie o listach Heinza Martensa, który wyjechał do Afryki Południowo-Zachodniej i tam dorobił się całkiem możliwych warunków egzystencji. Ale Heinz Martens miał jednak pewne skromne zasoby pieniężne, z którymi w Niemczech niewiele mógłby zwojować, w Afryce natomiast pozwoliły mu one wziąć w dzierżawę farmę od pewnych Anglików. Heinz kupił także bydło i dobrze na tym wyszedł. Ile właściwie pieniędzy miał Heinz, kiedy wyjeżdżał do Afryki?

¹ Mowa o znanym wierszu J. W. Goethego *Beherrigung, Ein Gleiches* (Pod rozwagę, Przestroga wtóra), którego końcowa zwrotka brzmi następująco: Na przekór złym mocom / Wytrwać mimo kłęski, / Nie ulec słabości / I z Bożą pomocą, / Silny i zwycięski, / Zwalczyć przeciwności, (przyp. tłum.),

Richard zerwał się, wydobył z neseseru plik listów Heinza i z gorączkową ciekawością zaczął je wertować. W jednym z nich przeczytał:

Człowiek rzutki może tu wyjść na swoje, chociaż warunki są ciężkie. Anglicy chętnie wypuszczają w dzierżawę dawne posiadłości niemieckie także Niemcom, bo wydają im się godni zaufania. Jednakże nie należy przyjeżdżać tu z gołymi rękami; trzeba mieć coś jako poręczenie. Życie farmera nie jest tu z pewnością łatwe, ale nie tak deprymujące jak w Niemczech położenie rolnika bez kawałka własnego gruntu. Kiedy tu przybyłem, miałem zaledwie dwadzieścia tysięcy marek. Za tę sumę nie kupiłbym w kraju nawet najbardziej nędznego folwarczku. Tutaj wystarczyło mi na zapłacenie pierwszej raty dzierżawy oraz na kupno bydła i niezbędnych narzędzi. Na początku było bardzo dużo pracy, ale z czasem wszystko zaczęło sprawnie posuwać się naprzód.

Teraz mam już kilku ludzi do pomocy. Nie mają wielkich wymagań i zadowolają się zapasem prowiantu, który otrzymują co sobotę na cały tydzień, oraz paroma szylingami na ekstra wydatki.

W innym liście Heinz pisał:

Ty, drogi Richardzie, będziesz się litościwie uśmiechał, czytając moje opisy życia w Afryce. Siedzisz sobie zadowolony we wspaniałym stryjowskim majątku i radujesz się obfitymi plonami. Tutaj nie można o tym marzyć. Dobrze jest, jeśli bydło ma paszę, a wodopój nie wysechł. Ale w końcu można sobie ze wszystkim poradzić. Właściwie należy współczuć tym, którym pieczone gołąbki same wlatują do gąbki, bo mężczyzna jak Ty mógłby tutaj lepiej wypróbować swe siły. Życie bardziej cieszy, jeśli człowiek sam wszystko wywalczy i zdobędzie własną pracą. W Twoim ostatnim liście było jednak tyle tęsknoty za wolnością i przygodą, że nie chciałbym powiększać tego ucisku serca. No, ale dość już o tym! Szczęśliwy, kto nie odczuwa potrzeby walki z przeciwnościami życia. Człowiek _się tylko pociesza takimi panegirykami ku chwale tutejszego prymitywnego życia, czasem zaś ogarnia cholerna tęsknota za wykrochmalonym gorsem fraka i lakierkami. Czegoś takiego tu bowiem nie uświadczysz.

Richard przeczytał wszystkie listy po kolei, a kiedy je zebrał i poskładał, zamyślił się głęboko, a więc Heinz miał dwadzieścia tysięcy marek, kiedy wyruszał do Afryki. No, tak. Jeśli ma się taką sumę lub przynajmniej można ją od kogoś pożyczyć... Ale kto jemu, wydziedziczonemu, mógłby zawierzyć tyle pienię-

dzy? Oczywiście, gdyby jeszcze był spadkobiercą majątku Gorin, mógłby bez trudu pożyczyć taką sumę, ale teraz?

Trzeba więc będzie obyć się bez pieniędzy; nawiązać kontakt z Heinzem i zapytać go, czy tam, w Afryce, można gdzieś zaczepić się, nie dysponując gotówką. Przecież są tam olbrzymie farmy, w których z pewnością potrzebują zdolnych pracowników.

Ale teraz najpierw do Hildy. Jeśli ma zjawić się punktualnie o jedenastej, powinien zaraz wyjść. Nie chciał, żeby Hilda czekała; na pewno niepokoi się o niego.

Szybko zebrał się do wyjścia. I znowu wszystkie jego myśli były przy niej. Nadal uważał, że musi zwrócić Hildzie wolność, ale nie opuszczała go nadzieja, iż Hilda pozostanie przy nim na dołę i niedołę, na dobre i na złe.

Kwadrans później stanął przed mieszkaniem Darlandów i pociągnął za dzwonek. Drzwi otworzyła młoda służąca.

— Czy państwo przyjmują?

— Proszę bardzo.

Służąca wzięła od niego wizytówkę i zaniósła do bawialni, gdzie siedziały już Hilda, Lora i matka Hildy — profesor był jeszcze w gimnazjum. Profesorowa spojrzała na wizytówkę i zrobiła rozczarowaną minę — oczekiwała narzeczonego Hildy.

— To tylko młody Sundheim — powiedziała, patrząc na córkę pytająco.

Lora drgnęła i silnie zbladła, za to Hilda podniosła się spokojnie z miejsca.

— Proszę wprowadzić pana do salonu — poleciła służącej, a potem zwróciła się do matki: — Mamo, muszę pomówić z panem Sundheimem tylko w cztery oczy; mam mu coś do zakomunikowania.

— Ależ, Hildo, co będzie, jeśli zjawi się twój narzeczony? — sprzeciwiła się matka niepewnie, myśląc zapewne o tym, że Hilda flirtowała z Sundheimem.

— Frankenstein przyjdzie dopiero o dwunastej. Muszę pomówić z panem Sundheimem na osobności. Proszę cię, zatrzymaj papę, jeśli wróci wcześniej, a ty, Loro, dopilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

To powiedziawszy, Hilda wyszła z pokoju.

Lora popatrzyła za nią przerażona i z całej siły zacisnęła usta. Nie mogła niczego zażegnać; wiedziała, że Richard Sundheim zobaczy w całkiem innym świetle kobietę, którą kocha, i że sprawi mu to niewysłowiony ból. Tego nie mogła mu zaoszczędzić, ale gotowa do pomocy za wszelką cenę, skłonna do każdej ofiary obmyśliła podczas bezsennej nocy, jak mogłaby pomóc Richardowi przejść przez to najgorsze.

— Czy wiesz, o czym Hilda chce rozmawiać z Sundheimem? — spytała profesorowa.

— Nie pytaj mnie o to, mamó — odparła Lora bezdźwięcznie i ruszyła w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz, Loro?

— Wyjdę trochę na powietrze; głowa mnie boli.

W korytarzu włożyła kapelusz i płaszcz, po czym opuściła mieszkanie. Błada, ale stanowcza, postanowiła wziąć na siebie część winy za to, co teraz spotka Richarda.

Kiedy Hilda weszła do salonu, Richard poderwał się w jej stronę.

— Hildo, moja kochana, jak dobrze, że nareszcie mogę z tobą porozmawiać!

Hilda cofnęła się, wyprostowała i spojrzała zimno.

— Jestem zmuszona prosić, aby pan zaniechał tej poufalej formy zwracania się do mnie. Zanim zabierze pan głos, proszę wysłuchać, co mam panu do powiedzenia.

Richard miał uczucie, że chluśnięto na niego kubłem zimnej wody. Spojrzał na Hildę zaskoczony — jej oczy patrzyły dumnie i odpychająco, były obce i zimne, a głos brzmiał inaczej niż zwykle.

— Hildo, co to ma znaczyć? — spytał ochryple.

Hilda uniosła ostrzegawczo dłoń.

— Jeszcze raz proszę o zaniechanie tych poufałości. Nie ma pan do nich prawa. To, co wczoraj wydarzyło się między nami, musi zostać zapomniane. Pan wyłudził podstępnie moje przyrzeczenie, podając nieprawdziwe fakty. Dobitne słowa pańskiego stryja nie pozostawiają co do tego cienia wątpliwości. Wyciągnęłam z nich odpowiednie wnioski i uznałam się za zwolnioną od wszystkiego w chwili, kiedy mnie pan wczoraj wieczorem opuścił.

Richard zbladł, patrząc na nią z przerażeniem.

— Hildo, zastanów się! Przecież nie wierzysz chyba w to, że cię w czymkolwiek oszukiwałem! Nikt nie byłby bardziej zaskoczony niż ja wczorajszym zachowaniem mojego stryja. Daję ci słowo honoru, że zgodził się na nasze małżeństwo i że przyznał mi wszystko to, co upoważniło mnie do zaofiarowania ci życia w dobrobycie, bez trosk materialnych. Ta całkowita zmiana jest dla mnie ciągle jeszcze niezrozumiała, gdyż nie było mi dane porozmawiać z nim. Nie wiem, co się stało, co go skłoniło do takiego agresywnego zachowania wobec mnie, a niestety również wobec ciebie.

Hilda odrzuciła hardo głowę do tyłu.

— Ja w każdym razie nie mam zamiaru zmuszać się do związku, w którym nie przyjmują mnie z otwartymi ramionami. I jeszcze raz wypraszam sobie zwracanie się do mnie po imieniu. Sprawa ma się tak, że jestem wolna — absolutnie wolna od obietnicy, którą złożyłam pod zupełnie innymi warunkami. W każdym razie odzyskałam wolność... i zaręczyłam się wczoraj z panem Ernstem Frankensteinem. To powinno pana przekonać o braku jakichkolwiek widoków na przykucie mnie do siebie i swej tak niepewnej egzystencji.

Richard cofnął się o krok i spojrzał na Hildę takim wzrokiem, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Bardziej niż same słowa zranił go ton, w jakim zostały wypowiedziane. Poblądła twarz Richarda zmieniła się, zwiotczała. Nie, ta młoda kobieta, tak twardo i bezlitośnie odrzucająca jego miłość, nie była tamtą Hildą — bez pamięci kochaną. I To jakaś okrutna, pozbawiona serca istota, która bez drgnienia powieką zraniła go śmiertelnie. Nie powinna jednak nigdy domyślić się, jak bardzo go ugodziła.

— Łaskawa panno Hartung — powiedział schrypniętym głosem, ale z zimną układnością — przyszedłem tu dzisiaj, żeby zwrócić pani wolność, ponieważ moja życiowa sytuacja zmieniła się w istotny sposób. Wierzyłem jednak, że pani

nie zechce tej wolności przyjąć i powie, że cokolwiek los nam zgotuje, pójdziemy dalej razem. Byłem szalony, nie mogąc stłumić w sobie tej nadziei. Dopiero teraz widzę, jaki byłem głupi. Pani sama zwróciła sobie wolność i szybko pocieszyła się kimś, kto może pani zaofiarować nieporównanie więcej niż ja, który mam tylko parę rąk do pracy i mocne postanowienie, by nie zginąć. Pozwoli pani, że złożę jej życzenia szczęścia i pożegnam się.

Skłonił się elegancko i opuścił pokój, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Hilda stała przez chwilę jak skamieniała. Drgnęło w niej coś jakby wstyd, poczuła się upokorzona. Ale szybko jej to przeszło i znów hardo uniosła głowę. Nie miała najmniejszej ochoty na spartaczenie sobie życia. Precz z sentymentalizmem!

Richard Sundheim przemierzył mały korytarz i wyszedł na klatkę schodową nie zauważony. Kiedy zatrząskiwał za sobą drzwi mieszkania, zaczerpnął głęboko tchu, tak jakby jego pierśmiom zrobiło się za ciasno. Tylko on wiedział, co przeżył i przecierpiał w ciągu tych niewielu minut. Jego miłość została brutalnie podeptana. Hilda tylko z nim igrała, nigdy, ani przez chwilę go nie kochała; inaczej nie mogłaby tak postąpić. Widziała w nim jedynie dobrą partię. Bez majątku był jej całkowicie obojętny. Ten Frankenstein, z którego często stroiła sobie żarty, znaczył teraz dla niej więcej, bo był bogaty. I jak szybko postarała się o następcę, nie czekając chwili, kiedy on zwróci jej wolność. A dla zamaskowania własnego chłodu serca nie cofnęła się nawet przed oskarżeniem go o podstępne wyłudzenie jej zgody na małżeństwo.

Richard jęknął głucho i zacisnął szczęki. A więc nic nie ocalało z jego wielkiej miłości — nic poza dręczącym uczuciem pogardy. Dojmujący ból uciskał mu serce. Ale to musi się zmienić, i to szybko, najszybciej jak się da. W jego położeniu nie można pozwalać sobie na obezwładnienie z powodu nieszczęśliwej miłości. Należy z tym walczyć jak z czymś, co podkopuje żywotne siły.

Schodził po schodach ciężkim, twardym krokiem — nie tak, jak na nie wbiegał: elastycznie i lekko. Musi pokonać to, co sprawia mu taki ból.

Na ulicy ruszył przed siebie bez oglądania się. W bladej twarzy silnie drgały mięśnie od wewnętrznego wzburzenia. Pochłonięty myślami nie zauważył, że towarzyszą mu czyjeś lekkie kroki. Dopiero kiedy w cichej bocznej uliczce usły-

szał łagodny, o ciemnej barwie głos wołający go po nawisku, drgnął zaskoczony. Przed nim stała Lora Darland, bardzo blada, z udreką czającą się w wilgotnych od łez oczach. Richard Sundheim zmusił się do spokojnego, towarzyskiego zaganienia rozmowy:

— Czym mogę pani służyć, panno Darland?

Lora przywołała na pomoc całą odwagę, na jaką było ją stać.

— Proszę pana, ja... chciałabym w miarę swoich możliwości naprawić zło, które panu wyrządzono. Wiem wszystko. Wiem, co zaszło wczoraj między panem a Hildą. I wiem również, że... że Hilda pana zdradziła. Domyślam się, ile jest teraz w panu goryczy i rozpacz. To bardzo ryzykowne z mojej strony, że w takim momencie wdzieram się w pańskie sprawy, ale musiałam to uczynić. Nie mogłam pozwolić panu odejść, nie próbując powiedzieć choćby kilku słów pocieszenia, nie usiłując naprawić choćby w części tego, do czego również ja się przyczyniłam.

Richard po raz pierwszy patrzył z rosnącym zainteresowaniem w połyskujące łzami oczy Lory, słuchał słów, w których trzepotało jej serce. Zwrócił też uwagę na zauważony już wczoraj bolesny uśmiech dziewczyny.

— Jeśli pani tak wiele wie, to zapewne zrozumie również, że nie stać mnie w tej chwili na konwersację — rzucił szorstko.

Lora uniosła ręce w geście przerażenia.

— O, Boże! Nie powinien pan myśleć, że zaczepiłam pana, ot, tak sobie. Mam najgłębszą potrzebę, aby panu choć trochę pomóc, dopóki pan sam nie nabierze otuchy. Proszę, bardzo proszę, niech pan nie bierze tego za natręctwo czy jakiś kaprys; to tylko zwykła chęć pomocy i zadośćuczynienia. Wiem, że odczuwa pan ból z powodu Hildy... Aleja obawiam się również, że pański stryj może spełnić swoje wczorajsze groźby.

Richard roześmiał się gorzko.

— Och, już je spełnił. Zostałem wygnany z Gorin, wyrzucony na bruk i stoję w obliczu życiowej ruiny. Na Boga! To wszystko razem tak mnie zdruzgotało, że muszę zebrać wszystkie siły, aby się całkowicie nie załamać. Panna Hartung miała rację, że się ze mną rozstała. Nie należy się wiązać z kimś naznaczonym

przez nieszczęście. Także pani radzę nie troszczyć się o mnie więcej. Proszę pozwolić mi odejść; jestem dziś kiepskim towarzyszem.

Lora potrząsnęła energicznie głową.

— Nie pozwolę panu tak po prostu odejść. Potrzebuje pan teraz człowieka, który by pana rozumiał i był bez reszty oddany.

Spojrzał na nią z uwagą.

— Co panią skłoniło do pójścia za mną i okazania mi aż tak wielkiego współczucia?

Westchnęła ciężko i uśmiechnęła się tym samym smutnym uśmiechem, co wczorajszego wieczoru, ale tym razem nie umknęła spojrzeniem, popatrzyła mu w oczy prosto i szczerze.

— Już panu mówiłam: czuję się współwinna temu, co pana spotkało.

— Współwinna? Pani? — zdumiał się. — W jaki sposób?

Splotła mocno dłonie, jak gdyby chcąc dodać sobie odwagi.

— To, co teraz wyznam, traktuję jako pokutę. Jestem współwinna, gdyż nie ostrzegłam pana w porę, że Hilda prowadzi oszukańczą grę; że to, co do pana odczuwa, to nie miłość, lecz chęć wydania się bogato za męża. Hilda rozważała z zimną krwią, kto może zaofiarować jej więcej bogactwa i luksusów: pan czy Frankenstein. Pan miał pewną przewagę z racji eleganckiej prezencji i dlatego, że pana można jej było bardziej zazdrościć. Frankenstein jest jej wprost niesympatyczny, ale szybko, już wczoraj wieczorem, zaręczyła się z nim, kiedy pański stryj zagroził, że pana wydziedziczy. Mówię o tym wszystkim za późno. Byłam zbyt małostkowa; obawiałam się, że się odsłonię, ile pan dla mnie znaczy... Tak — kocham pana. Niech to wyznanie będzie pokutą za moje tchórzostwo. To dlatego czuję się współwinna. Gdybym ostrzegła pana dostatecznie wcześniej, zanim oświadczył się pan Hildzie i zwierzył stryjowi ze swych planów, nie doszłoby do tej sceny wydziedziczenia, jestem o tym głęboko przekonana. Przecież stryj zaczął podejrzewać pana o czekanie na jego śmierć dopiero wtedy, kiedy dowiedział się o pańskich zamiarach poślubienia Hildy. Powiedziałam już wszystko, ostatecznie upokorzyłam się, wyznając swoje uczucie, ale mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za wyzutą z kobiecej godności. Może zdołam dodać panu choć trochę otuchy, a także udowodnić, że nie umiera się z nieszczęśliwej

miłości. Moja odwaga nie powinna wprawiać pana w zakłopotanie. A że wpędziłam pana w biedę, chciałabym w miarę możliwości pomóc. Musi pan uwierzyć, że jest obok pana ktoś, kto z całego serca chce panu pomóc.

Richard słuchał tego zbity z tropu. Głęboko poruszony patrzył w rozedrganą twarz dziewczyny i pełne poświęcenia oczy.

— Pani mnie zawstydza, droga panno Loro. Pojmuję, czym dla pani było uczynić mi to wyznanie. I oto stoję przed panią z pustymi rękami, nie mogąc niczym odplącić pani za dobroć.

Uśmiechając się przez łzy, potrząsnęła głową.

— Chciałam tylko naprawić to, co ja i inni wyrządziliśmy panu.

— Proszę nie mówić o swojej winie; nie mogła pani nic zrobić. Chciałbym tylko móc odwdzięczyć się za to, że pani tak ujęła się za mną.

— Na miłość boską, tylko ani słowa o wdzięczności, bardzo o to proszę. I proszę mi także wierzyć, że nie pragnę niczego poza tym, żeby pomóc panu przetrwać ten najgorszy moment. Jeśli taka słaba dziewczyna jak ja może uporać się z nieszczęśliwą miłością, to i pan da sobie radę, prawda?

Richard głęboko westchnął.

— Niech pani się tym nie martwi. Jeśli musi się kimś gardzić, to i miłość szybko się kończy. Tylko że to wszystko jest jeszcze zbyt świeże. Rana, którą mi zadano, jeszcze pali. Pani wzruszyła mnie głęboko swoją szlachetnością, pełną dumy odwagą. Żałuję, że nie mogę podziękować pani tak, jak bym chciał.

— Żadnych podziękowań! Niech pan zapomni, proszę, co panu wyznałam. Przyszło mi to bardzo ciężko, ale... inaczej nie byłoby pokuty.

— Nie, nigdy nie zapomnę i będę zawsze o pani myślał ze wzruszeniem i wdzięcznością. Muszę pani podziękować.

Spojrzała na niego prosząco.

— Jeśli rzeczywiście chce mi pan podziękować, to proszę mi obiecać, że nie da się pan zniechęcić tym wszystkim, co teraz pana czeka. Proszę mi powiedzieć, czy Stryj rzeczywiście odmówił panu wszelkiej pomocy?

— Tak, dziś rano musiałem opuścić jego dom na zawsze. Stryj kazał też niezwłocznie sprowadzić notariusza, żeby sporządzić nowy testament, w którym jedynym spadkobiercą majątku uczyni swego dalekiego krewnego. Na pożegnanie napisał do mnie tym samym raniącym tonem tylko kilka linijek i załączył czek na tysiąc marek. Dręczy mnie, że muszę go przyjąć, ale sprawy mają się tak, że nie pozostaje mi nic innego, jak wyjechać za granicę. Chcę udać się do Afryki, chociaż widoki dla kogoś, kto nie dysponuje odpowiednią sumą na zagospodarowanie, są właściwie żadne. Ale tu, w Niemczech, prędzej umrę z głodu, nim dostanę jakąś posadę. Tych pieniędzy potrzebuję na podróż; gdyby nie to, chętnie bym zwrócił czek, gdyż ofiarowano mi go w ubliżający sposób.

Lora spojrzała na niego rozgorzałymi oczami.

— Więc niech pan zwróci ten czek; wierzę, że pan chętnie to uczyni. Proszę jednak pozwolić sobie pomóc, żeby rzecz stała się możliwa.

Richard wzruszył ramionami.

— Chciałbym panią prosić... — zaczął chłodno i z niechęcią.

Uniosła ręce błagalnym gestem.

— Proszę, niech pan nie rozumie mnie źle. Wiem, że mężczyzna taki jak pan nigdy nie przyjmie pieniędzy od kobiety; ja ich zresztą nie mam. Ale pan powiedział, że bez pieniędzy trudno w Afryce cokolwiek zaczynać. Dlaczego nie pożyczysz więc pan takiej sumy, jakiej pan potrzebuje?

— Ponieważ nikt mi nie pożyczy po tym, jak zostałem wydziedziczony. Chociaż nie... jest człowiek, który pożyczyłby mi wszystko, co posiada: stary służący z Gorin, który mnie wychował. Jest do mnie tak przywiązany, że przeżywa moją banicję równie mocno jak ja. Ofiarował mi trzy tysiące marek, które zdołał uciuć. Oczywiście, nie wziąłem ich, bo to pieniądze przeznaczone na czarną godzinę, niemniej stary zrobił mi ogromną przyjemność i nigdy mu tego nie zapomnę. Ale poza tym służącym nikt nie pożyczy mi ani szeląga, jeśli powiem, w jakim jestem położeniu.

Lora żywo podniosła głowę.

— A ja znam kogoś, kto pożyczy panu bez trudności. Mam przyjaciół. Moja szkolna koleżanka, której kiedyś wyświadczyłam przysługę, wyszła za mąż za bogatego fabrykanta. On pożycza różnym przyzwoitym ludziom na umiarkowany procent. Jeśli go poproszę, na pewno pożyczy panu. Ile będzie pan potrzebował?

Jej oczy zawisły niespokojnie na twarzy Richarda. Czy niewielki fundusik po ciotce wystarczy, żeby mu pomóc? Lora nie mówiła prawdy: to nie jej przyjaciele, lecz ona sama chciała pożyczyć Richardowi pieniędzy — z zachowaniem pozorów, tak żeby on o tym nie wiedział.

Richard dziwił się sobie, że stoi i rozmawia z tą młodą dziewczyną o swoich najskrytszych zmartwieniach jak gdyby nigdy r.ic. Poważne spojrzenie ślicznych brązowych oczu sprawiało, że słowa przechodziły mu tak łatwo przez usta, jak gdyby Lora była jego najlepszym przyjacielem.

Spojrzał na nią z uwagą.

— I pani chciałaby mi pomóc w tej transakcji? No, nie! Pani przyjaciele nie zawierzą mi pieniędzy; nie mam przecież żadnego zabezpieczenia finansowego.

— Pan sam jest najlepszym zabezpieczeniem.

Spojrzał na nią rozrzewniony.

— Może pani to wystarczy, ale ludzie interesu są ostrożni.

— Wiem, jednakże moje wstawiennictwo jest dla moich przyjaciół wystarczającą poręką. Wierzę, że otrzyma pan, jeśli suma nie będzie zbyt wysoka. Ile pan potrzebuje?

Richard potrząsnął głową.

— To przyszło tak nagle, tak nieoczekiwanie... ale na Boga, nie mogę pozwolić sobie na luksus zaprzepaszczenia takiej okazji! Jeśli pani znajomi rzeczywiście mogliby mi pożyczyć... otóż mój przyjaciel wywędrował do Afryki z dwudziestoma tysiącami marek i z tym zdołał tam stanąć na nogi.

Lora odetchnęła z ulgą, oczy jej pojaśniały.

— Och, tyle otrzyma pan na pewno; może nawet trochę więcej... Poproszę w pańskim imieniu o trzydzieści tysięcy marek, żeby pan miał swobodę ruchów i mógł od razu zacząć coś większego.

Lora była rozgorączkowana, oczy jej błyszczały. Richard spoglądał na nią, dziwiąc się w duchu różnicy między nią a Hildą. Potem jednak znów ogarnęły go wątpliwości: czy powinien zgodzić się, żeby Lora zabiegała wokół jego spraw? Kocha go i już dowiodła swej gotowości do ponoszenia ofiar. Może nakłonienie owych przyjaciół do tak niepewnego interesu wcale nie było takie łatwe, jak to przedstawiała?

Dziewczyna zauważyła jego rozterkę i wahania. Spojrzała z lękiem, kiedy Richard gwałtownie potrząsnął głową, mówiąc:

— Nie! Nie mogę zgodzić się, żeby pani wstawiała się za mną u swych przyjaciół. Nie mogę przyjąć tak wielkiej przysługi od młodej damy.

Oczy Lory pociemniały.

— Czy jest pan rzeczywiście tak małostkowy? Nie uważa pan, że poniosłam znacznie większą ofiarę, mówiąc głośno to wszystko, co w pańskich oczach musiało obdrzeć mnie z kobiecej godności? — rzuciła wzburzona.

Richard zaprzeczył ruchem głowy.

— Kobieca godność? Nie, nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek kobieta mogła w równie doskonały sposób przekonać o swej godności, jak pani to uczyniła. Proszę mi wierzyć, że podziwiam panią i szanuję właśnie za jej dumną odwagę. Doprawdy, w porównaniu z panią wydaję się sobie mały z moimi lęklivymi skrupułami, czy wolno mi przyjąć od pani taką przysługę. Niemniej jest dla mnie rzeczą przygnębiającą, że mam przyjąć pomoc od kobiety.

Lora rzuciła mu niemal gniewne spojrzenie.

— Gdybym przypadkowo była o trzydzieści lat starsza, to nie czułby się pan aż tak przygnębiony, prawda? Niechże pan odłoży na bok mój wiek i przestanie traktować mnie jak młodą damę. Mój Boże, niech pan nareszcie wyzbędzie się małostkowości i nie utrudnia mi zrobienia czegoś, co zmniejszyłoby nieco moją i mojej siostry winę. Przecież tu naprawdę chodzi o zwykły interes i moja osoba jako kobiety nie ma z tym nic wspólnego. Moi przyjaciele pożyczają pieniądze różnym ludziom, nie zaryzykują niczym również w pańskim przypadku, wiem to na pewno. Nie zrobię w tej sprawie nic poza tym, że zaprowadzę pana do nich i zaświadczę, że jest pan uczciwym, przyzwoitym człowiekiem.

Po jego ustach przemknął gorzki uśmiech.

— Pani ufa mi tak wspaniałomyślnie, a pani siostra zarzuciła mi, że wyłudziłem od niej słowo, stwarzając fałszywe pozory.

Twarz Lory oblał ciemny rumieniec.

— Więc jednak odważyła się? To niesłychane! Pewnie sama w to nie wierzy. Chciała tylko za wszelką cenę znaleźć pretekst do zerwania z panem, bo zaręczyła się z Frankensteinem. W rzeczywistości nie wątpi w pańskie poczucie honoru tak samo jak ja.

— A więc dobrze, odkładam na bok wszelkie skrupuły i przyjmuję pani wspaniałomyślną ofertę. Jeśli pani przyjaciele zechcą mi pożyczyć dwadzieścia do trzydziestu tysięcy marek, zrobię wszystko, co w mej mocy, aby zwrócić dług w możliwie najkrótszym czasie i przysyłać regularnie odsetki. Gdybym miał jakąś inną drogę wyjścia, nie wykorzystywałbym pani dobroci, ale w mojej sytuacji jestem poniekąd skazany na czyjąś pomoc. Kamień spadnie mi z serca, jeśli będę mógł zwrócić stryjowi ofiarowany mi czek. Oby Bóg dopomógł mi zwrócić mu kiedyś wszystko, co na mnie wydał, kiedy żyłem pod jego "dachem". Wrogi wpływ, którego źródła nie znam, nastawił stryja przeciwko mnie, oczernił w jego oczach. Ale stało się to dopiero wczoraj wieczorem, bo kiedy przyjechaliśmy razem do klubu, miałem już przecież jego zgodę na moje plany małżeńskie, a nawet różne obietnice w związku z bliskim ślubem, i w ogóle wszystko było między nami jak zwykle. Jest dla mnie zagadką, co wpłynęło na tak gwałtowną zmianę. Mogłem przyjmować od niego wszystko, kiedy płynęło to z dobroci, ale wziąć cokolwiek teraz, wśród gniewu i podejrzeń, jest czymś okropnym. Będę szczęśliwy, mogąc zwrócić mu ten czek.

Lora nie miała odwagi spojrzeć Richardowi w oczy — wiedziała przecież, kto go oczernił. Wszystko było oczywiste. Ale pamiętała słowa Hildy, że jeśli powie Richardowi o swych domysłach, może dojść do tragedii. Tak, Richard w żadnym wypadku nie powinien o niczym wiedzieć. Nie wolno jej także z nikim innym o tym rozmawiać. Musi milczeć. Dobrze choć to, że Richard nie odrzucił jej pomocy.

— Niech pan pójdzie ze mną od razu do moich przyjaciół. Mieszkają niedaleko stąd. Jeśli zaczeka pan kilka minut na zewnątrz, pójde pierwsza i porozmawiam z nimi. Zawołam pana tylko wtedy, jeśli się zgodzą; w przeciwnym razie nie muszą wiedzieć, o kogo chodziło. Ale jestem pewna, że będę miała dobre wiadomości dla pana.

Richard ruszył z miejsca, jak gdyby posłuszny jakiejś wewnętrznej presji. Idąc, co raz to zerkał z boku na śliczny profil Lory. Jaka ciągle jeszcze była blada i roztrzęsiona! Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, której uczucie łączyłoby się z tak wielkim samozaparciem. Szczere wyznanie miłości nie pozbawiło jej ani kobiecej godności, ani czystości, jemu zaś wydało* się czynem wręcz heroicznym.

Szli obok siebie w milczeniu. Richard widział, że dziewczyna ciągle jeszcze walczy z onieśmieleniem, i chciał jej dać trochę czasu na odzyskanie duchowej równowagi. Po raz pierwszy zauważył delikatne, miłe rysy twarzy Lory, włosy o pięknym odcieniu, smukłą, dziewczęcą sylwetkę i śliczne oczy. Ta młoda istota była z całą pewnością stworzona do tego, aby dać komuś szczęście. Zabolalo go, że nie może odwzajemnić jej uczucia. Jego serce, udręczone i nieszczęśliwe, bilo jednak ciągle jeszcze do tej, którą musiał gardzić.

Lora zatrzymała się nagle przed domem zbudowanym na kształt czegoś w rodzaju willi. Za domem widać było duży ogród. A dalej — aż do samej rzeki — ciągnęły się tereny fabryczne.

— Jesteśmy na miejscu. Proszę, niech pan zaczeka kilka minut.

Pochylił się w ukłonie i spojrzał na nią poważnie.

— Oby pani nigdy nie żałowała tego, co chce pani dla mnie uczynić — powiedział, uściskawszy gorąco jej dłoń.

Zaczerpnęła głęboko tchu; jej oczy pojaśniały ze szczęścia.

— Nie, nigdy! I niech pan nie wyolbrzymia zwykłej drobnostki. Tych kilka słów wstawiennictwa przejdzie mi łatwiej przez usta niż to, co musiałam panu wyznać.

Spojrzał na nią głęboko poruszony.

— Zawsze będę pamiętał o pani heroicznej odwadze.

Uśmiechnęła się blado.

— To istotnie był akt bohaterstwa — rzuciła łamiącym się głosem.

— Wiem o tym lepiej niż pan. Ale proszę zapomnieć jak najprędzej o tym moim bohaterstwie.

— Tego nie mogę obiecać, bo to wspomnienie będę przechowywać jak świętość. Kiedy było mi strasznie ciężko i źle na duszy, dzięki pani nagle zobaczyłem światło. Będę się krzepił tym wspomnieniem w trudnych i gorzkich chwilach, które na mnie czekają. Zawsze będzie mi pociechą myśl, że pewna kobieta zachowała się tak niezwykle dzielnie — dla mnie.

Lora zarumieniła się zmieszana i szybko otworzyła furtkę. Richard, spacerując tam i z powrotem, patrzył za nią, jak szła przez ogród i wchodziła do domu wpuszczona przez służącego. Kiedy znikła, odczuł znowu, jak bardzo jest samotny i opuszczony na tym świecie, jak uszło z jego życia wszystko, co było piękne i dobre. Zacisnął zęby. Tylko nie dać się słabości! Na przekór złym mocom — wytrwać! Potrzeba mu będzie jeszcze wiele uporów. I nagle wydało mu się wielce wątpliwe, żeby mógł otrzymać tę pożyczkę — człowiek interesu będzie chciał przecież innego zabezpieczenia niż słowa zakochanej kobiety.

VII

Służący zaprowadził Lorę jak zwykle, bez meldowania, do pokoju pani Grety Heims. Lora była tu częstym i mile widzianym gościem. Kiedyś, gdy Greta była jeszcze zaręczona ze swym obecnym mężem, Lora uratowała ją od niechybnej śmierci. Tamtego krytycznego dnia pływały na wezbranej rzece, kiedy Gretę chwycił nagle silny skurcz. Lora, doskonała pływaczka, zauważyła, co się dzieje.

Nie bacząc na własne bezpieczeństwo, rzuciła się przyjaciółce na ratunek i odholowała ją aż na brzeg. Kiedy obydwie były już bezpieczne, Lore opuściły nagle siły i straciła przytomność. Greta natomiast szybko doszła do siebie. Zgromadzeni wokół nich ludzie wnieśli Lore do budynku wypożyczalni łódek i udzielili jej pierwszej pomocy. Przygoda nie miała na szczęście żadnych następstw dla obu młodych dam, ale Greta Heims oraz jej narzeczony, którego wkrótce poślubiła, nigdy nie zapomnieli, że Greta zawdzięcza swej przyjaciółce życie.

Teraz uradowana Greta Heims wyszła Lore naprzeciw.

— Nareszcie się pokazałaś! Tak długo cię u nas nie było.

— Musisz mi wybaczyć, kochanie. Byłam ostatnio bardzo zajęta w związku z tym balem w „Zgodzie”. Szyłam nowe suknie: dla Hildy, mamy i dla mnie, a dla Hildy jeszcze dodatkowo płaszcz.

— No tak, twoja siostra znów cię ze szczętem wykorzystwała. Podziwiałam wczoraj twoje dzieła, Loro; wasze suknie należały do najpiękniejszych na balu. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że nie pochodzą z pierwszorzędnego salonu mody.

— I nikt poza tobą nie powinien się tego domyślać. Hilda wyszłaby z siebie, gdyby ją ktoś podejrzewał o noszenie sukien szytych w domu.

— Och, twoją piękną siostrę można by podejrzewać o niejedno, i to w sprawach mało chlubnych. Chodź, siadaj, Loro. Czy pozostaniesz trochę dłużej?

— Teraz nie, Greto. Przyjdę któregoś dnia po południu na dłuższą pogawędkę. Dziś sprowadziła mnie do was szczególna prośba. Chcę prosić ciebie i twojego męża o przysługę.

— Naprawdę? Czy dasz nam nareszcie okazję do choćby częściowego spłacenia naszego wielkiego długu wdzięczności?

Lora uśmiechnęła się.

— Nic nie wiem o długu wdzięczności.

— Och, Loro, przecież uratowałaś mi życie!

— Proszę cię, nie mówmy o tym więcej. Ty zrobiłabyś to samo w podobnym wypadku.

— Być może. Przynajmniej próbowałabym, ale prawdopodobnie obie byśmy utonęły, bo ja nie pływam tak dobrze jak ty. Jest mi przykro, że nigdy nie dałaś mi okazji do odwdzięczenia ci się i spłacenia długu.

— No więc dobrze, dziś chcę dać tę okazję tobie i twemu mężowi, ale później już nigdy nie będzie mowy o długach wdzięczności, dobrze?

— Co mam zrobić, Loro?

— Pomóż mi nakłonić twojego męża, żeby wyświadczył mi wielką grzeczność.

— Nie będę musiała go do niczego nakłaniać.

— Czy twój mąż jest w domu?

— Jest na terenie fabryki. Zaraz go tutaj ściągnę.

— Bardzo cię o to proszę.

Greta zadzwoniła do męża i poprosiła o niezwłoczne przyjście.

— Georg zaraz tu będzie, Loro. A teraz powiedz, co mamy dla ciebie zrobić.

— Poczekajmy, aż zjawi się twój mąż. Nie chciałabym mówić dwa razy tego samego.

Wkrótce potem przyszedł Georg Heims.

— Dzień dobry, panno Loro! — powiedział z uśmiechem, przysiadając się do pań. — Greta powiedziała, że pani mnie potrzebuje, więc jestem.

Lora zaczerpnęła głęboko tchu i mocno zacisnęła dłonie.

— Chodzi, moi drodzy, o to, że chciałabym naprawić zło, które moja siostra wyrządziła pewnemu człowiekowi. Wam mogę jak zwykle zwierzyć się w zaufaniu z całej tej historii.

I Lora opowiedziała, jak Hilda kokietowała Richarda Sundheima, jak wczorajszego wieczoru przyjęła jego oświadczyzny i co potem nastąpiło.

— Przed wami nie będę robić tajemnicy z moich domysłów, a mianowicie, że to Frankenstein, chcąc zdobyć Hildę, naopowiadał staremu Sundheimowi ja-

kichś oszczerstw i w ten sposób nastawił go przeciwko bratankowi. Starszy pan, jak się wydaje, i bez tego jest z natury podejrzliwy. W każdym razie wyrzekł się bratanka i wydziedziczył go, a Hilda w szorstki sposób zerwała z nim. Ja zaś jestem tym przygnębiona i czuję się współwinna, bo nie ostrzegłam go we właściwym czasie. Hilda tymczasem nie ma żadnych wyrzutów sumienia.

— To ostatnia rzecz, jakiej można by się spodziewać po twojej siostrze. Hilda jest zimna i wyrachowana, wiemy o tym od dawna. Jej zachowanie w tej sprawie jest tylko dowodem, że oceniałam ją właściwie — podsumowała Greta z oburzeniem.

— A Frankenstein jest krętaczem i oszustem, ale Hilda tak mu zatruje życie, że będzie miał za swoje — orzekł Georg Heims. — Ale co dalej, panno Loro, co możemy w tej sprawie zdziałać?

Lora przesunęła dłonią po czole, jak gdyby nagle zrobiło się jej gorąco.

— Chcę pomóc Richardowi Sundheimowi. Został całkowicie bez środków do życia i chce wyjechać do Afryki, gdzie ma przyjaciela. Potrzebuje jednak pieniędzy, żeby tam coś zacząć... trzydziestu tysięcy marek... i ja postanowiłam mu pożyczyć. Jak wiecie, odziedziczyłam po ciotce z Holandii około czterdziestu tysięcy marek, którymi mogę dysponować. Wszystko jedno, czy te pieniądze będą leżały w banku, czy też pożyczę je temu nieszczęśnikowi, żeby mógł stworzyć sobie od nowa egzystencję. Tylko że Richard Sundheim nigdy i za żadną cenę nie przyjmie pieniędzy od kobiety. Dlatego powiedziałam mu, że mam przyjaciół, u których moje słowo coś znaczy, a którzy obracają kapitałami, pożyczając od czasu do czasu niewielkie sumy rzetelnym i przyzwoitym ludziom. Przyprowadziłam Sundheima tutaj; stoi na dole i czeka, czy moi przyjaciele pożyczą mu trzydzieści tysięcy marek wyłącznie na jego ucziwą twarz. On zresztą w to nie wierzy. Chodzi mi więc o to, żeby pan, drogi panie Heims, niby to pożyczył mi tę sumę. Co do mnie, nie potrzebuję żadnego zabezpieczenia, gdyż znam pana Sundheima dostatecznie dobrze i wiem, że pieniądze u niego ulokowane są pewne.

— A jeśli spotka go jakieś nieszczęście, panno Loro? Jeśli nie powiedzie mu się? — spytał Georg Heims jako przezorny człowiek interesu.

— Na pewno mu się powiedzie, a gdyby nie, to zawsze jeszcze pozostanie mi dziesięć tysięcy marek na czarną godzinę. W końcu umiem pracować i mogę

zarabiać na sobie, jeśli zabraknie mi kiedyś ojca. Wystawię panu czek na trzydzieści tysięcy marek, a pan wypłaci tę sumę Richardowi Sundheimowi. Ale on w żadnym razie nie powinien wiedzieć, że te pieniądze pochodzą ode mnie.

— A co na tę pożyczkę powie pani ojciec?

— Ojciec w ogóle nie interesuje się tymi pieniędzmi, dysponuję nimi sama. Proszę, niech pan nie odwodzi mnie od tego zamiaru. Moją powinnością jest pomóc panu Sundheimowi w jego przejściowych tarapatach. Wiem, że niczym nie ryzykuję, ale jestem gotowa podjąć każde ryzyko.

— Dobrze, zrobię to, o co pani prosi, bo widzę, że nie zdołam pani przekonać. Ale proszę mi pozwolić załatwić przynajmniej sprawę w taki sposób pod względem formalnym, żeby zabezpieczyć panią przed ewentualną stratą na tyle, na ile się da.

Lora przytaknęła i uśmiechnęła się z uczuciem ulgi.

— Dobrze, proszę zrobić, co uzna pan za stosowne. Im bardziej formalnie będzie pan tę sprawę przeprowadzał, tym bardziej będzie się wydawała naturalna. On nie powinien mieć cienia podejrzeń, że mogłabym być pożyczkodawcą. Proszę tylko, żeby pan nie policzył mu więcej niż cztery procent odsetek.

— To o wiele za mało przy tak ryzykownym przedsięwzięciu.

— Dla mnie to żadne ryzyko. W banku też nie dostanę większych odsetek. Nie chcę w żadnej mierze zbijać na nim pieniędzy i utrudniać mu dorabiania się.

Omówiono jeszcze kilka szczegółów należących do sprawy, po czym Lora podniosła się.

— Nie chcę pozostawiać go dłużej w niepewności. Pójdę teraz i sprowadzę go tutaj.

Georg Heims powstrzymał Lorę.

— Niech pani poczeka, panno Loro; pošlę służącego.

Lora opadła z powrotem na fotel, a Georg Heims zadzwonił na służącego i polecił mu poprosić do środka pana spacerującego przed domem. Lora pokazała Richarda służącemu przez okno i w chwilę potem Richard Sundheim wszedł do pokoju. Heimsowie nie znali go osobiście, gdyż rzadko udzielali się w miejsco-

wym towarzystwie, a Richard równie rzadko przyjeżdżał z Gorin. Lora przedstawiła go, a gospodarze powitali bardzo życzliwie.

— Panna Lora Darland powiedziała, że potrzebuje pan trzydziestu tysięcy marek na zagospodarowanie w Afryce. Wprawdzie nie znaleźliśmy się dotąd osobiście, ale słyszałem już o panu, a pański stryj należy do moich klientów. Tak więc wstawiennictwo panny Darland nie było konieczne. Ale nie będziemy rozmawiać o formalnościach w obecności pań — może przejdziemy na chwilę do mojego gabinetu.

Richardowi kamień spadł z serca. Złożył paniom ukłon i podążył za gospodarzem.

Przyjaciółki pozostały same. Greta zauważyła rozjaśnione oczy Lory.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Loro — powiedziała ujmując serdecznie jej dłoń. — Młody Sundheim powinien ci być wdzięczny. Teraz, kiedy stryj go wydziedziczył, nikt nie udzieliłby mu pożyczki.

— Właśnie tego się obawiałam i dlatego musiałam mu pomóc. Tu nie chodzi o dobroć, Greto. Powiedziałam ci przecież, że musiałam naprawić to, do czego przyczyniłam się swoim milczeniem.

— Nie mów w tym wypadku o swojej winie. Nie miałaś przecież obowiązku ostrzegać go przed swoją siostrą. Ona zresztą poniesie karę, bo Frankenstein jest wręcz odrażający — głośny i nachalny, typowy dorobkiewicz. Jestem rzeczywiście ciekawa, jak Hilda, lubiąca odgrywać rolę dystygowanej damy, będzie go znosić obok siebie.

Lora wyglądała na zatroskaną.

— Ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co na siebie wzięła. Wiem, że Frankenstein ją mierzi. Mój Boże, wiązać się małżeństwem z kimś, kto jest taki odpychający! To musi być okropne. Obawiam się, że Hilda będzie jeszcze żałować swej decyzji.

— Nie zamartwiaj się, Loro. Twoja siostra jest człowiekiem, dla którego sprawy majątkowe są najważniejsze, więc pogodzi się ze wszystkim za cenę życia w luksusie. A jeśli będzie jej czasem trudno, to nie trzeba jej żałować, bo po stokroć zasłużyła na karę. Zawsze bardzo brzydko odnosiła się do ciebie i nieprawdopodobnie cię wykorzystywała.

Przyjaciółki gawędziły jeszcze przez chwilę, zanim pan domu i Richard Sundheim nie wrócili. Richard miał już w kieszeni czek na trzydzieści tysięcy marek, na które wystawił Heimsowi rewers. Cała transakcja przebiegała gładko i sprawnie. Richard przejęty był uczuciem wdzięczności, a ponadto zaskoczony niskim oprocentowaniem, ale Georg Heims powiedział ze śmiechem, że nie jest lichwiarzem i dlatego odsetki wynosić będą tylko cztery procent. Panowie ustalili przy tym, że Richard będzie przekazywał na konto Georga Heimsa odsetki co kwartał, a kolejne raty długu — co rok.

Richard zapewnił, że dołoży wszelkich starań, żeby spłacić swój dług jak najszybciej, ale pan Heims radził mu pozostawić trochę czasu na rozruch. Najważniejszą rzeczą jest punktualne płacenie odsetek, co Richard przyrzekł bardzo solennie. Uścisnął z wdzięcznością rękę gospodarza, który poczuł się tym nieco zażenowany, wiedząc, że podziękowania nie jemu się należą. Pomyślał jednak z humorem, że ze względu na Lorę będzie musiał jakoś znieść te niezasłużone laury jeszcze przez parę minut.

Richard dziękował potem bardzo serdecznie Lorze za wstawiennictwo, ale dziewczyna odparła ze śmiechem:

— Już słyszeliśmy od pana Heimsa, że udzieliliby panu pożyczki także bez mojej protekcji.

— Ale ja nigdy nie wpadłbym na pomysł, żeby zwrócić się z tym do pana Heimsa. Jestem bardzo poruszony, że otrzymałem znaczną pożyczkę przy tak daleko idących ułatwieniach. Teraz mam tylko jedno gorące życzenie: abym mógł ją jak najszybciej spłacić.

Po krótkiej pogawędce Lora zaczęła się żegnać, Richard zaś postanowił ją odprowadzić, gdyż czuł potrzebę zamienienia z nią paru słów bez świadków.

Po ich wyjściu Georg i Greta wymienili spojrzenia.

— Wiesz co, Gretel? Gdyby pan Sundheim był mądrzejszy, to zakochałby się w Lorze, a nie w tej jej nadętej siostrze.

Zamyślona Greta skinęła głową.

— Szkoda, że on wyjeżdża tak daleko i że nie jest spadkobiercą swego stryja. Może pokochałby Lorę, gdyby przekonał się, że Hilda jest tylko pozerką. Życzyłabym tego Lorze z całego serca, bo coś mi mówi, że on nie jest jej obojętny.

Georg Heims wziął żonę w objęcia.

— Mnie też się tak wydaje, Gretel. Szkoda! Lora jest wspaniała i zasługuje na szczęście. Miejmy nadzieję, że jeszcze je spotka w życiu. A jeżeli tak jest sądzone, to tych dwoje odnajdzie się, nawet jeśli będą ich dzieliły lądy i morza.

Na ulicy Lora podała Richardowi rękę i powiedziała:

— Chciałabym teraz pana pożegnać. Moja misja zakończyła się pomyślnie, a pan ma na razie najgorsze za sobą. Widzimy się chyba po raz ostatni, więc chcę powiedzieć, że będą panu towarzyszyć moje najserdeczniejsze życzenia. Niech pan jedzie z Bogiem i niech się panu szczęści.

Richard przytrzymał ją niemal siłą.

— Pani nie wyobraża sobie, ile dobrego mi pani wyświadczyła. Zwierzyłem się pani ze swoich kłopotów i zgryzot, a pani znalazła na wszystko radę jak wypróbowany, wierny przyjaciel. Dlatego nie mogę pogodzić się z tym, że chce pani teraz całkowicie zniknąć z mojego życia. Chciałbym mieć możliwość okazać pani wdzięczność za tę wielką dobroć. Muszę wywędrować w świat, który jest mi zupełnie obcy. Byłem zawsze sam, także w Gorin, bo między mną a stryjem nie było prawdziwej bliskości. Stary służący stryja był mi sercem bliższy niż mój jedyny krewny. To może wyjaśnia, dlaczego w swym osamotnieniu tak przyłągnąłem do pani siostry. Teraz znów zostałem sam. Nie mam nikogo, do kogo mógłbym wracać myślą, kiedy będę już na obczyźnie. Czy dopełni pani miary swej dobroci i pozwoli mi przesłać od czasu do czasu jakiś znak życia, napisać, jak mi się wiedzie? Czy mógłbym zarazem liczyć na parę słów od pani o tym, co dzieje się w kraju? Będę wprawdzie dostawał co jakiś czas krótkie wiadomości od tego starego służącego, o którym wspominałem, ale to człowiek samotny i niezbyt obyty z piórem. Wiem, że moja prośba jest dalszym wykorzystywaniem pani dobroci, ale przyjąłem od pani tak wiele, więc może jeszcze otrzymam i to.

Lora spłoneęła ciemnym rumieńcem i spojrzała smutno. Teraz, kiedy wiedziała, że Richard na jakiś czas jest zabezpieczony przed biedą i kłopotami, ogarnęła ją dręcząca pewność, że chyba go już nigdy nie zobaczy, a świadomość, że on wie o jej uczuciu, działała paraliżująco.

— Zawsze będę się cieszyć, kiedy otrzymam jakąś wiadomość od pana, i wierzę, że będą to tylko dobre wiadomości. Ale czy będę w stanie odpisać panu, dziś jeszcze nie wiem. Zbyt się przed panem odsłoniłam. Jednak stało się i teraz,

kiedy pan ma już chyba najgorsze za sobą, ogarnął mnie wstyd. Ja... ja pragnę teraz tylko jednego — ukryć się przed panem, zostać sama. Powinien pan to zrozumieć. Niech pan nie nalega na mnie. Kiedy pewnego dnia dojdę do równowagi, odzyskam także siły, by odpowiedzieć na pańskie listy, jeśli do tego czasu nie znuży się pan ich pisaniem.

— Rozumiem panią, panno Loro, rozumiem doskonale. Ale Bóg jeden wie, jak mnie boli, że pani się tak zadrecza. I to tym, że zrobiła pani coś pięknego, miłego i dobrego. Proszę mi jednak uwierzyć: podziwiam panią i szanuję tak bardzo, jak nigdy nie szanowałem żadnej kobiety. To właśnie chciałem powiedzieć pani na pożegnanie. Czy mogę wysłać listy do pani na adres domu rodziców, czy też będzie to dla pani krępujące?

— Nie, może pan spokojnie pisać na adres domowy. Nie mam... niczego do ukrycia. A teraz czas na nas; niech pana Bóg prowadzi i strzeże.

Jeszcze raz ujął oburącz jej dłonie mocnym, ciepłym gestem, jeszcze raz spojrzął w smutne oczy dziewczyny. Lora zmusiła się do bolesnego uśmiechu, który już znał. Skinęła w milczeniu głową, a potem oderwała się od niego i szybko odeszła, z trudem powstrzymując łzy. Richard stał w miejscu i patrzył za nią głęboko wzruszony. Czuł, że odchodzi od niego człowiek bardzo miły, dumny i czysty; ktoś kto ofiarował mu bardzo wiele, a komu nie mógł odpłacić tak, jak by chciał. Wiedział, że zaciągnął u tej dziewczyny wielki dług, lecz nie przeczuwał, jak wiele jej zawdzięcza. To, co dla niego uczyniła, niwelowało w jakiś sposób zło, które mu wyrządziła tamta. Moralna wartość jednej równa była nicości drugiej.

Powoli zawrócił i poszedł do hotelu, gdzie napisał do stryja krótki list.

Drogi Stryju!

Z uczuciem ogromnej ulgi zwracam Ci czek na sumę tysiąca marek. Dotknęło mnie boleśnie, że dałeś mi go w sposób tak bardzo uwłaczający. Czerpałem wiele z Twojej dobroci, lecz ten czek, dany mi w gniewie, był zbyt wielkim upokorzeniem. Chciałeś okazać mi swoją pogardę, nie wiem jednak, co Cię do tego upoważniło. Oby Bóg pomógł mi spłacić Ci pewnego dnia co do feniga wszystkie koszty, które poniosłeś na moją rzecz.

Wyjeżdżam do Afryki, gdyż w Niemczech nie mógłbym znaleźć odpowiedniej dla siebie pracy w rolnictwie. Ufam, że zdołam wybić się tam o własnych siłach, a myśl, że teraz całkowicie odpowiadam sam za siebie, jest dla mnie wyzwoleniem. Zwracam się do ciebie po raz ostatni — nie mogę i nie chcę błagać o zaufanie, którego mi odmawiasz, pragnę tylko zapewnić, że nie poczuwam się do żadnej względem ciebie winy. Niech Bóg obdarzy Cię zdrowiem i długim życiem.

Twój wdzięczny bratanek Richard

Heinrich Sundheim po otrzymaniu tego listu przeżył chwilę rozterki. Zwyciężyła jednak jego zawsze czujna podejrzliwość. „To blef! Chce mnie wzruszyć, ale nic z tego! Zmieniłem testament na korzyść Karla Sundheima i koniec!”

Richardowi zrobiło się na sercu lżej, kiedy odesłał stryjowi czek. Potem udał się do urzędu, żeby wyrobić sobie paszport do Afryki, a na koniec poszedł zasięgnąć informacji co do samej podróży. Paszport miał otrzymać w ciągu czterech dni, jeśli zaś chodzi o podróż, dowiedział się, że parowiec „Usambara” odpływa do Afryki Południowo-Zachodniej za sześć dni z Hamburga. Natychmiast więc zarezerwował jedno miejsce w drugiej klasie, gdyż pierwsza była dla niego za droga. I tak zapłacił za bilet około ośmiuset marek. Trzecia klasa kosztowała wprawdzie tylko pięćset marek, ale odradzono mu zdecydowanie tę oszczędność.

Kufry pozostawione w przechowalni dworcowej postanowił nadać na bagaż do Hamburga w przeddzień wyjazdu. Kiedy wszystko było już załatwione, zadeszował do Heinza Martensa:

Przybywam trzeciego marca statkiem Usambara do Wahisbaai.

Richard Sundheim

Szerzej nie chciał niczego wyjaśniać ze względu na koszty. Miał nadzieję, że Heinz Martens będzie oczekiwał go w porcie Zatoki Wielorybiej, inaczej musiałby go szukać na odległej farmie. Richard chciał poradzić się przyjaciela, gdzie najlepiej byłoby osiedlić się i jak najkorzystniej zainwestować pieniądze. Pisać w tej sprawie nie chciał, gdyż czekanie na odpowiedź trwałoby za długo. Tutaj każdy dzień drogo kosztował, a możliwości zarobku nie miał żadnych. Richard nie zastanawiał się dłużej, czy Afryka jest dla niego odpowiednim miejscem, tylko

skoczył od razu na głęboką wodę — gdyby zaczął roztrząsać sprawę, pewnie zabrakłoby mu odwagi.

Z listów Hienza Martensa wiedział o warunkach życia w Afryce Południowo-Zachodniej wystarczająco dużo, by wierzyć, że może mu się tam powieść. A to, że czeka go praca, ciężka praca i walka, było mu akurat po myśli. Dotychczas wszystko przychodziło mu tak łatwo, że nie miał okazji wypróbować swych sił. Dlatego cieszył się na to nowe życie. Zarazem po raz pierwszy czuł się niezależny. Tego rodzaju zadowolenia jeszcze nie zaznał. Miał wrażenie, że teraz dopiero będzie mógł spożytkować swe siły, leżące dotąd odłogiem.

Uwinał się szybko z przygotowaniami i już czwartego dnia wieczorem wyruszył do Hamburga. Ale na krótko przed wyjazdem odczuł przemożną chęć napisania do Lory Darland z pożegnaniem. Dziwna rzecz, ale tego ostatniego dnia niemal zapomniał o istnieniu Hildy, a za to myślał nieustannie o Lorze. Ciągłe widział jej bolesny uśmiech i dzielne spojrzenie smutnych oczu. W uszach brzmiał mu jej niski, łagodny głos: „Tak — kocham pana”. I te słowa ogarniały go za każdym przypomnieniem jak ciepła fala. Nie czuł się już ani osamotniony, ani opuszczony — Lora Darland wyznała mu miłość i dowiodła prawdziwości tego uczucia swym postępowaniem.

Jakim był głupcem, oddając serce zimnej, wyrachowanej Hildzie! Jak mógł nie dostrzec prawdziwego klejnotu, kogoś tak wartościowego jak Lora Darland! Zanim pojechał na dworzec, napisał do niej list:

Wielce Szanowna, Łaskawa Panno Loro!

Jeszcze dziś wieczorem wyjeżdżam do Hamburga, gdzie natychmiast wsiądę na pokład parowca „Usambara”, który 3 marca zawinie do portu Wahisbaai. Tam mam nadzieję spotkać mego przyjaciela Heinza Martensa. Liczę na to, że będzie służył mi radą i pomocą w jak najkorzystniejszym ulokowaniu powierzonego mi kapitału. Próbując różnych możliwości, muszę bardzo uważać, aby nie marnować pieniędzy.

Nie mogłem wyjechać bez podziękowania Pani raz jeszcze za całe dobro, jakie mi Pani wyświadczyła. Jeżeli przetrzymałem w jakim takim nastroju te ostatnie przykre dni, to zawdzięczam to wyłącznie Pani. Oby Bóg pozwolił mi okazać kiedyś Pani moją głęboką wdzięczność.

Teraz, kiedy przewyciężyłem to, co najcięższe, jest we mnie jakaś radość, że mogę swobodnie wyzwolić swoje siły — nie wiem, czy rozumie Pani moje odczucia. Byłem i jestem wdzięczny stryjowi, zawsze jednak czułem się trochę przytłoczony, zależny od jego łaskowości. Nawet jeśli w ostatnich latach mogłem zacząć spłacać mój dług wdzięczności poprzez wyteżoną pracę w Gorin, nigdy nie byłem człowiekiem wolnym, i tak pewnie pozostałoby do końca, gdyby stryj nie pozbawił mnie nieoczekiwanie swych łask. Nie boleję już nad tym, że zostałem wydziedziczony — w gruncie rzeczy bolałem przede wszystkim z powodu kobiety, która miała dzielić ze mną życie.

Kiedy dotrę już na miejsce, pozwolę sobie przestać Pani wiadomość. Bardzo się cieszę, że będę mógł do Pani pisać. Może pewnego dnia zdoła się Pani przewyciężyć i odpisze mi. Już teraz myśl o tym sprawia mi radość. Wiem i czuję, że w Pani osobie pozostawiam w ojczyźnie wiernego przyjaciela.

Proszę, aby zechciała Pani przekazać Państwu Heims moje najserdeczniejsze podziękowania. Postaram się być godnym okazanego mi zaufania.

Jeszcze raz gorące dzięki za wszystko. Niech Pani pozostaje w zdrowiu i zachowa mnie w dobrej pamięci. Wyczuję to i nie będę już taki osamotniony na obczyźnie.

Wdzięczny i oddany Richard Sundheim

List ten wrzucił do skrzynki pocztowej w drodze na dworzec kolejowy.

A potem odjechał.

Szeroko rozwartymi oczami patrzył na mijane okolice Gorin. Pociąg miał tu krótki postój i Richard zobaczył dach stryjowskiego dworu prześwitujący przez korony drzew. Tam żył człowiek zapiekły w gorzkiej urazie do niego, on zaś nie miał pojęcia, co ją wywołało.

Richard napisał na *poste restante* do starego Friedricha o swoim wyjeździe. Prosił, żeby się o niego nie martwić, gdyż na pewno da sobie radę, a na wypadek gdyby Friedrich chciał mu coś przekazać, podał adres Heinza Martensa. Adres ten podał również Georgowi Heimsowi obiecując, że da o sobie znać, jak tylko osiadzie gdzieś na stałe.

Pociąg ruszył i Richard skinął ręką na pożegnanie w stronę Gorin, gdzie kiedyś miał być panem. Myśl o tym nie sprawiała mu już bólu.

Lora przebyła drogę powrotną w nastroju nie dającym się opisać. W domu panowała już odświętna atmosfera. Frankenstein wypełniał całe mieszkanie Darlandów hałaśliwym manifestowaniem swego szczęścia.

Hilda przywitała Lorę wyrzutami dopytując, gdzie podziewała się tak długo — właśnie teraz, kiedy powinna pić ze wszystkimi wino i spełnić toast za pomyślność młodej pary. Lora wyjaśniła spokojnie, że była u Grety Heims, żeby zawiadomić ją o zaręczynach Hildy, po czym sięgnęła po kieliszek i trąciła się z narzeczonymi. Upiła tylko mały łyk i przy pierwszej sposobności wycofała się do swego pokoju. Z trudem udało jej się opanować i uspokoić. Od wczorajszego wieczoru spadło na nią zbyt wiele. Dręczyła ją myśl, że tak impulsywnie, powodowana lękiem o Richarda, zdradziła mu tajemnicę swego serca. Nie mogła teraz pojąć, jak zdobyła się na taką odwagę.

Donośny głos Frankensteina, jego hałaśliwy śmiech docierał nawet do cichego pokoju Lory, sprawiając jej niemal fizyczny ból. Poczwała w sercu coś jakby nienawiść do tego człowieka, w którym widziała sprawcę wydziedziczenia i wypędzenia Richarda. Są sprawy, co do których ma się niezbitą pewność, chociaż nie dysponuje się żadnymi dowodami. Właśnie dlatego, że brakowało jej dowodów, nie mogła oskarżyć Frankensteina wprost, chociaż nie wątpiła w jego winę.

W jakiejś chwili przyszło jej na myśl, żeby pójść do starego pana Sundheima i powiedzieć: „Jeśli Ernst Frankenstein powiedział, że Richard czeka na pana śmierć, to po prostu kłamał. Chodziło mu bowiem o to, żeby pan wydziedziczył swego bratanka, a tym samym usunął go z drogi jako rywala do ręki Hildy Hartung. Myli się pan sądząc, że pański bratanek jest zdolny do jakiegokolwiek niczemności”.

Och, jak chętnie by to powiedziała, żeby zrehabilitować Richarda w oczach stryja! Ale jak cokolwiek udowodnić komuś tak podejrzliwemu? Nie, natura Lory wzdragała się przed rzucaniem podejrzeń bez dowodów, ale męczyła ją świadomość, że nie była w stanie niczego uczynić. Jej gniew skierował się teraz na starego Sundheima, że tak łatwo dał się podburzyć. Powinien przecież lepiej znać Richarda.

Pograżona w myślach siedziała długo w swoim pokoju, aż w końcu weszła do niej Hilda.

— Muszę ci powiedzieć, Loro, że nie zachowujesz się zbyt miło w stosunku do mnie. Najpierw długo cię nie ma, a potem wycofujesz się do swego pokoju niczym obrażona królowa. Frankenstein ciągle o ciebie dopytywał. Musiałam cię usprawiedliwić nagłym bólem głowy.

— Kiedy mnie rzeczywiście boli głowa, Hildo, i dlatego sobie poszłam, żeby nie psuć wam nastroju.

— Obejrzyj nareszcie moje perły. To prezent zaręczynowy od Frankensteina. Czy to nie książęcy podarunek?

Otworzyła etui i pokazała Lorze jego zawartość. Na matowo szarym aksamicie spoczywał kosztowny sznur pereł. Lora miała niechętną minę.

— Są przepiękne i bardzo cenne... i życzę ci wszystkiego dobrego, Hildo, ale nie pojmuję, jak możesz być taka zadowolona i beztroska. Przecież wiesz, że śmiertelnie dziś kogoś zraniłaś...

Hilda odrzuciła do tyłu głowę.

— Śmiertelnie zraniłam? Nie bądź śmieszna, Loro. Coś takiego istnieje tylko w powieściach. W dzisiejszych czasach nikt nie umiera z powodu złamanego serca; jesteśmy na to odporni. I nie sądzę, że Sundheim był straszliwie przybity. On przyszedł właśnie z tym, żeby mi zwrócić słowo, bo uznał, że obecnie nie może myśleć o żeniaczce. Dla niego również najlepszym wyjściem z sytuacji było zerwanie.

Lora odgarnęła włosy z czoła.

— Tak, oczywiście, masz rację. Z tobą byłby tak samo nieszczęśliwy jak bez ciebie. Ale on w tej chwili jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. A ty nie powinnaś zapominać, że stracił nie tylko ciebie, ale również swoje dziedzictwo, i że musi ruszyć w świat, gdyż stryj rzeczywiście go wydziedziczył i wygnał.

Hilda gwałtownie zwróciła się do siostry:

— Skąd wiesz?

— Spotkałam go zaraz po wyjściu z domu. Powiedział mi, że wyjeżdża do Afryki Południowo-Zachodniej, do przyjaciela ze studiów, który jest tam farmerem.

— Aha, więc rozmawialiście ze sobą?

— Tak. Powiedziałam mu, że ubolewam nad tym, co mu wyrządziłaś.

— No i zauważyłaś chyba, że był całkowicie spokojny.

Lora spojrzała z wyrzutem.

— Na cmentarzu też jest spokojnie, Hildo.

— O, Boże! Jego osoba jakoś dziwnie cię wzrusza.

W oczach Hildy mignął niedobry błysk. Lora zachowała spokój.

— Ciebie niestety ani trochę. Czy powiedziałaś Frankensteinowi, że Richard Sundheim został wydziedziczony przez stryja?

— Jak mogłam to zrobić? Wykluczone! Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że tamten był tu już dziś rano. I będę się pilnować, żeby się z tym nie wygadać. To mnie już zresztą nie obchodzi.

— Powiem mu o tym, jeśli go spotkam.

— Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu.

— Wszystkiemu jest winien Frankenstein. Richard Sundheim powiedział mi, że ktoś, kto go oczernił, mógł to zrobić tylko w tym czasie, kiedy jego stryj siedział na balkonie. A ja wiem, że wtedy był przy nim tylko Frankenstein.

— Wbiłaś to sobie w głowę; zupełna idee fixe. Mam nadzieję, że nie byłaś tak niemądra i nie powiedziałaś o tym Sundheimowi?

— Nie, nie odważyłam się. Bałam się, żeby to nie doprowadziło do jakiejś katastrofy.

— Będzie też lepiej, jeśli w ogóle przestaniesz rozmawiać na ten temat. Chyba nie wygadałaś się przed kimś?

— Nie! — odparła Lora ostro.

— To dobrze. I nic nie daj poznać po sobie Frankensteinowi. Strzeż się! To mogłoby się skończyć dla ciebie bardzo nieprzyjemnie.

— Dla mnie? Nie obawiam się tego. Ale uspokój się. Nie będę mówić o swoich podejrzeniach, gdyż niczego' by to nie zmieniło. Nie mogę jednak pogodzić się z tym, że chcesz związać się na całe życie z człowiekiem, który jest ci tak niesympatyczny. Dla mnie byłoby to niemożliwe.

Hilda spojrzała na nią szyderczo.

— Powiedz, Loro, znasz bajkę o lisie i kwaśnych winogronach?

Lora spojrzała na siostrę z powagą.

— Owszem, ale chybałaś; to mnie nie dotknęło.

Hilda wyjęła perły z etui i przepuściła sznur przez palce.

— Czy rzeczywiście nie chciałybyś otrzymać kiedyś takiego prezentu na zaręczyny? — spytała z naciskiem.

Lora potrząsnęła głową i uśmiechnęła się dziwnie.

— Jak ty mało mnie znasz.

— Zrób mi jednak tę przyjemność i nie siedź już dłużej z kwaśną miną. Ostatecznie ja sama dobrze wiem, jak powinnam postępować, a ty uczynisz najlepiej, jeśli pogodzisz się nareszcie z faktami dokonanymi.

— Masz rację, Hildo. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać. To prowadzi donikąd.

Zaręczyny Hildy z Frankensteinem wzbudziły zrozumiałą sensację i spowodowały nie kończący się ciąg wizyt z gratulacjami. Frankenstein wydał dla liczego grona zaproszonych wspaniałe przyjęcie w najelegantszym hotelu. Lora nie mogła trzymać się całkowicie na uboczu, co uczyniłaby najchętniej, ale była szczęśliwa, kiedy przyjęcie się skończyło. Wszystko, co w czasie tej fety czyniono i mówiono, wydało jej się fałszywe i zakłamane. Prawdziwe było tylko hałaśliwe zadowolenie Frankensteina.

Krótko przed przyjściem gości Lora powiedziała mu, że Richard Sundheim został wypędzony i wydziedziczony przez stryja i że z tego względu musi pójść w świat na tułaczkę. Mówiąc to, pilnie i badawczo patrzyła w twarz Frankenste-

ina, który przez krótką, bardzo krótką chwilę wyglądał na zakłopotanego, ale równie szybko wrócił do równowagi.

— Ach, starszy pan jeszcze się rozmyśli; ludzie wiekowi mają różne dziwactwa, ale to nie trwa długo. Założę się, że za jakiś czas Richard Sundheim znów osiadzie w Gorin i wszystko będzie po dawnemu. On jest przecież, jak sły-
szałem, jedynym krewnym swego stryja.

Lora wiedziała, że dalsze ciągnięcie tematu nie ma sensu, ale nabrała pewności co do swych podejrzeń, mimo że Frankenstein szybko się opanował. Jej przekonanie w niczym jednak nie mogło pomóc Richardowi. Frankenstein i tak by się do niczego nie przyznał.

Lora otrzymała list od Richarda nazajutrz po jego wyjeździe. Hilda i jej matka były zaintrygowane — Lora bardzo rzadko dostawała coś z poczty. Tym razem odebrała list, ale czytanie odłożyła na później, po wspólnym śniadaniu. Serce podeszło jej do gardła, gdyż przeczuwała, kim jest nadawca, i właśnie dlatego nie chciała mieć świadków podczas czytania.

Później, kiedy była już sama, prysł nagle uciskający jej duszę przymus — nareszcie mogła się wypłakać. Te łzy były bolesne i palące, ale przyniosły ulgę, uwolniły ją od uczucia wstydu. Słowa Richarda były dowodem, że jej szczere wyznanie zaowocowało czymś dobrym. Warto więc było wziąć na siebie tanto upokorzenie.

VIII

Podróż Richarda na pokładzie „Usambara” przebiegała dość spokojnie. Pogoda sprzyjała nad wyraz, niemniej Richard był zadowolony, że wziął drugą klasę — w trzeciej roiło się od awanturnicznych i dziwacznych postaci, tak mężczyzn, jak kobiet. Towarzystwo w drugiej klasie było na poziomie: farmerzy z żonami powracający z podróży po Europie, kupcy mający widoki na robienie interesów w Afryce Południowo-Zachodniej, urzędnicy i zamożniejsi rzemieślnicy — z damskim dodatkiem lub bez.

Richard przez pierwsze dni trzymał się możliwie na uboczu, ale przy stole poznał się nieco bliżej z pewnym małżeństwem, które po odwiedzinach u krew-

nych w Niemczech wracało na swoją farmę, oraz z niejaką panią Lind, również wracającą z Niemiec. Pani Lind, tak samo jak owa para małżeńska, przeżyła podczas wojny wiele ciężkich chwil w Afryce. Rząd angielski skonfiskował farmę jej zmarłego w tym czasie męża. Wdowa wysłała dzieci i siostrę do swych rodziców w Niemczech, a sama podjęła żmudną walkę o byt w nadziei odzyskania farmy albo przynajmniej otrzymania 'godziwego' odszkodowania. Ponieważ dotychczas nie udało jej się niczego w tej materii osiągnąć, postarała się na razie o posadę zarządzającą na dużej farmie należącej do pewnych Anglików. Teraz miała nadzieję, że po powrocie nareszcie zostanie jej wypłacone odszkodowanie. Potem zamierzała wziąć w dzierżawę jakąś farmę, żeby zapewnić dzieciom dom, skoro tylko ukończą szkoły. A tymczasem wracała do już oczekujących ją chlebobawców.

Ta dzielna, dobrze obznajmiona z miejscowymi warunkami kobieta oraz małżeństwo farmerów stanowili dla Richarda źródło wielu pożytecznych rad. Cała czwórka najczęściej separowała się do reszty pasażerów, aby porozmawiać o swoich nadziejach i troskach szczerze i z zaufaniem jak starzy przyjaciele.

Po wszystkim, czego się dowiedział, Richard doszedł do wniosku, że życie, które go czeka, nie będzie lekkie, ale również nie pozbawione pewnych uroków. Pani Lind uśmiechnęła się, kiedy jej wyjawiał swoją myśl.

— Oczywiście, życie w Afryce ma swój urok, jeśli człowiek już się jakoś przebije. Mimo wszystkich złych chwil, które tam przeżyłam, jakaś wszechwładna siła ciągnie mnie z powrotem. Ktoś, kto przyzwyczał się do Afryki, może znaleźć w kraju jaką taką satysfakcję tylko w warunkach na szeroką skalę; w ciasnocie będzie się nieustannie o coś boleśnie rozbijał. W Afryce przywykliśmy do większej swobody, no i — większej przestrzeni. W kraju wszędzie nabijamy sobie guza.

Richard dowiedział się także od pani Lind, dlaczego statki nie zawijają obecnie do Swakopmund, tylko do Walvisbaai. W Swakopmund wysadzanie pasażerów na ląd było zawsze bardzo uciążliwe i czasochłonne, gdyż z powodu silnego przyboju trzeba ich było transportować w koszach przenoszonych przez portowe żurawie. Teraz statki przybijają wygodnie do nabrzeża portu w Zatoce Wielorybiej.

— Tak, tak, drogi panie! Afryka Południowo-Zachodnia rozwinęła się w sposób imponujący. Będzie pan zdumiony naszym postępem cywilizacyjnym.

Natknie się pan przy nabrzeżu na wielki dom towarowy z prawdziwego zdarzenia. Można w nim kupić wszystko, czego dusza zapragnie. A wewnątrz zainstalował się nawet fryzjer. Będzie więc pan mógł wyekwipować się od stóp do głów i zrobić na eleganta, kiedy na wpół zdziczały przybędzie pan do Walvisbaai ze swojej farmy. A w Swakopmund mamy wspaniały sklep delikatesowy. Komu mieszek na to pozwala, może nabyć tam nawet kawior. Kiedy naszego farmera najdzie ochota na jakieś frykasy, pisze do sklepu, każąc sobie przysłać, co mu serce dyktuje i co jego portfel wytrzyma. Z Walvisbaai jeżdżą regularnie pociągi do interioru. Jeśli zechce się pan wybrać do Keetmanshoop, czeka pana ładna podróż pociągiem równie wygodnym jak w kraju, tylko trochę bardziej gorącym i zakurzonym. Mówię to, ponieważ pański przyjaciel Martens, którego zresztą znam osobiście, osiedlił się w pobliżu Keetmanshoop, więc pewnie i pan będzie chciał właśnie tam coś nabyć lub wydzierżawić. Na pewno znajdzie pan tam coś odpowiedniego. Ja sama również chciałabym z czasem zarzucić w tamtych stronach kotwicę. Klimat jest tam o wiele zdrowszy niż gdzie indziej ze względu na wysokość położenia i bliskość gór. Chodzi mi zwłaszcza o dzieci, jeśli sprawy tak się ułożą, że będę mogła urzeczywistnić swoje plany.

— Więc życzę bardzo gorąco, żeby władze jak najszybciej załatwiły pomysłnie pani sprawę — powiedział Richard serdecznie.

Ta dzielna kobieta budziła w nim głęboki szacunek i sympatię. Richard przedstawił jej szczerze swój stan majątkowy, ona zaś z całą życzliwością radziła mu, jak powinien ulokować swój niewielki kapitał. Jej zdaniem należało wziąć w dzierżawę dość dużą farmę, którą z czasem będzie można powiększyć o przylegające do niej tereny. Przede wszystkim jednak powinien Richard odłożyć część pieniędzy na zakup możliwie wielu sztuk bydła. Opłacalna jest również zakrojona na szerszą skalę hodowla jagniąt. Skóry jagniąt afrykańskich są obecnie równie poszukiwane jak perskie. Używa się ich na futra karkulowe. Za skórę jagnięcą można bez trudu dostać dwadzieścia pięć do trzydziestu marek. Należy zatem zakupić odpowiednią liczbę owiec i kilka tryków. Dobry tryk kosztuje około trzystu marek.

I tu pani Lind wdała się z Richardem w fachową rozmowę o kwestiach hodowlanych ze szczególnym uwzględnieniem hodowli jagniąt.

— Jeśli chodzi o położenie farmy, to najważniejszą sprawą, na którą powinien pan zwrócić uwagę, jest zaopatrzenie w wodę. W pobliżu musi znajdować

się odpowiednio duży wodopój dla bydła. W porze deszczowej nie ma z tym kłopotu, ale wtedy trzeba uważać, żeby stado nie rozproszyło się po stepie i buszu. Bydło lubi rozbiegać się daleko, kiedy wszędzie są kałuże, w których gasi pragnienie. W porze suchej można oszczędzać na dozorowaniu bydła, bo zwierzęta same wracają do wodopoju. Najlepiej, jeśli farma jest położona w pobliżu rzeki, ale należy zawczasu zwrócić uwagę na zabezpieczenie brzegów. W porze suchej koryta rzeczne są puste i wyschnięte, ale z nastaniem pory deszczowej woda wzbiera i zamienia je w rwące rzeki. Przy naszej dawnej farmie też jest taka rzeka, z której odprowadzaliśmy wodę, gromadząc ją w różnych poiskach. Ale jedno miejsce na brzegu tej rzeki sprawiało nam zawsze kłopot. Musieliśmy je nieustannie umacniać kamieniami i workami z piaskiem. Czasem pracowaliśmy tam wszyscy dniem i nocą. Potrzebna była każda para rąk; mężczyźni, kobiety i dzieci taszczyli pełne worki, kamienie i gałęzie do budowy wału ochronnego, który ciągle podmywała wzburzona woda. Jeśli taki wał zostanie przerwany, zwierzęta się potopią, a mogą też powstać różne inne szkody. Mój mąż miał zamiar zbudować w tym miejscu prawdziwe nabrzeże. Ale odcinek musiałby mieć odpowiednią długość, a to kosztowałoby mnóstwo pieniędzy. W rezultacie zanim przystąpił do wykonania tego planu, Anglicy nas stamtąd wyrzucili. Tak więc jeśli w pobliżu pańskiej farmy będzie rzeka, proszę dokładnie obejrzeć brzeg. Niech pan nie łudzi się, że wyschnięte koryto rzeki jest bezpieczne.

Richard słuchał tych objaśnień z największym zaciekawieniem. Pani Lind była interesującą kobietą. Nie odznaczała się urodą; chyba nigdy nie była szczególnie ładna. Smagające twarz wiatry i burze zahartowały jej cerę, czyniąc ją mało delikatną. Jedyne piękne szare oczy nadawały twardym, wyrazistym rysom twarzy nieco kobiecości.

Wychodząc na pokład przy chłodniejszej pogodzie, pani Lind wkładała ładne popielate futro. Kiedy Richard pewnego dnia wyraził uznanie dla elegancji tego okrycia, roześmiała się, ukazując rząd mocnych, białych zębów w opalonej na brąz twarzy.

— Każda skórka pochodzi z mojej hodowli. Wysłałam je do Niemiec, żeby tam uszyli mi futro. Jestem z niego bardzo dumna.

— Ma pani do tego pełne prawo.

— Kiedyś, gdy znów będę mieć własne stada i założę hodowlę, każę sobie uszyć futro karakułowe. Ale zanim to nastąpi, upłynie jeszcze sporo czasu.

— Życzę więc, żeby pani jak najszybciej doczekała się tego futra.

— Nauczono mnie czekać — odparła wzruszając ramionami. — Będę cierpliwa, do czasu, kiedy wrócą moje dzieci. Wtedy moja cierpliwość się skończy.

Richard podziwiał tę kobietę i mówił sobie w duchu, że jeśli ona podjęła w tamtejszych warunkach walkę o byt, to i dla niego nie powinno to być za trudne. Wyprostował się, oczy mu błyszczały. Płonął chęcią do pracy i żądzą czynu, nie mogąc doczekać chwili, kiedy będzie mógł wypróbować swe siły.

W nocy, leżąc w kajucie, którą dzielił z pewnym niemieckim kupcem, również chcącym szukać szczęścia w Afryce, nie mógł zasnąć od natłoku wrażeń. Rozmyślał także o Lorze Darland. Wyobrażnia podsuwała mu jej obraz, widział znów jej smutne, pełne miłości oczy. Lora mogłaby zostać równie dzielną i odważną żoną farmera jak pani Lind. A po chwili ogarnęła go tęsknota: najpierw lekka, potem coraz bardziej narastająca — ale nie za złotowłosą Hildą, której uroda omroczyła mu zmysły gorączkowym odurzeniem, lecz za subtelnym, spokojnym urokiem Lory, za jej kobiecym oddaniem, za dumnym, choć tak strwożonym spojrzeniem oczu, w których jak w lustrze odbijała się jej nieugięta dusza.

Podróż upływała Richardowi nadspodziewanie szybko. Na parę dni przed jej końcem zerwał się silny sztorm. Wszyscy niemal pasażerowie cierpieli na morską chorobę. Wybladli, ledwie trzymający się na nogach, snuli się po pokładzie, składając co chwila ofiarę morskim żywiołom.

Richard, pani Lind i zaledwie kilku mężczyzn byli jedynymi pasażerami, którzy okazali się odporni na morskie przypadłości i trzymali się dobrze na świeżym powietrzu. Kiedy po dwóch dniach i dwóch nocach sztorm ustąpił, pasażerowie zaczęli jeden po drugim pokazywać się w sali jadalnej. Pojawiło się również znajome małżeństwo farmerów. Oboje już przy dobrym apetycie — nadrabiali to, co stracili w czasie sztormu, kiedy na wyścigi przechylali się za burtę. Tak więc zanim „Usambara” zawinęła do Zatoki Wielorybiej, pasażerowie zdążyli dobrze wypocząć.

Heinz Martens długo i w zdumieniu patrzył na telegram Richarda. Co mu strzeliło do głowy, żeby jechać tutaj, do Afryki Południowo-Zachodniej? Wybierając się w podróż dla przyjemności, można było poszukać na mapie innego miejsca. Niemniej Heinz bardzo się ucieszył, że zobaczy przyjaciela, i postanowił powitać go w porcie.

W tym celu musiał najpierw jechać kilka godzin samochodem ze swojej farmy do Keetmanshoop, a stamtąd pokonać jeszcze opętany kawał drogi do Walvisbaai, ale zdecydował się na tę mordęgę z wielką ochotą. Pomyślał też, że wykorzysta okazję i pozałatwia różne sprawy w Swakopmund i w Walvisbaai.

Kiedy „Usambara” stanęła przy nabrzeżu, Heinz Martens był punktualnie na miejscu. I wkrótce potem obaj przyjaciele padli sobie w objęcia. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy w niemej radości powitania, ale Heinz nagle zobaczył nadchodzącą panią Lind i zaczął się z nią witać.

— Halo, pani Lind! Wróciła pani? Czy w domu wszystko w porządku?

— Tak, dziękuję, drogi panie Martens. Cieszę się, że mogłam kogoś panu przywieźć. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się z panem Sundheimem w czasie przeprawy. Musimy koniecznie pogadać wszyscy razem dziś wieczorem. Może spotkamy się w klubie? Chyba nie jedzie pan zaraz dalej?

— Mam zamiar zostać jeszcze przez dwa dni. Z przyjemnością umówię się na pogaduszkę. To miło, że zaprzyjaźniła się pani z Richardem. Fajny z niego chłop, szkoda tylko, że ma takiego okropnie bogatego stryjka.

Pani Lind podała Richardowi rękę.

— A więc dziś wieczorem o ósmej. Teraz już muszę się pożegnać; czeka na mnie chyba z tuzin ludzi. Wiadomo, jak to jest, kiedy się wraca po dłuższej nieobecności.

Skinęła obu panom i poszła. Heinz Martens wziął Richarda pod ramię.

— Pani Lind jest wspaniałą kobietą — powiedział.

— Nauczyłem się ją podziwiać, Heinz. Ale teraz pozwól, niech ci się wreszcie przyjrzę. Wyglądasz świetnie. Zeszczuplałeś, opalony jesteś na brąz i trochę jakby... zdziczały.

Heinz wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ciekawe, jakbyś mnie ocenił, gdybym nie spędził dziś całej godziny u golarza i fryzjera! To zdziwienie dokonuje się samo, kiedy przez całe tygodnie jest się odcięty od cywilizacji. W tej chwili wyglądam bardzo cywilizowanie, bo oporządziłem się specjalnie na twe przybycie. Ale teraz, mój drogi, powiedz, jakie dobre wiatry przywiały cię aż tutaj.

Ruszyli z miejsca, idąc ramię w ramię w tłumie przybyłych i witających.

— Mówiąc najkrócej, Heinz, z tym okropnie bogatym stryjkiem, którego mi przed chwilą wyrzucałeś, jest wszystko skończone. Zostałem wydziedziczony i wygnany z Gorin. A dlaczego — sam nie wiem. Dokładniej opowiem ci o tym później. W każdym razie zostałem nagle z niczym. A że rolnik bez roli ma jeszcze ciągle w Niemczech twarde orzech do zgryzienia, wsiałem, nie namyślając się długo, na statek płynący do Afryki.

Heinz Martens spojrzał na przyjaciela z powagą.

— Chłopie drogi, rolnik bez pieniędzy i tutaj ma twarde orzech do zgryzienia. Chciałbym cię jednak najpierw powitać u siebie w domu. Miejsca jest dosyć, starczy i dla ciebie, jeśli masz skromne wymagania.

— Dziękuję ci, Heinz. To wielkoduszne z twojej strony, że ofiarowujesz mi gościnę o nic nie pytając, niczego nie dociekając, ale nie chcę tego wykorzystywać. Przybyłem tu, żeby od podstaw zbudować swoją egzystencję, tak jak ty zbudowałeś swoją.

Heinz był wyraźnie zatroskany.

— Tylko że bez pieniędzy nic się niestety nie da zrobić.

— Toteż nie przyjechałem z pustymi rękami. Przywiozłem prawie trzydzieści tysięcy pożyczonych marek. I nikt nie przynagla mnie do zwrotu tego długu. Myślę, że jeśli się chce i umie pracować, to można coś z taką sumą zacząć.

— Och, to zupełnie co innego. Z trzydziestoma tysiącami rzeczywiście można tutaj coś zrobić. Tam do licha! Więc chcesz zostać farmerem tak jak ja?

— Właśnie! I chcę cię prosić, żebyś mi w tym trochę pomógł. Ty wiesz, co należy załatwić i gdzie mógłbym znaleźć coś odpowiedniego.

Heinz Martens przystanął z promieniejącą miną.

— Do stu piorunów! Ty, niegdyś taki bogaty panicz, taki zadbany, bogobojny i niezależny, chcesz wskoczyć nagle w życie afrykańskiego farmera? To ci dopiero! A tak naprawdę, to szkoda, żeby taki facet jak ty potulnie czekał, aż mu manna spadnie z nieba. Jesteś przecież odważny i masz wszelkie kwalifikacje, które tutaj bardzo się przydadzą. Mogę ci od razu coś poradzić. Otóż w pobliżu Keetmanshoop jest jeszcze wiele miejsc do wydzierżawienia lub do kupienia. Nawet blisko mnie można coś znaleźć. Co prawda, jeśli ja mówię: blisko, to powinieneś zastosować inną miarę niż w kraju. My jesteśmy tu przyzwyczajeni do odległości — jednodniowa podróż to tyle co nic, w ogóle się nie liczy. Omówimy wszystko w hotelu, siedząc przy kuflu. Teraz musimy się rozejrzeć za twoim bagażem. Chodź, przejdźmy tam!

Wziął przyjaciela pod ramię i poprowadził. Zmitrężyli dłuższą chwilę, zanim Richard odzyskał bagaż i załatwił wszystkie formalności. Kiedy nareszcie skończyli, zobaczyli panią Lind, która minęła ich, jadąc autem w towarzystwie kilku pań i panów. Roześmiana pomachała im ręką, a jej towarzystwo z ciekawością obejrzało się za Richardem.

Poszli do hotelu, w którym Heinz Martens zawsze się zatrzymywał. Richard trochę się odświeżył, a potem obaj zaczęli opowiadać sobie wszystko, co było do opowiedzenia. Richard mówił o niełasce stryja, o Hildzie i jej zdradzie. Tylko o Lorze ani się zająknął. Wydawało mu się, że powinno to pozostać tajemnicą, której należy strzec jak czegoś drogiego, czego nie wolno zbrukać nieostrożnym słowem. Powiedział więc tylko, że otrzymał od pewnego protektora pożyczkę na umiarkowany procent, a listy Heinza poniekąd wskazywały mu drogę do Afryki Południowo-Zachodniej.

— Postąpiłeś rozsądnie, Richardzie, że wyruszyłeś nie namyślając się długo. Tutaj można szybciej do czegoś dojść niż w kraju. Ja zdołałem już sporo osiągnąć i jestem bardzo zadowolony. Mam doświadczenie, więc chciałbym ci poradzić, jak możesz najlepiej, najkorzystniej ulokować pieniądze. Sam właśnie tak zrobiłem, kiedy zaczynałem tu przed laty. Musisz podzielić swój kapitał na trzy części: za jedną kupisz kawał gruntu jako ziemię osadniczą, drugą część przeznaczysz na czynsz za dzierżawę farmy, a trzecią zużyjesz na zakup bydła i inne niezbędne sprawunki. Farma musi graniczyć bezpośrednio z osadą i musi mieć dużo wolnego terenu obok, żebyś mógł dokupić ziemi.

— Pani Lind też mi to mówiła.

— No więc widzisz. A ona jest dzielną kobietą i dobrze zna tutejsze warunki. Kupno nawet niewielkiego terenu daje ci prawo do małej ojczyzny, z której nikt nie może cię wypędzić. Musisz też od razu zgłosić prawo pierwokupu farmy, którą wzięłeś w dzierżawę, za co później, przy kupnie, dostaniesz małą bonifikatę. W ten sposób zdobędziesz pewny grunt pod nogami i będziesz mógł wysuwać swoje macki dalej i dalej, we wszystkich kierunkach. Ludzi do pracy jest tutaj dużo i to za małą opłatą. Oczywiście powinieneś od razu zrobić zapasy żywności, żeby mieć wszystko w domu dla siebie i dla robotników. Punktem ciężkości w twoim gospodarstwie będzie hodowla bydła, które tu jest tanie.

Richard wtrącił, że pani Lind doradzała mu hodowlę jagniąt na skóry. Heinz Martens skinął głową.

— Całkiem słusznie. Ja też je hoduję i to z bardzo dobrymi rezultatami. Ale powinieneś mieć również krowy i dobrego byka, a także drób i nierogaciznę. Wszystko przyjdzie samo z siebie. Jesteś rolnikiem i to jest bardzo cenne. Wielu osiedla się tutaj, nie mając pojęcia o hodowli i rolnictwie. Jeśli nawet nie wykorzystasz wszystkiego, czego się nauczyłeś — bo mamy tu prawie wyłącznie step, gdzie wypasamy bydło — to wszystko to, co wiesz o hodowli, bardzo ci się przyda. Ja poza hodowlą prowadzę także serownię, co również tobie bardzo bym doradzał. Zajmuję się przetwórstwem na dużą skalę i mam z tego niezły zysk. Sery, masło i jaja wysyłam za granicę, na Diamentowe Wybrzeże. Nasze wyroby są rozchwytywane przez kopaczy. Na Diamentowe Wybrzeże przybywają ciągle nowi ludzie, a wszyscy muszą jeść. To jest bardzo opłacalne.

Po chwili milczenia Heinz ciągnął:

— Już wiem, gdzie powinieneś się osiedlić! Do diabła! Tak, to byłoby coś w sam raz dla ciebie. Wiem o pewnej farmie położonej nad rzeką, oddalonej mniej więcej o sześć godzin drogi od Keetmanshoop. Moja farma jest tyle samo oddalona od miasta, ale w kierunku wschodnim, a ta, o której mówię, leży bardziej na południe, bliżej gór. Gdyby była do wzięcia wtedy, kiedy tu przyjechałem, wziąłbym ją bez namysłu. Później zastanawiałem się całkiem poważnie, czyby jej nie kupić, powiększając w ten sposób gospodarstwo, ale to jednak zbyt duża odległość. Ta farma nazywa się Ovamba. Należała do pewnego Niemca, ale ten nieszczęśnik wyjechał trzy lata temu do Niemiec, żeby poddać się operacji. Było już jednak za późno i zmarło mu się. Jego spadkobiercy przekazali posiadłość rządowi, bo sami nie byli w stanie się nią zająć. Na jej terenie znajduje się

całkiem ładny dom mieszkalny, nieduży, akurat dla ciebie. Całość jest trochę zaniedbana, ale to można szybko doprowadzić do ładu. Są tam również niezbędne meble, więc nie będziesz musiał na razie niczego kupować, co jest istotne. Wszystko, na czym zdołasz zaoszczędzić, musisz przeznaczyć na zakup bydła. Im więcej będziesz miał bydła, tym szybciej wyjdiesz na swoje. Z tego, co powiedziałem, wynika, że Ovamba jest jakby dla ciebie stworzona. I wcale nie będziemy od siebie tak daleko. Ovamba nie jest duża, ale przytykają do niej rozległe tereny, które będziesz mógł dokupić, powiększając posiadłość. Najpierw jednak musisz kupić kawałek ziemi pod przyszłą osadę. Robotników rolnych możesz mieć, ilu zapragniesz; mieszkają naokoło w swoich chatach. Pracowali już u poprzedniego właściciela i chętnie najmą się do roboty u ciebie. I to by było wszystko! Szczegóły omówimy jeszcze dokładnie, a teraz zaczniemy działać.

— Heinz, jestem ci bardzo wdzięczny.

— Przecież to zrozumiałe, że wszyscy pomagamy tu sobie w miarę możliwości, bo każdy z nas może znaleźć się w potrzebie. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć: w przyszłym miesiącu żenię się. Mam już dość samotnego życia. To córka niemieckiego farmera, z którym często spotykam się w Keetmanshoop, w klubie. Jest ładna, zdrowa, dzielna... i bardzo ją kocham, a ona mnie. Chcemy dalej razem pracować, dopóki nie dorobimy się na tyle, żeby móc wrócić do Niemiec i tam kupić jakiś ładny majątek. Ale to oczywiście jest jeszcze bardzo odległe. Cieszę się jednak, że będziesz tańczył na moim weselu. Bóg mi świadkiem, jak bardzo się z tego cieszę.

Richard ściskając w milczeniu dłoń przyjaciela, zapatrzył się przed siebie. Zabolalo go coś w sercu. Poczul się osamotniony, całkowicie osamotniony. A przecież zostawil w kraju kogos bardzo milego i dzielnego, dziewczynę, która go kocha i dowiodła mu, do jakiego poświęcenia zdolna jest jej miłość.

Przestraszył się nagle i odsunął od siebie myśli, które opadły go znienacka jak niejasna tęsknota. Żadnej słabości, żadnych marzeń! Teraz należało walczyć i postawić na swoim. Na przekór złym mocom — wytrwać! Dlatego nie powinien dawać przystępu myślom łagodnym, miłym i pięknym.

Raz jeszcze uściskał dłoń przyjaciela.

— Najserdeczniejsze życzenia, Heinz. Obyś znalazł w swojej żonie prawdziwego, oddanego przyjaciela, który będzie stał u twego boku.

Heinz rozjaśnił się w ładnym, ufnym uśmiechu.

— Z tym nie będzie źle; Lena jest wypróbowanym przyjacielem. Będzie ze mną na dobre i na złe. Jest mądra. Poznasz ją wkrótce.

Obaj przyjaciele rozmawiali ze sobą od serca, powracając znów do rozważań, jak najlepiej urządzić Richarda w Afryce.

Heinz zaprowadził go potem do różnych miarodajnych urzędników. Jego wstawiennictwo jako człowieka dobrze notowanego miało duże znaczenie. Władze były przychylnie przybywającym tu na stałe rolnikom i nie robiły żadnych trudności, jeśli chcieli się osiedlić. Idąc za radą przyjaciela, Richard od razu położył rękę na farmie Ovamba i jasno wyłożył swoje zamiary. Zwlekanie nie miało sensu; również tutaj każdy bezużyteczny i beczynny dzień kosztował pieniądze.

Heinz zrobił po drodze zakupy i złożył różne zamówienia, radząc przyjacielowi uczynić to samo, gdyż w Keetmanshoop było drożej.

— Możemy to załatwić jutro. Teraz wracajmy do hotelu, a potem idziemy na randkę z panią Lind.

Punktualnie o ósmej spotkali się z panią Lind, która zrobiła sobie godzinę wolnego. Omówiono raz jeszcze plan osiedlenia się Richarda, przy czym pani Lind poparła wszystkie propozycje Heinza. Ona również знаła Ovambę i radziła Richardowi szybko łapać okazję.

— Martens ma rację: należy kupić dobry kawał gruntu jako ziemię osadniczą, a tereny Ovamby wziąć w dzierżawę. Reszta przyjdzie z czasem. Niech pan tylko nie zniechęca się, panie Sundheim, wszystko będzie dobrze. Pomagamy tu sobie nawzajem, kiedy zajdzie potrzeba. Czeka pana kilka trudnych lat, jak każdego farmera, ale potem szybko pójdzie pan naprzód. Gdybym wcześniej dostała odszkodowanie, wzięłabym Ovambę bez wahania. Ale niech pan nie zapomina, co mówiłam o rzece. Pora deszczowa już minęła, więc będzie pan miał czas obejrzeć brzegi. To bardzo ważne.

Minęły miesiące. Richard wydzierżawił farmę Ovamba i kupił przyległy do niej kawał gruntu. Ovamba leżała na południe od Keetmanshoop, w kierunku gór Karaś. Richard pracował jak w gorączce i nie miał czasu na ponure rozmyślenia o przeszłości. Pierwszą i drugą ratę za dzierżawę uiścił od razu z góry, a za grunt zapłacił około dziesięciu tysięcy marek. Heinz Martens pomógł mu korzystnie kupić bydło i wynająć do pracy ludzi, którzy zdomowili się już w swoich słomianych chatach na terenie farmy.

Heinz namawiał przyjaciela usilnie na kupno motocykla.

— Na samochód cię nie stać, a dopóki nie masz żony, wystarczy ci motocykl. Musisz go kupić, bo inaczej będziesz odcięty od świata. Motocyklem możesz szybko dostać się do Keetmanshoop czy też złożyć wizytę swemu przyjacielowi Martensowi. W końcu trzeba mieć jakieś towarzystwo. Wprowadzę cię do klubu w Keetmanshoop i będziemy mieć stały dzień spotkań. Ja oczywiście też będę cię odwiedzał od czasu do czasu, a kiedy się ożenię, będziesz miał swoje miejsce przy naszym domowym ognisku. Kup na razie jakiś używany motor, będzie cię tanio kosztował i nie obciąży zbytnio twojego konta. Później kupisz sobie nowy, stary zaś oddasz za część ceny. A za dwa lata będziesz miał auto.

— Powoli, mój drogi. Nie zapominaj, że ja obracam pożyczonymi pieniędzmi.

— Nie zapominam, mówiłeś jednak, że nie będą cię naciskać ze zwrotem długu. Motocykl to tutaj nie luksus, lecz niezbędny środek lokomocji. Przecież będziesz miał często coś do załatwienia w Keetmanshoop, a wóz zaprzężony w woły cholernie się wlecze. Używamy ich wprawdzie, ale tylko do przewozu ładunków na pociąg.

Tak więc Richard kupił w końcu motocykl, a Heinz wprowadził go do klubu i zapoznał ze swoją narzeczoną i jej rodzicami. Lena Hollmann okazała się sympatyczną dziewczyną o świeżym wyglądzie i miłym, naturalnym sposobie bycia.

Niewielki dom w Ovambie był dość zapuszczony. Richard musiał zaraz na wstępie urządzić wielkie szorowanie, do którego odważnie przystąpił razem ze swoimi ludźmi. Przy tej okazji zwrócił uwagę, z jaką dziecięcą wesołością zabierają się oni do pracy. Robili wprawdzie niewiele, zużywając na wszystko bardzo dużo czasu, ale nigdy nie byli w złym humorze. Wszystko ich bawiło, a żartobliwe słowo było najlepszą zachętą.

Na szczęście w domu nie było poważniejszych szkód i po kilku dniach porządków zapachniało w nim świeżością, mydłem i wodą. Potem, nie zapowiadając się wcześniej, zajęły autem Lena Holmann z matką i bez zbędnych ceregieli zabrały się do upiększania wnętrza. W ciągu kilku godzin dom zmienił się, nabrał miłego i przytulnego charakteru. Obie panie odjeżdżały zadowolone, brniąc się ze śmiechem przed podziękowaniami jękającego się ze wzruszenia Richarda.

— Żadnych podziękowań! Dopóki się pan nie ożeni, dopóty będziemy tu od czasu do czasu zaglądać, żeby pan całkiem nie zmarniał w tej kawalerskiej mizerii — przekomarzała się Lena.

Pod pewnymi względami przypominała ona Richardowi dzielną panią Lind. Takiej towarzyszkę życia można było przyjacielowi tylko gratulować.

Richard jeszcze w WaMsbaai wysłał do Lory Darland list, w którym zrelacjonował podróż statkiem i doniósł o dalszych planach. List był bardzo długi, a zadziwiające było to, że możliwość zwierzenia się jej ze wszystkiego dawała mu tyle zadowolenia. W ciągu następnych miesięcy napisał jeszcze kilka wyczerpujących listów — w tym jeden o weselu Heinza Martensa — bo chciał, żeby Lora mogła brać udział w jego .sprawach. W jednym z listów pisał:

Proszę mi wybaczyć, że narzucam się Pani ze swoimi drobnymi kłopotami i radościami. Kiedy jednak o Pani myślę, a to dzieje się bardzo często, mam wewnętrzne przekonanie, że jest Pani moim najlepszym i wiernym przyjacielem, któremu mogę wszystko powiedzieć i zwierzyć się ze wszystkiego, co mnie nurtuje. Gdybym tylko otrzymał nareszcie jakiś znak życia od Pani! Czaśerh ogarnia mnie obawa, że naprzykrzam się Pani swoją pisaniną. Mam nadzieję, że nie ma Pani w domu przykrości z powodu tej korespondencji, którą Panią zasypuję — jeśli tak, proszę zaraz dać mi znać. Oczywiście, nie przestanę do Pani pisać — wieczory są tu bardzo długie i samotne — ale znalazłbym sposób przesyłania listów, który nie sprawiałby Pani kłopotów.

Dwa tygodnie temu otrzymałem list z kraju — tutaj jest to wielkie, radosne wydarzenie. Napisał do mnie służący stryja, stary Friedrich, o którym Pani wspominałem. Doniósł mi, że stryj rzeczywiście sporządził testament na korzyść Karla Sundheima, naszego jedyne go żyjącego krewnego. Friedrich dodał też, że

ciągle jeszcze nie zgłębił, dlaczego stryj tak raptownie napadł na mnie i wydziedziczył. Doszedłem do wniosku, że nie mogę już patrzeć na to jak na nieszczęście. To, że starszy pan tak się ze mną obszedł, uchroniło mnie być może od życiowej klęski. Boli mnie jednak, że stryj jest przekonany o mojej niewdzięczności. Należy mu bardziej współczuć niż mnie, gdyż pozostał z Gorin całkiem sam, zgorzkniały i dręczony podejrzeniami, a w tym wieku osamotnienie odczuwa się szczególnie mocno. Chwała Bogu, że mogę z czystym sumieniem powiedzieć, iż nie jestem temu winien. Gdybym tylko mógł wyjaśnić mu, że nie zależało mi aż tak na jego majątku, jak sądzi, i że teraz jestem znacznie bardziej zadowolony, mogąc samemu walczyć o byt. Czuję się lżejszy i wolniejszy w moim skromnym, lecz samodzielnym życiu niż w luksusowej zależności minionego życia. Czy Pani mnie rozumie, Łaskawa i Droga Panno Loro? Z pewnością tak. Przekonała się Pani teraz, ile dobrego działało tamto wstawiennictwo, dzięki któremu stałem się człowiekiem wolnym i niezależnym.

Procenty wpłacę punktualnie. Zdałem panu Heimsowi dokładne sprawozdanie z tego, jak rozporządziłem kapitałem i zaproponowałem mu, że przepiszę na jego nazwisko mój kawał gruntu i bydło jako zabezpieczenie pożyczonej mi sumy, ale odmówił i napisał, że nie martwi się o te pieniądze. Widać rzeczywiście mi ufa, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny. Rozejrzałem się tu dobrze we wszystkim i jestem przekonany, że pod koniec każdego roku będę mógł spłacić pięć tysięcy marek, gdyż wszystko, co wygospodaruję z mojej farmy, mogę prawie w całości zużyć na spłatę długu. Na utrzymanie wydaję tyle co nic, a innych okazji do wydawania pieniędzy nie ma właściwie żadnych. Mam więc nadzieję, że wkrótce odbiję się od dna. A teraz nie chcę już dłużej zaprzętać Pani moją pisaniną. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia i proszę tak całkiem nie zapominać o mnie.

Szczerze oddany Richard Sundheim

Dzień mijał za dniem na ciężkiej i wyczerpującej, ale przynoszącej zadowolenie pracy. Richard coraz lepiej wdrażał się do swych zajęć i pracował coraz sprawniej.

Co drugą sobotę jeździł motocyklem do klubu w Keetmanshoop na spotkanie z Heinzem Martensem, któremu czasem towarzyszyła żona, a od czasu do czasu spędzał niedzielę na farmie przyjaciela. Jego dom był oczywiście znacznie

bardziej zadbany niż siedziba Richarda w Ovambie, — znać tu było kobiecą rękę. Richard z przyjemnością pozwalał sobie ieco dogadzać i mówił Heinzowi, że mu zazdrości.

— Poczekaj, chłopie: za dwa-trzy lata również u ciebie będzie 'naczej wyglądało. Powolutku sprawisz sobie kilka wygodniejszych mebli...

Richard, energicznie potrząsnął głową.

— To na ostatku, Heinz. Najpierw muszę spłacić dług i mieć więcej bydła. Z domem jakoś sobie poradzę.

Pora deszczowa już minęła. Richard przeżył chwilę zdumienia widząc, jak niemal w ciągu jednej nocy woda w rzece zmieniła się w rwący żywioł. Pamiętając o radach pani Lind, obejrzał zawczasu brzegi. W całości uznał je za bezpieczne, ale jedno miejsce budziło jego niepokój. W zakolu rzeki brzeg od strony farmy wyglądał podejrzanie. Richard zauważył, że jego poprzednik najwidoczniej w tym właśnie miejscu próbował wznieść umocnienie. Ale worki były zbutwiałe i rozpadały się w rękach, kiedy usiłował je ułożyć w stos. Heinz Martens radził zabezpieczyć brzeg koniecznie przed nastaniem pory deszczowej. Richard kazał najpierw umocnić niebezpieczne miejsce kamieniami i gałęziami, a potem ułożyć ponad sto nowych worków z piaskiem. W ten sposób na krótko przed deszczami wał ochronny był gotów.

Richard uznał, że zrobił, co zrobić należało, i że umocnienia wytrzymają napór wody, choć Heinz przestrzegał, że ostatni okres deszczów był bardzo umiarkowany, ale zdarzają się lata, kiedy woda jest znacznie wyższa. Tym razem woda nie sięgnęła do korony wału i Richard sądził, że przy odpowiedniej konserwacji utrzyma on także silniejszy przybór wody. Mimo to kiedy tylko mógł, odrywał ludzi od bieżącej roboty i kierował ich do dalszego umacniania wału.

Poniżej owego zagrożonego miejsca znajdowały się rowy odprowadzające wodę z rzeki do stawu, a stamtąd do różnych zbiorników i wodopojów dla bydła, które gasiło tam pragnienie w okresie suszy. Rowy te zamykano prymitywnymi śluzami, żeby woda nie mogła wrócić do koryta rzeki, kiedy deszcz i przyptyw ustają. Staw usytuowany był w pobliżu domu, Richard mógł więc po dniu ciężkiej pracy brać orzeźwiająca kąpiel i pływać, co było dla niego dobrodziejstwem, a biorąc pod uwagę warunki afrykańskie — luksusem.

Hodowla jagniąt rozwijała się pomyślnie, a bydło dawało obfitość mleka, które Richard przerabiał na masło i sery. Swoje produkty wysyłał poza granicę kraju, na Diamentowe Wybrzeże, gdzie handlarze je rozchwytywali płacąc dobre ceny.

Richard próbował też z powodzeniem robić konserwy mięsne, na które miał zapewniony zbyt. Zadowolony z rezultatów swej pracy, przynoszącej większe zyski niż przewidywał, obliczył, że już po upływie pierwszego roku będzie mógł spłacić siedem, a może nawet osiem tysięcy marek ze swego długu, chociaż znów powiększył trochę stado bydła. Jeśli zdoła później dokupić jeszcze więcej, zarobki wzrosną. Wpierw jednak musi spłacić dług, a kiedy to osiągnie, zacznie oszczędzać, żeby pewnego dnia móc kupić Ovambę.

Już w pierwszym roku swego farmerskiego życia stwierdził, że tutaj idzie znacznie szybciej do przodu, niż byłoby to możliwe w Niemczech. Ze szczególnym upodobaniem pracował na niewielkim, stanowiącym jego własność kawałku gruntu. Próbował tam ulepszyć glebę, gdyż podjął ryzykowny zamiar wyhodowania warzyw. Praca była ciężka, ale w końcu poszczęściło mu się. Richard miał ambicję, żeby uczynić ze swej posiadłości wzorową osadę.

I wszystko mu się udawało. Wyhodowane warzywa wystarczały na razie tylko na własne potrzeby i na przesłanie od czasu do czasu pani Martensowej koszyka jarzyn w prezencie. Pani Lena cieszyła się z urozmaicenia jadłospisu i zachęcała męża do podjęcia takich samych prób.

Z upływem czasu im jaśniej widział swoją przyszłość pod względem materialnym, tym ciężiej odczuwał samotność. Kiedy wieczorami przesiadywał na werandzie domu, jego pełne tęsknoty myśli biegły daleko i uparcie krążyły wokół Lory Darland. W jasnych barwach wyobrażał sobie bez końca, jakby to było, gdyby Lora była tu z nim jako jego żona, witała go w domu po zakończonej pracy i patrzyła na niego swymi ślicznymi oczami. I wtedy wydawało mu się, że słyszy jej łagodny, niski głos wyznający mu miłość. Ale teraz nie było już w jej głosie powstrzymywanych łez, lecz pełna szczęścia radość.

„Kocham cię, Loro, i tęsknię za tobą.” Richard zrozumiał już, że to, czym darzy Lorę, to miłość i że Lora stopniowo zajęła w jego sercu miejsce Hildy. Aż nadszedł dzień, kiedy zadał sobie pytanie: „Dlaczego nie przywołałam jej do siebie? Przecież ona mnie kocha! Dlaczego nie biorę jej za żonę?”

Zrobiło mu się od tych myśli gorąco, ale odrzucił je od siebie z westchnieniem. Nie, o tym nie powinienem marzyć. Jak mógłby teraz wiązać ze sobą kobietę, wrywając ją z przyzwyczajzeń wygodnego życia, wciągając ją w swoją ciągle jeszcze niepewną przyszłość, przenosić w prymitywne warunki i pozbawiać wszelkiego komfortu? Nie. nie powinien oddawać się takim myślom. Jego marzenia nigdy nie powinny się spełnić. Nie może odplacać Lorze złem za jej miłość i dobroć, wciągając ją w surowe i ciężkie życie.

Mimo wszystko pisywał do niej nadal, chociaż nie zdradzał się z tym, jak bardzo przeobraziły się jego uczucia. Tylko w ponawianych prośbach o odpowiedź pobrzmiwał gorący i tęskny ton.

Nie wiedział, jak bardzo Lorze było ciężko, że pozostawia jego listy bez odpowiedzi, ale przyrzekła sobie milczeć przez rok, aby mógł o niej zapomnieć, a odpowiedzieć dopiero po upływie tego terminu, jeśli nie przestanie do niej pisywać.

I dotrzymała danego sobie słowa, chociaż przychodziło jej z największym trudem opierać się pełnym tęsknoty naleganiom Richarda.

Minął jednak rok i pewnego dnia Richard otrzymał list, którego nadawcą była Lora Darland. Nadejście jakiegokolwiek poczty było dla Richarda wielkim przeżyciem, ale list od Lory wzburzył go do głębi. Pospiesznie odprawił swoich ludzi, którym właśnie klarował, co i jak mają robić. Został sam. Usiadł na jednym z wiklinowych foteli stojących na werandzie i przez chwilę wpatrywał się w kopertę. Tę chwilę spełnienia marzeń należało powoli smakować. List od Lory — to było coś wielkiego, pięknego i cudownego.

Odetchnął pełną piersią, a potem otworzył kopertę i wydobył dwa ciasno zapisane arkusiki. Pijany radością roześmiał się i wykrzyknął na cały głos jej imię. Zaczął czytać:

Drogi Panie Sundheim!

Napisał Pan do mnie już tyle miłych listów i z pewnością myśli Pan, że jestem bardzo nieuprzejma, pozostawiając je bez odpowiedzi. Ale to nie tak — powstrzymywało mnie coś całkiem innego.

Bałam się, że będzie Pan pisał do mnie tylko z obowiązku — dlatego że poczuwa się Pan wobec mnie do długu wdzięczności. Sądziłam, że jeśli odpowiem

na list, to tym samym zobowiązę Pana do dalszej korespondencji. Dałam więc sobie słowo, iż pozostawię pańskie listy bez odpowiedzi, dopóki nie minie rok.

U nas zmieniło się w tym czasie niejedno. Hilda jest już od trzech kwartałów zamężna. Moim zmartwieniem jest stan zdrowia ojca, który ciągle niedomaga. Usiłuję pomagać mu w pracy bardziej wydatnie niż dotychczas. Jestem zadowolona, że ojciec nie musi już troszczyć się o byt Hildy, która ponadto czyni obecnie wiele dla swojej matki. Ale ja piszę w kółko o Hildzie nie wiedząc, czy nie sprawiam tym Panu bólu. Chciałabym wspominać o niej jak najmniej.

Przez przypadek dowiedziałam się, że Pański stryj bardzo chorował, a teraz pojechał na wypoczynek do Włoch, nad jezioro Garda. Ale o tym zapewne doniósł Panu Friedrich, który towarzyszy swemu panu w podróży.

Od pana Heimsa ze zdumieniem usłyszałam, że już teraz, po upływie roku, wpłaci Pan siedem tysięcy marek na poczet długu. Pan Heims prosił powiadomić Pana, że to nadal nic pilnego. Jeśli tylko będzie Pan punktualnie płacił odsetki, tamta suma może być do Pańskiej dyspozycji tak długo, jak to będzie potrzebne.

Cieszę się bardzo, że stoi Pan już mocno na afrykańskiej ziemi i że hoduje Pan w swojej osadzie nawet warzywa. Czytam zawsze z wielkim zainteresowaniem Pańskie listy; dzięki Pana opisom wiem, jak wygląda Ovamba. Cieszę się też, że Państwo Martensowie są tak oddanymi przyjaciółmi — bez nich czułby się Pan tam bardzo osamotniony.

Z całego serca życzę Panu niezmiennie wszystkiego dobrego. Będę teraz odpisywać na Pańskie listy, jeśli mi Pan przyrzeknie, że nie oglądając się na mnie, poniecha Pan tej korespondencji, kiedy zacznie ona być dla Pana uciążliwa. Niech Ovamba stanie się dla Pana spokojną i szczęśliwą drugą ojczyzną. Będę się cieszyć z oddali. Nawet jeśli nigdy się nie zobaczymy więcej, będę zawsze wspominać Pana z przyjaźnią i wielką życzliwością.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Lora Darland

Richard skończył czytać i znów zaczerpnął głęboko tchu. Po chwili zaczął od początku zgłębiać treść listu, usiłując doczytać się czegoś również między wierszami. Zadawał sobie niespokojne pytanie, czy ta okazywana nadal życzliwość jest zasłoną, za którą kryje się głębsze uczucie, czy też to uczucie uległo już

zmianie. A może jej miłość do niego umarła? Lora była tak daleko; na pewno ma wokół siebie różnych adoratorów, odkąd błędny ogień Hildy nie pograża jej już w cieniu.

Serce biło mu niespokojnie. Ogarniało go na przemian zimno i gorąco, kiedy przyszło mu na myśl, że pewnego dnia Lora może związać się z kimś innym. Analizował każde słowo jej listu, badając, czy nie znajdzie w nim czegoś z jej dawnego uczucia. Ale kiedy jedno zdanie dawało mu jakąś nadzieję, inne pozbawiało go resztek pewności.

Podurwał się, żeby natychmiast do niej napisać. Chciał przekazać swoją radość, że nareszcie napisała do niego i że obiecała odtąd odpowiadać na listy; chciał również prosić Lorę, aby nigdy przez myśl jej nie przeszło, że ich korespondencja może kiedykolwiek stać się dla niego ciężarem.

XI

Odtąd Richard otrzymywał odwrotną pocztą odpowiedź na każdy list, a że Lora przewyciężyła już swoje zahamowania, pisanie szło jej łatwiej, niż przypuszczała. Ta korespondencja była dla niej nieustającym źródłem radości, której bardzo teraz potrzebowała, gdyż ojciec przysparzał jej coraz więcej zmartwień i niepokoju. Pielęgnowanie chorego spadło wyłącznie na nią. Macocha bardzo mało przebywała w domu — Hilda prawie codziennie przysyłała po nią samochód, a pani profesorowa czuła się oczywiście bez porównania lepiej w eleganckiej willi córki niż w ciasnym mieszkaniu czynszowym. W ten sposób oddalała się coraz bardziej od męża i pasierbicy; najchętniej przeniosłaby się całkowicie do córki, ale powstrzymywało ją poczucie obowiązku i obawa przed tym, „co ludzie na to powiedzą”.

Hilda powtarzała matce wielokrotnie, że przyjmie ją do siebie, skoro tylko zdecyduje się na przenosiny. W domu wszystko działało się bowiem wedle woli Hildy. Zakochany bez pamięci mąż zgadywał jej życzenia i przy każdej nadarżającej się okazji, a także bez żadnej okazji, obdarowywał ją biżuterią. Hilda miała też własne niewielkie auto — elegancką, bardzo ładną limuzynę, którą jeździła

po mieście, robiąc zakupy i składając wizyty przyjaciółkom zazdroszczącym jej luksusowego życia.

Matka towarzyszyła jej w tych objazdach, dumna ze swej córki. Z tym wszystkim Hilda już nie czuła się bezgranicznie szczęśliwa, odkąd pierwszy okres upajania się bogactwem i luksusem przeminął i wszystko zdążyło jej spowszednieć.

Mąż był i pozostał w jej odczuciu osobnikiem odrażającym, a to, że musiała ukrywać przed nim swoją niechęć, było istną torturą. Starła się więc uprzyjemnić sobie życie w inny sposób. Kokietowała i flirtowała więcej niż przedtem, nie traktując małżeńskiej przysięgi wierności zbyt serio. Zaślepiiony w swym zakochaniu Frankenstein niczego nie zauważał, zwłaszcza że Hilda utrzymywała go w przekonaniu, iż nigdy nie wychodzi z domu sama. Kiedy z powodu ważnych interesów mąż na ogół nie mógł jej towarzyszyć, brała ze sobą matkę. Profesorka — równie oschła uczuciowo jak córka — przymykała oczy na jej drobne przygody, byle zachowane zostały pozory.

Po roku małżeństwa Hilda doszła do wniosku, że jej życie jest bardzo nudne. Nie kochając w gruncie rzeczy niczego i nikogo poza sobą, nie znajdowała w niczym zadowolenia. Jeśli kiedykolwiek żywiła do kogoś cień uczucia, to tylko do Richarda Sundheima — przynajmniej tak to sobie teraz wmawiała. Ogarniała ją piekąca zazdrość, odkąd zorientowała się, że Lora regularnie otrzymuje od niego listy. Dałaby wiele za to, żeby móc je przeczytać, ale Lora strzegła ich pilnie niczym bezcennego skarbu.

I tak przeminął rok, odkąd Hilda została panią Frankenstein. Nadal była oszałamiająco piękna, ale jej oczy patrzyły na świat zimno i z wyrazem przesyty.

W tym też czasie poczuła, że zostanie matką. Odkrycie to przeraziło ją — nie chciała mieć dziecka. Za to Frankenstein nie posiadał się z radości i obchodził się z Hildą jak z jajkiem. Jeśli dotychczas spełniał wszelkie jej życzenia, to teraz był wprost niewyczerpany w pomysłach, jak zrobić jej przyjemność. Kiedy Hilda, markotna i niechętna, płakała i kaprysiła jak źle wychowane dziecko, znosił to z anielską cierpliwością, próbując na wszelkie sposoby ją rozweselić. Ten przedtem tak mało subtelny człowiek był teraz wzruszający w swej pieczołowitej delikatności.

Na wieść, że Hilda zostanie matką, Lora pospieszyła z gratulacjami.

— Życie nabierze dla ciebie prawdziwej radości — powiedziała serdecznie.
— Dopiero teraz, kiedy będziesz miała dziecko, staniesz się naprawdę szczęśliwa.

Hilda zaśmiała się szyderczo.

— Nie lubię dzieci. Myśl o dziecku przeraża mnie.

Lora potrząsnęła głową niedowierzająco. Macocha wymogła na niej obietnicę, że w niczym nie będzie sprzeciwiać się Hildzie, żeby jej nie denerwować, więc nie zdobyła się na żadną odpowiedź. W jej duszy obudziło się coś jakby uczucie głębokiej litości dla Hildy. Jeśli nawet misterium macierzyństwa nie wyzwoliło w niej cieplejszych uczuć, to najwidoczniej jest do nich niezdolna. Czy nie należy jej zatem współczuć z całego serca? Skoro nadzieja na dziecko nie odłieniła jej charakteru, nie uczyniła go głębszym i wartościowszym, to widać pozostanie już na zawsze kimś całkowicie bezdusznym.

Któregoś dnia Hilda przyszła z krótką wizytą do ojczyma, którego stan pogarszał się z dnia na dzień. Do tych odwiedzin nie skłoniło jej bynajmniej współczucie czy zainteresowanie, tylko myśl, że wypada od czasu do czasu do niego zaglądać, bo inaczej, „co ludzie na to powiedzą”.

Przypadek zrządził, że w czasie tej wizyty nadszedł kolejny list od Richarda. Hilda wlepiała wzrok w trzymaną przez Lorę kopertę.

— Wygląda na to, że prowadzisz niezwykle ożywioną korespondencję z Richardem Sundheimem — rzekła, nie umiejąc ukryć zawiści.

— Dostaję od niego list mniej więcej co miesiąc — odparła Lora spokojnie.

— A sama pisujesz do niego równie często?

— Owszem.

— Jaki ma sens taka pisanina? Chcesz go w ten sposób usidlić? — spytała Hilda rozdygotana, ciskając złe spojrzenie.

Lora lekko przybladła, ale odpowiedziała spokojnie i stanowczo:

— Chcę mu pomóc przetrwać ten trudny dla niego okres, dodać mu trochę otuchy po doznanych przykrościach.

W oczach Hildy mignął dziwny błysk.

— Ach tak! Więc on potrzebuje jeszcze pociechy? Czy pisze o mnie często?

— Prawie wcale. Ale to nie dowodzi, że wszystko przebolewał, choć nigdy nie wymknęło mu się nawet słowo skargi.

— Widocznie bardzo go lubisz, skoro do niego pisujesz i nieustannie go pocieszasz. Nie przywiązuj się tylko niepotrzebnie, bo możesz stracić przez to widoki na jakąś dobrą partię.

— Nie myślę o zrobieniu dobrej partii.

Hilda roześmiała się ostro.

— Bo uwzięłaś się na Sundheima. Tylko że on ani myśli żenić się z tobą.

Twarz Lory pokrył ciemny rumieniec. Wyprostowana dumnie, odparła:

— Prowadzimy czysto przyjacielską korespondencję. To wszystko.

— W takim wypadku nie otaczałabyś tej korespondencji tajemnicą. Nigdy nie pokazałaś żadnego z tych listów.

— Czasem czytam ojcu te fragmenty, które są dla niego ciekawe. Mama nie interesuje się tymi sprawami, a tobie nie dam nigdy żadnego z tych listów do rąk; to byłoby zdradą naszej przyjaźni. Zresztą one nie są do ciebie pisane.

— Jesteś tego całkiem pewna? — szydziła Hilda.

— Owszem, jestem pewna.

— Obyś się nie myliła. A ja jestem przekonana, że on koresponduje z tobą tylko po to, żeby od czasu do czasu czegoś się o mnie dowiedzieć, a mnie z kolei przekazać jakąś wiadomość o sobie.

Te słowa Hildy sprawiły Lorze ból. Czyżby Richard rzeczywiście pisywał tak często tylko z powodu Hildy? To by znaczyło, że dotąd nie zdołał wyrwać jej z serca. Lora pokryła ból dzielnym uśmiechem.

— Może istotnie pisuje tylko z tego względu, wszystko jest możliwe, ale to nie upoważnia mnie do pokazywania ci jego listów i niedyskrecji.

— Jesteście w aż tak zażyłych stosunkach?

— Nie wiem, co nazywasz zażyłością. On pisze o ciężkiej walce, którą toczy, żeby do czegoś dojść, o swoich planach i kłopotach.

— A o czym ty mu piszesz?

Lora spojrzała ze zdumieniem.

— Nie masz prawa stawiać mi pytań jak na przesłuchaniu. Ale mogę ci powiedzieć, że piszę do niego o wszystkim, co może go zainteresować i co może dodać mu otuchy, żeby nie czuł się całkiem samotny i opuszczony.

— O, Boże, co za szlachetność! I to wszystko bez ubocznych myśli?

Lora wstała.

— Pozostawiam to bez odpowiedzi, Hildo. A teraz muszę już pójść do ojca.

I z tymi słowami wyszła z pokoju. Hilda odprowadziła ją wściekłym spojrzeniem i tupnęła nogą zirytowana.

Po tej rozmowie stosunki między przyrodnimi siostrami pozostały bardzo napięte.

Czas mijał szybko, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym Hilda obdarowała męża potomkiem. Dziecko było zdrowe i silne, a Hilda wkrótce doszła do siebie. Była teraz jeszcze piękniejsza niż dawniej, choć ku swemu zmartwieniu nieco tęższa.

Uszczęśliwiony Frankenstein ciągle od nowa stwierdzał z głośną radością, że chłopiec jest jego żywą kopią. Inni również konstатовali uderzające podobieństwo, lecz nikt nie miał pojęcia, że Hilda jest tym wręcz przerażona. Rzeczywiście, trudno było zaprzeczyć: chłopiec miał oczy, włosy i zarys twarzy Ernsta Frankensteina.

To wystarczyło, żeby Hilda odsunęła się od dziecka, powierzając je całkowicie opiece niańki i ojca, który mógł całymi godzinami siedzieć przy kołysce i wpatrywać się w synka. Lora po raz pierwszy odkryła jakąś sympatyczną cechę w charakterze szwagra, który we wzruszający sposób kochał malca. Na tym tle jeszcze bardziej przerażająca wydała się jej obojętność Hildy. Atmosfera Willi Frankensteina zawsze była przygniatająca, ale teraz przygnębiała Lorę jeszcze silniej, toteż bardzo rzadko zdobywała się na odwiedziny.

Lorę pochłaniało całkowicie pielęgnowanie ojca. Pozostali teraz sami, co im zresztą najbardziej odpowiadało.

Lecz pewnego dnia Lora, siedząc przy łożu śmierci swego ojca, została zupełnie sama. Profesor Darland zasnął cicho, wyczerpany długimi cierpieniami. Jego siły życiowe, nigdy zbyt wielkie, podkopała ciągnąca się latami wyętzona praca.

Lora była do głębi wstrząśnięta śmiercią jedyne go człowieka, który do niej należał. Po jego pogrzebie poczuła się kompletnie osamotniona. Macocha przeniosła się natychmiast do willi Frankensteinów, gdzie zajmowała się głównie opieką nad wnukiem, dla którego rodzona matka nigdy nie miała czasu.

Lora zlikwidowała mieszkanie, zatrzymując niewielką część mebli, tyle żeby móc urządzić sobie małe mieszkanie, a resztę sprzedała. Uzyskaną w ten sposób kwotę podzieliła między siebie i macochę. Profesor nie zostawił majątku, a jego pobory ustały z chwilą śmierci.

W każdym razie Lora nie miała teraz nic poza sumą około trzech tysięcy marek za sprzedane meble oraz odsetkami od niewielkiego kapitału, płaconymi w przeważającej części przez Richarda, o czym jednak poza Heimsami nikt nie wiedział. Dochody zapowiadały się więc niezwykle skromnie i Lora uznała, że musi koniecznie zacząć dorabiać. To jej nie martwiło — była młoda, zdrowa i lubiła pracować — nie wiedziała jednak, od czego zacząć. Rozważała między innymi, czy by nie spożytkować swych talentów krawieckich, szyjąc suknie i kostiumy.

Na szczęście nie musiała się spieszyć z podjęciem decyzji. Kiedy wszczęła z Hildą i jej matką rozmowę o swoim zamiarze otwarcia salonu krawieckiego, obie damy nie posiadały się z oburzenia.

— To niemożliwe, Loro! Jak ty to sobie wyobrażasz? Co ludzie na to powiedzą? Nie możesz przecież pracować jako krawcowa tutaj, gdzie wszyscy cię znają — powiedziała Hilda.

Lora uśmiechnęła się.

— Właśnie dlatego, że tutaj tylu ludzi mnie zna, będzie mi łatwiej znaleźć klientelę. Może z czasem i ty dasz mi zarobić, Hildo...

Hilda impertynencko wzruszyła ramionami.

— Ja zamawiam garderobę w renomowanych atelier Wiednia i Paryża.

— Cóż, kiedyś nosiłaś suknie szyte przeze mnie, a niedawno sama i powiedziałaś, że te drogie toalety, które obecnie nosisz, wcale nie prezentują się lepiej niż tamte, szyte przeze mnie.

— Owszem, ale nikt nie powinien wiedzieć, że umiesz szyc.

— Czy to hańba?

— O, Boże! Oczywiście, że nie, ale wiesz przecież, że to nie uchodzi. Twój ojciec też nie zniósłby tego, żebyś szyla suknie dla zarobku.

Lora przesunęła dłonią po czole.

— Ojciec musiał brać pod uwagę swoją pozycję.

— Więc teraz ty musisz wziąć pod uwagę pozycję mego męża.

— Przede wszystkim muszę zarabiać, bo z samych procentów od mojego kapitału nie wyżyję.

— Ale nie jako krawcowa, na litość boską! Znasz przecież języki obce. Czy nie mogłabyś w jakiś sposób tego wykorzystać?

i — Ach, Hildo! Praca umysłowa jest tak źle płatna! Mój biedny ojciec w pełni tego doświadczył.

— W żadnym wypadku nie zgodzę się, żebyś założyła tutaj pracownię krawiecką. Raczej poproszę męża, żeby ci wypłacał miesięczny zasiłek.

Lora wyprostowała się dumnie. — Niczego takiego nie przyjmę, w żadnym wypadku. — Nie zniosę, żebyś została tu krawcową! Po wargach Lory przemknął gorzki uśmiech.

— Nie pozostanie mi więc nic innego, jak zmienić miejsce zamieszkania. Mogłabym przenieść się do Berlina, co chyba nawet nie byłoby od rzeczy. Uspokójcie się zatem; obiecuję, że nie skompromituję was. Ale muszę wszystko dobrze rozważyć. Na razie znalazłam przy Saumstrasse odpowiednie mieszkanie. Spróbuję najpierw dojść do ładu ze sobą.

Lora wynajęła dwupokojowe mieszkanie, starając się urządzić je możliwie przytulnie. W jego ścianach zamykało się bowiem jej obecne samotnicze życie.

A kiedy wszystko było już na swoim miejscu, a ona sama doszła do równowagi i osiągnęła spokój, zasiadła przy biurku i napisała do Richarda Sundheima.

XII

Richard siedział na werandzie swego domu i palił cygaro, śledząc wzrokiem wijący się dymek. Ciszę niedzielnego przedpołudnia przerwał nagle warkot samochodu. Poderwał się i spojrzał na drogę: poznał samochód Heinza Martensa, który w chwilę potem zajechał przed dom.

Heinz i Lena śmiejąc się pomachali mu na powitanie. Richard w dwóch susach zbiegł ze schodków werandy i otworzył drzwiczki auta.

— Jaka miła niespodzianka! Witam serdecznie! Nastawiłem się już na całkiem samotną niedzielę. To wspaniale, żeście przyjechali!

Pomógł wysiąść Lenie, która zaczęła otrzepywać z kurzu swój szary prochowiec.

— No, czy nie jesteśmy mili?

— Mili to za słabe słowo, pani Leno! Ogromnie się cieszę. Właśnie tak sobie myślałem, że te niedziele, których nie spędzam u was, są dla mnie katorgą, bo wtedy mam czas, żeby rozżalać się nad swoim osamotnieniem. Nie mogę przecież w każdą niedzielę sterczeć u was.

— Podziękuj Lenie — powiedział Heinz, ściskając dłoń przyjaciela. — Siedziałem sobie spokojnie, nie przeczuwając nic złego, przy niedzielnym śniadaniu, kiedy nagle Lena zaczęła mnie poganiać, abym się pospieszył, bo zaraz jedziemy do Ovamby, żeby cię rozruszać. Ona uważa, że jesteś ostatnio w złym nastroju.

Lena popatrzyła na Richarda badawczo.

— Właśnie! Nie podoba mi się pan, drogi przyjacielu! To życie w pojedynkę, jakie pan tutaj prowadzi, jest nie do zniesienia na dłuższą metę. Dlatego postanowiłam, że musi się pan ożenić.

Richard uśmiechnął się słabo.

— Niech pani wpierw wejdzie do domu i trochę się odświeży po tej jeździe w obłokach kurzu, pani Leno. A potem zasiądziemy do stołu. Mój czarny kucharz zapędziłby w kozi róg niejednego francuskiego mistrza patelni. Na obiad będą kurczaki i sałata z własnego ogrodu, z czego jestem niebywale dumny.

— I ma pan do tego prawo! Nie mogę wyjść z podziwu, że wyhodował pan takie wspaniałe warzywa. Heinz jest bardzo o to zazdrosny, bo jemu nie udają się tak dobrze.

Weszli do domu, podczas kiedy czarni służący Richarda wśród żartów i śmiechów otoczyli auto ze wszystkich stron, oglądając je z zaciekawieniem i respektem. Pani Lena zdjęła kapelusz i płaszcz, ogarnęła się trochę, a potem zaczęła chodzić po wnętrzu.

Pół godziny później wszyscy troje zasiedli w cieniu na werandzie. Richard kazał podać napoje chłodzące, a Lena podjęła od nowa temat leżący jej na sercu.

— Rozejrzałam się trochę i widzę zmiany na lepsze, bo sprawił pan sobie fotel i półkę, na której stoją różne piękne książki. Dom wygląda więc ładniej, ale, jak już mówiłam, brakuje w nim kobiety.

Richard roześmiał się.

— Uwzięła się pani dziś na ten temat, pani Leno. Skąd kobieta tutaj? Przecież nie mógłbym wprowadzić żony do takiego prymitywu.

— A dlaczego nie? Właśnie kobieta o zręcznych rękach mogłaby przeobrazić ten dom w mgnieniu oka; zaraz poczułby się pan inaczej.

Richard westchnął.

— Nie odważyłbym się wiązać żadnej kobiety z moim samotniczym życiem farmera.

— Samotniczym? Jeśli się pan ożeni, to nie będzie pan sam. Nie ma rady: musi się pan ożenić. Będę nękać tak długo, aż się pan zdecyduje. Nie mogę dłużej patrzeć, jak pan się męczy w tej pustelni. Czy mogę zacząć szukać kandydatki na żonę dla pana?

Richard spojrział na przedsiębiorczą minę Leny i mimo woli roześmiał się.

— Jest pani bardzo miła i uczynna, ale żonę trzeba sobie znaleźć samemu. Ja zresztą chciałbym tu widzieć tylko tę jedną jedyną, którą już znam. Nawet nie wie pani, jak chciałbym, żeby była tu ze mną.

— Można się było domyślić. A więc zostawił pan w kraju kogoś kochanego? — badała Lena, podczas gdy jej mąż spojrzał pytająco.

Richard skinął głową,

— Kogoś bardzo kochanego, pani Leno.

— Chłopie drogi, przecież chyba nie mówisz, na litość boską, o tej, która cię zdradziła?

— Och, nie! Mówię o tej, której nie zauważałem, bo w sercu i głowie miałem wtedy inną. A ona mnie kochała, ale czy to uczucie w niej przetrwało, tego, rzecz jasna, nie wiem.

— Jeśli kochała pana rzeczywiście, to kocha nadal. Teraz wiem, że kiedy wpada pan w zadumę, to myślami jest pan przy niej. Ale dlaczego nie sprowadzi jej pan tutaj?

— Nie mogę jej prosić, żeby zrezygnowała dla mnie ze spokojnego, bezpiecznego życia i przeniosła się na to odludzie, dzieląc moją niepewną i trudną egzystencję.

Lena potrząsnęła głową.

— Już nie jest taka niepewna i trudna. Czegóż pan jeszcze chce? W ciągu dwóch lat spłacił pan piętnaście tysięcy marek długu; Heinz mówił, że właśnie zwrócił pan osiem tysięcy swoim wierzycielom. Pozostałą część ureguluje pan z pewnością w ciągu następnych dwóch lat. Wszystko idzie dobrze, powiększył pan swoje stado bydła i zawarł na następne lata korzystne kontrakty na dostawę swoich produktów. Czy ta dziewczyna, o której pan mówi, jest bardzo wymagająca i wybredna?

— Nie sędzę. Jej ojciec jest profesorem, nie ma żadnego majątku. Wiem, że ich rodzina musi liczyć się z groszem, żyje jednak na pewnym poziomie, którego ja nie mogę jej tutaj zaofiarować.

— Tak? A pańska osoba w ogóle się w tym wszystkim nie liczy? Czy to mało mieć za męża człowieka uczciwego, zdolnego i ambitnego, który ofiaruje serce i stwarza dom?

Richard zamyślił się. Widział znów smutne, niespokojne oczy Lory, słyszał jej głos wyznający mu miłość. Serce waliło mu w piersiach jak młot.

— Myślę, że w Niemczech umiałyby mnie docenić. Ale to straszna odpowiedzialność przenosić kogoś na zupełnie obcy grunt.

— Mój drogi — wmieszał się do rozmowy Heinz — może najprościej byłoby ją spytać, czy nie miałaby ochoty na takie przenosiny. Prawdziwą kobietę mało obchodzi, dokąd ma się przenieść; ważne, żeby mogła być obok mężczyzny, którego kocha. Moja żona ma rację — musisz się ożenić. Mężczyzna, który od czasu do czasu wysłucha reprimendy, staje się innym człowiekiem. Wiem to z doświadczenia

Heinz łypnął okiem w stronę żony, która zmierzwiła mu blond czuprynę i powiedziała karcąco:

— Tak zniechęcasz naszego przyjaciela do żeniaczki, że chyba chcesz pozbawić mnie szansy na profit ze swatów.

Heinz zatrząsł się ze śmiechu.

— Teraz widzisz, Richardzie; to taka mała próbka. Ale najgłupsze jest to, że człowiek całkiem nieźle się z tym czuje. Lena przyjechała dziś z mocnym postanowieniem nawrócenia cię na małżeństwo. Lepiej od razu złóż broń, zanim naprawdę zaczniesz cię przekonywać, bo i tak nic ci nie pomoże — zakończył Heinz wesoło.

Ale Richard spojrzał na Lenę poważnie i uścisnął jej dłoń.

— Dziękuję, Leno! Dodała mi pani odwagi. Oświadczę się, a przynajmniej postaram się wybadać...

— Brawo! Tylko niech pan zbytnio nie dyplomatyzuje. Ona ma prawo dokładnie wiedzieć, co pan zamierza. Kobiety lubią w tych sprawach jasną i wyraźną deklarację, bo chcą wiedzieć, czego się od nich oczekuje. Niech pan nie bierze przykładu z Heinza, który kiedyś przez całą niedzielę opowiadał mi, jak to jest po uszy zakochany w pewnej dziewczynie, ale nie wie, czy ona odwzajemnia je-

go uczucia, więc może ja bym ją o to zapytała. No cóż, obiecałam mu to z wymuszonym uśmiechem, a potem wypłakiwałam oczy, bo uwierzyłam, że on mówi o innej. Dopiero znacznie później, kiedy już opanowałam lodowatą rezerwę, dowiedziałam się, że chodziło mu o mnie. Jeśli więc ma pan zamiar tylko wystawić czułki, to niech to będzie wyraźne.

Richard roześmiał się, słuchając tych rad.

— Zabiorę się do tego we właściwy sposób, pani Leno.

— To dobrze. Kiedy sprawa dojrzeje, przyjadę tu na cały dzień i przygotuję wszystko na przyjęcie młodej damy. Trzeba będzie coś niecoś dokupić, ale postaram się, żeby to nie wypadło zbyt drogo.

— Jest pani aniołem, pani Leno!

— Hola! Nie wbijaj mojej żonie do głowy takich porównań! Anioł? Dziękuję, nie chcę anioła, który w każdej chwili może odfrunąć — zaprotestował Heinz i pocałował żonę.

— Ty barbarzyńco! Obcałowujesz mnie bez żenady w obecności Richarda. Co on sobie pomyśli?

— Ja tylko wspieram twój plan ściągnięcia go na ślubny kobierzec. Jeśli będzie się nam przyglądał, sam nabierze apetytu.

— Och, kochani! Nawet nie wiecie, jak zaostrzyliście mi apetyt! A mówiąc szczerze, właśnie dlatego brak mi czasem odwagi jechać do was. Po kilku godzinach spędzonych w waszym domu wracam do siebie w okropnym nastroju. Bóg wie, że nie jestem z natury zawistny, ale wtedy odczuwam coś podobnego do zawiści.

— Wspaniale! To znaczy, że dojrzałeś do małżeństwa, mój drogi! Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo.

Rozmowa potoczyła się dalej, ale wkrótce Richard dał hasło do obiadu. Czarny kucharz okazał się perłą. Najpierw podał esencjonalną zupę ogonową, a na drugie danie — smażone kurczaki, delikatne i soczyste, sałatę przyprawioną według wskazówek Richarda kwaśną śmietaną z dodatkiem cytryny i cukru oraz upieczone na brązowo ziemniaki. Na deser był ryż z bitą śmietaną i kawałkami

ananasa. Po tym znakomitym posiłku podano jeszcze dobrze zaparzoną czarną kawę.

— Jedzenie nie pozostawia nic do życzenia. Może to pan dać swojej przyszłej pod rozwagę, żeby potraktowała przychylnie pańskie oświadczyzny — zartowała Lena.

Heinz jęknął z udawanym oburzeniem.

— Co za obrzydliwy materializm, Leno! Duszyczka ci się zmienia!

Lena wstała od stołu, śmiejąc się.

— Przeżyjesz jeszcze niejedną niespodziankę, kochanie. Bądź na to przygotowany. Zostawiam was teraz przy cygarach i idę trochę pobuszować po domu. Muszę zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

Lena zniknęła, a obaj panowie popatrzyli za nią z uśmiechem.

— Można ci szczerze zazdrościć, Heinz. Twoja żona jest niezwykła — powiedział Richard gorąco.

Heinz Martens przytaknął.

— Wiem. Jestem szczęściarzem. I życzę ci, żebyś też wyciągnął swój wielki los.

Richard potarł w zamyśleniu czoło.

— Jeśli ona tu przyjedzie, to będzie to moja największa wygrana. Tego jestem pewien.

Rozmowa przeszła na inne tory — należało omówić interesy i naradzić się co do spraw gospodarskich.

Heinz i Lena odjechali późnym popołudniem. Richard został sam. Słowa Leny ciągle dźwięczały mu w uszach. Zaczął zastanawiać się, jak powinien wyrazić swoje pragnienia w liście do Lory. Chciał napisać do niej z samego rana. Ona powinna wreszcie dowiedzieć się, jak z nim jest naprawdę, jakie uczucia żywi do niej — i to już od dawna — chociaż nic o tym nie mówił.

Ale nazajutrz, zanim zabrał się do pisania, nadszedł list od Lory, a w nim wiadomość o śmierci jej ojca, a także o narodzinach syna Hildy. List zrobił na

Richardzie ogromne wrażenie. Okazało się, że Lora została teraz zupełnie sama i że będzie zmuszona zarabiać na życie, wegetując w dwóch ciasnych pokoikach.

Poczuł przyływ odwagi. Jeśli skłoni ją do przyjazdu tutaj, to nie będzie to już równoznaczne z wyrwaniem jej z dobrych warunków. Zasiadł więc przy biurku i napisał, co następuje:

Droga Panno Loro! Dziś otrzymałem list, w którym donosi mi Pani o utracie Ojca. Wiem, jak bardzo Go Pani kochała i jak bardzo troszczyła się Pani o Niego, dlatego rozumiem w pełni Pani ból.

Z listu wynika też, że została Pani teraz całkiem sama, bez żadnego oparcia w bliskim człowieku, zmuszona do podjęcia walki o byt. To, ośmiela mnie do wyznania czegoś, co przez cały ten czas pomijałem. milczeniem. Pytała mnie Pani z obawą, czy nie bolą mnie wzmianki o Hildzie, a ja przecież usunąłem ją z serca już bardzo dawno — kiedy pojąłem, że obiektem moich uczuć była nie tyle sama Hilda, ile projekcja moich marzeń, jakiś fantom. Loro, odkąd zrozumiałem tę omyłkę, moje serce zwróciło się w inną stronę. Dotychczas nie odważyłem się mówić Pani o tym, jak zmieniły się moje uczucia, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, którą tym samym wezmę na siebie. Wydawało mi się zuchwałością wciągać w niepewną egzystencję kobietę, którą pokochałem miłością mocniejszą i gorętszą niż kiedykolwiek mogło mi się to zdarzyć.

Ale jestem chory z tęsknoty. Kocham Panią z całego serca, silnie i głęboko; tak jak Pani na to zasługuje. Może teraz, kiedy jest Pani sama i czeka Panią w kraju trudne życie, wolno mi spytać, czy zechce Pani podzielić ze mną los. Tutejsze warunki nie są już takie złe. Myślę, że w Ovambie niejedno mogłoby spodobać się Pani. Połowę długu już spłaciłem, jak Pani wie; drugą połowę mam zamiar spłacić w ciągu dwóch najbliższych lat. Moja sytuacja życiowa zaczyna się powoli poprawiać. Będę najszczęśliwszym człowiekiem, jeśli zdobędzie się Pani na odwagę i podzieli ze mną życie. Czy mogę mieć nadzieję, że któregoś dnia przybędzie Pani tu do mnie? Wolalbym co prawda spłacić przedtem do końca swój dług i stanąć przed Panią jako ktoś wolny od wszelkich zobowiązań, ale czasem ogarnia mnie lęk, że mogę Panią stracić, bo zwiąże się Pani z kimś innym. Dlatego pytam, nie oglądając się na nic: czy zechce Pani zostać moją żoną?

Och, Loro, kochana moja! Byłoby cudownie, gdyby zdecydowała się Pani na przyjazd! Czekalbym na Panią w Walvisbaai. Moglibyśmy od razu wziąć ślub w

Swakopmund. Niestety, nie mogę przyjechać po Panią do Niemiec, gdyż musiałbym pozostawić nie okrzeplę jeszcze gospodarstwo na dłuższy czas bez dozoru.

Loro, czekam bardzo stęskniony na Pani odpowiedź. Proszę, niech Pani nie każe mi czekać zbyt długo. Teraz, kiedy wyznałem już wszystko, każda godzina będzie mi się podwójnie dłużyła.

Proszę do mnie zadepeszować — choćby jedno tylko słowo — czy mogę mieć nadzieję. Wtedy będę cierpliwiej czekał na Pani listowną odpowiedź.

Gorąco kochający Richard Sundheim

XIII

List dotarł do adresatki pewnego pięknego marcowego dnia. Lora wróciła właśnie z codziennego spaceru porannego do swego cichego mieszkanka. List od Richarda Sundheima już na nią czekał.

Zdjęła kapelusz i płaszcz, odgarnęła włosy z zaróżowionej od wiatru twarzy i usiadła wygodnie koło okna, przy stoliku do szycia, żeby z radością zagłębić się w treść listu.

Ale już po przeczytaniu kilku pierwszych linijek poderwała się gwałtownie. Trzymając list w drżących palcach, czytała dalej bez tchu, z coraz większym zdumieniem w oczach i coraz bardziej zaróżowionymi policzkami. Ręce zaczęły jej dygotać, a zbierające się w oczach łzy tak przyćmiewały wzrok, że chwilami musiała przerywać czytanie. Serce podeszło jej aż do gardła. Nie była w stanie pojąć ani ogarnąć myślą szczęścia, które spłynęło do jej pokoiku, tak jakby nagle otworzyło się przed nią niebo, pozwalając wejrzeć w niepojętą szczęśliwość. Richard ją kocha? Tęskni za nią? Mój Boże, czy to możliwe? Czytała list jak w gorączce, a kiedy doszła do końcowych słów, usiadła, wyciągnęła ramiona na stoliku i skryła w nich rozpaloną twarz. Zastygła w bezruchu i trwała tak jakiś czas, ciągle jeszcze nie ogarniając w pełni tego, co się stało.

Richard wzywa ją do siebie, potrzebuje jej, tęskni za nią — i to już od dawna. Nie miała więc racji myśląc, że on nadal kocha Hildę. Teraz już wie, że jego serce należy do niej.

Nagle opuściły ją siły. Musiała odczekać, pozwolić, aby ta burza doznań przewaliła się i ucichła. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo trwała w tym stanie odrętwienia. W końcu wyprostowała się i rozejrzała wokoło rozjaśnionymi oczami. Czy to ta sama izdebka, w której spędzała ostatnio swoje dni? Teraz wydała jej się przedziwnie odświętna, rozświetlona. Oczy Lory błyszczały szczęściem.

Jeszcze raz przeczytała list Richarda — uważnie, powoli, czerpiąc radość z każdego słowa. W jej sercu robiło się coraz jaśniej, weselej od tego przesłania, które dało jej ogrom szczęścia. Och, jak on mógł wątpić w to, że przybędzie z największą radością! Dlaczego tak długo i niepotrzebnie dręczył się obawami? Cóż znaczą trudne warunki i tamtejsze otoczenie, skoro będzie mogła być przy nim!

Zerwała się z miejsca — Richard prosił przecież o depeszę ze słowem nadziei. Nie powinien czekać ani trochę dłużej niż to jest konieczne. Przez chwilę zastanawiała się, jak najlepiej sformułować treść depeszy, a potem z figlarną miną napisała: *Przyjeżdżam. List w drodze. Lora.*

To brzmiało krótko, zwięzłe i nie stwarzało nieporozumień. Roześmiała się w duchu i z pośpiechem wyruszyła na pocztę, żeby nadać depeszę. A potem wróciła do domu i natychmiast zabrała się do pisania listu.

Zaledwie Richard Sundheim wyekspediował list do Lory, jak ruszyła cała seria mniejszych i większych nieszczęść.

Zaczęło się od bardziej niż kiedykolwiek opóźnionego nadejścia pory deszczowej. W przeciągających się tygodniach suszy woda dla bydła była niedobra i było jej za mało. To spowodowało wybuch zarazy, od której w krótkim czasie padło wiele cennych sztuk. Straty były duże i dotknęły wielu okolicznych farmerów, ale Richarda przygnębiły szczególnie, gdyż właśnie w tym czasie jego list powinien był dotrzeć, jak obliczył do rąk Lory.

Właśnie teraz, kiedy odważył się na szczere wyznanie, zaczęły się niepowodzenia. Richard nie załamywał się, powtarzając sobie starą dewizę: Na przekór złym mocom — wytrwać. I nie tracić nadziei, nie ustępować! Zła passa była nie tylko udziałem Richarda; inni farmerzy

— a wśród nich także Heinz Martens — również ponieśli straty. Należało przetrzymać klęskę i podjąć walkę na nowo.

Wkrótce jednak Richard otrzymał telegram od Lory i wszystko inne straciło na znaczeniu wobec dominującego uczucia szczęścia. Zaczął" teraz gorączkowo i tęsknie wypatrywać listu od niej.

I wtedy spotkał go kolejny cios. Długo oczekiwana pora deszczowa nadeszła nagle i bardzo gwałtownie. Spływające w dół ogromne masy wody napęliły błyskawicznie koryta rzek i stawy, które zaczęły szybko wzbierać.

Richard umocnił jak poprzedniego roku niebezpieczne miejsce w zakolu rzeki, ale napór wody był tak silny i nieustępliwy, że obwałowanie nie wytrzymało. Potężny prąd porwał worki z piaskiem i kamienie, a w nocy woda wdarła się przez wyrwę, zalewając teren, na który spędzono bydło dla większego — jak sądzono — bezpieczeństwa. Część zwierząt utonęła, zanim zorganizowano ratunek. Woda wystąpiła nawet z niecki stawu, w którym Richard lubił się kąpać, i dotarła pod sam dom.

To było ciężkie doświadczenie. Woda wprawdzie niebawem opadła, a obwałowanie zostało jak najstaranniej zabezpieczone, ale Richard wiedział już, że w tym krytycznym miejscu musi koniecznie zbudować solidne murowane nabrzeże, żeby katastrofa nie powtórzyła się więcej. Przedsięwzięcie było kosztowne. Skąd wziąć na to pieniądze? Klęski żywiołowe zahamowały i cofnęły rozwój farmy. Jego sytuacja nie była teraz o wiele lepsza niż na początku, kiedy przybył do Afryki. Znow musiał patrzeć z obawą w przyszłość, co było tym dotkliwsze, że godziło również w Loreę.

Nie wolno mu jednak tracić odwagi. Na przekór złym mocom — wytrwać! Był jednak przygnębiony, gdyż teraz miał jeszcze mniej podstaw, aby prosić Loreę o przyjazd. Teraz nie mógł przeznaczyć żadnych pieniędzy na wygodniejsze urządzenie domu. Jego dochody skurczyły się, gdyż stan pogłowia zmniejszył się o ponad połowę.

Richard pracował dniami i nocami, żeby usunąć ślady powodzi i naprawić szkody. I właśnie w tym okresie wytężonej pracy nadszedł list od Lory. Richardowi zwilgotniały oczy podczas czytania. Gładząc delikatnie zapisane ciasno arkusiki, zastanawiał się, co może i co powinien uczynić, a potem z ciężkim sercem napisał odpowiedź:

Moja kochana, droga, dzielna! Twój list uczynił mnie szczęśliwym. A obecnie bardzo mi potrzeba odrobiny szczęścia. Najchętniej napisałbym Ci:

„Przyjeżdżaj! Przyjeżdżaj tak prędko jak możesz. Potrzebuję Cię koniecznie, bo ostatnio spadło na mnie wiele klęsk”. Od czasu, kiedy wysłałem do Ciebie ostatni list, jedno nieszczęście gonilo za drugim. Straciłem połowę bydła — częściowo na skutek zarazy, częściowo w wyniku powodzi w porze deszczowej. Wspomniałem Ci o tym niebezpiecznym miejscu na brzegu rzeki. Umocnienie tym razem nie wytrzymało i część terenu znalazła się pod wodą. Powódź sama w sobie nie jest tutaj nieszczęściem, bo ziemia szybko wchłania wodę i pasza dla bydła rośnie wtedy szybciej. Mógłbym wypasać drugie tyle bydła, ile przedtem posiadałem, a mam go o połowę mniej. Jest mi gorzko, że owoce mojej pracy poszły na marne, i pewnie jeszcze długo nie będę mógł tego przeboleć. Muszę koniecznie zbudować murowane nabrzeże na zakręcie rzeki, żeby uniknąć powtórnego nieszczęścia. Będzie to jednak bardzo kosztowne.

Nie wiem, jak tego wszystkiego dokonam, gdyż moje finanse przedstawiają się teraz gorzej niż na początku. Nie będę też miał przez dłuższy czas ani grosza na wyposażenie domu. Powinienem przecież kupić kilka mebli i trochę różnych rzeczy, żeby Ci było wygodnie, a na to obecnie nie stać mnie.

Ach, Loro, tym razem będzie mi bardzo ciężko nie poddać się żalom, że nie mogę prosić Cię o przyjazd. Moja gorycz jest tym większa, że Ty ucierpisz z powodu tych życiowych klęsk, które na mnie spadły. Kochana moja, proszę Cię, pozostań mi wierna i poczekaj cierpliwie jeszcze trochę, dopóki nie będę mógł Ci dać hasła do przyjazdu. Powiedz, z łaski swojej, panu Heimsowi, co się stało i poproś go, żeby zechciał trochę poczekać na spłatę kolejnej raty długu. Wpierw muszę zwiększyć pogłowie bydła bo im mniej go mam, tym moje dochody są mniejsze.

Ach, Loro! Byłoby cudownie, gdybym mógł prosić Cię o natychmiastowy przyjazd. Moja tęsknota wzrosła jeszcze bardziej, odkąd otrzymałem Twój list. Nie mam jednak odwagi, by ponaglać Cię teraz do przyjazdu i życia wśród niewygód i kłopotów.

Twój bardzo zmartwiony Richard

Lorze ścisnęło się z żalu serce po przeczytaniu tego listu. Nie dlatego, że jej własne szczęście odsuwało się w niewiadomą przyszłość. Chodziło jej o Richarda. Wyczytała między linijkami więcej, niż Richard wyraził słowami: jego

ogromne przygnębienie z powodu ostatnich niepowodzeń i uczucie zawodu, że nie może natychmiast sprowadzić jej do siebie.

Zaczęła rozważać, jak mogłaby mu pomóc, i nagle rozpromieniła się. Nie ma powodu do rozpacz! Przecież ma, dzięki Bogu, pieniądze, które Richard przekazał, na poczet długu. A poza tym pozostało jej jeszcze dziesięć tysięcy marek i ponad dwa tysiące marek spuścizny po ojcu. Żyła bardzo oszczędnie, nie wydając prawie nic ponad to, co przynosiły odsetki od kapitału. Ach, jak to dobrze, że ma te pieniądze! Dwa tysiące po ojcu musi zatrzymać na podróż i drobne wydatki, ale pozostałe dwadzieścia pięć tysięcy pozwoli Richardowi pokryć straty i uzupełnić braki.

Roześmiała się w duchu. Richard nie ma pojęcia o tym, że jest wyłącznie jej dłużnikiem i że ten dług zostanie skreślony z chwilą, kiedy zostanie jego żoną. Wcześniej jednak nie powinien o niczym wiedzieć; prawdę usłyszeć może jedynie z ust żony.

Przez chwilę zastanawiała się, jak jeszcze raz zaaranżować sprawę w taki sposób, żeby nie zorientował się, od kogo pochodzi pomoc. Zerwała się ożywna, z błyszczącymi oczami, i — jak ostatnio — najpierw pobiegła na pocztę, gdzie nadała do Richarda depeszę następującej treści:

Przybędę mimo wszystko. List z dobrą wiadomością w drodze. Lora
— a potem szybko wróciła do domu i napisała do niego list.

Drogi Richardzie! Zapewne otrzymałeś już moją depeszę i dziwisz się, że postanowiłam do Ciebie przyjechać, chociaż uważasz to za nie wskazane. Teraz, kiedy wiem, że mnie kochasz i za mną tęsknisz, nic nie może mnie powstrzymać. Nie trać nadziei, mój kochany! Będziemy wspólnie dźwigać to, co jest nam przeznaczone, a wtedy będzie nam lżej. Wszystko da się odrobić! Georg Heims pożycz Ci raz jeszcze, na tych samych dogodnych warunkach, sumę, którą już zwróciłeś. Jeszcze dziś zostanie ona przekazana do banku na Twoje nazwisko.

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy jako skrzętna żona farmera stanę u Twego boku. Niezależnie od tego, czy mnie chcesz, czy też nie, zaczynam przygotowania do podróży. Wyruszę najpóźniej za cztery tygodnie. Wyślę do Ciebie depeszę z wiadomością, kiedy i którym statkiem przyłynę do Walvisbaai. Nie będę już więcej do Ciebie pisać, ale gdybyś Ty zechciał wysłać do mnie telegram, że się zgadzasz, byłabym wdzięczna.

Serce biło jej mocno, kiedy list wśliznął się do skrzynki pocztowej. Dumna z własnej odwagi wróciła do domu i zaczęła układać plan przygotowań do podróży. Przyszło jej do głowy, że powinna zawiadomić Hildę i macochę o zaręczynach z Richardem. Zdawała sobie przy tym sprawę z tego, że Hilda będzie jej zazdrościć szczęścia, z którego sama zrezygnowała, odrzucając Richarda.

W willi Frankensteinów służący wprowadził ją do eleganckiej bawialni, gdzie przyjęły ją Hilda i jej matka.

Kiedy Lora zajęła miejsce, Hilda zwróciła się do niej z przekąsem:

— Czemu zawdzięczamy zaszczyt twojej tak rzadkiej wizyty? Zjawiasz się u nas coraz rzadziej, Loro.

Lora popatrzyła na nią spokojnie. Zauważyła, że tylko macocha nosiła jeszcze żałobę po ojcu. Hilda odmówiła noszenia żałobnych ubiorów — poza ceremonią pogrzebu — ponieważ nie lubiła czerni.

— Miałam wrażenie, Hildo, że moje wizyty nie sprawiały przyjemności ani tobie, ani mamie. Kiedy byłam tu ostatni raz, nie potraktowałyście mnie zbyt życzliwie.

— Nie powinno cię to dziwić. Te bezsensowne plany, o których nam mówiłaś, mogły zirytować. Mam nadzieję, że wymyśliłaś coś rozsądniejszego.

Lora uśmiechnęła się.

— Jeśli o to chodzi, możecie się z mamą uspokoić, nie otworzę salonu mody ani tu, ani w Berlinie.

— Chwała Bogu! Teraz naprawdę cieszę się, że przyszedłaś. Zostaniesz oczywiście na śniadaniu. Mój mąż wyjechał na dwa dni, więc będziemy mogli swobodnie pogadać.

— Chętnie przyjmuję zaproszenie, Hildo, bo samotne posiłki są mało zabawne.

— Możesz częściej przychodzić, Loro. Nam doprawdy nie czyni różnicy, jeśli do stołu zasiada jedna osoba więcej, a ty będziesz mogła w ten sposób trochę zaoszczędzić.

Lora zaczerwieniła się. To łaskawe przyzwolenie na dorywcze korzystanie z darmowych posiłków było nietaktem, ale Lora nie dała się wyprowadzić z równowagi i odparła spokojnie:

— To uprzejme z twojej strony, ale nie miej mi za złe, że odmówię. Wiesz przecież, co myślę o tego rodzaju dobroczynności.

— O, Boże! Jesteś przewrażliwiona, Loro. W twojej sytuacji powinnaś się tego oduczyć.

— Są rzeczy, których człowiek nigdy się nie nauczy, Hildo. Mówmy jednak o czym innym. Przyszłam powiadomić was o ważnej sprawie.

Hilda i jej matka wymieniły niepewne spojrzenia przekonane, że Lora przyszła z jakimś nowym, dziwacznym pomysłem zarobkowania.

— Jesteśmy bardzo ciekawe, Loro. O czym chcesz nas powiadomić? — spytała macocha zachęcająco.

— Chciałam wam powiedzieć, że się zaręczyłam.

Matka i córka wyglądały na całkowicie zaskoczone.

— Zaręczyłaś się?

— Tak nagle, Loro? Nie miałyśmy pojęcia, że nawiązałaś znajomość z jakimś mężczyzną — rzekła Hilda, równie zdumiona jak jej matka.

— Az kim się zaręczyłaś? — spytała starsza pani zaciekawiona.

— Z Richardem Sundheimem — oznajmiła Lora spokojnie i wyraźnie.

Hilda niemal podskoczyła i spojrzała na Lorę z trudnym do opisu wyrazem oczu.

— Z kim?!

Lora uśmiechnęła się lekko.

— Dobrze usłyszałaś, Hildo: z Richardem Sundheimem.

Hilda zerwała się z miejsca i zaczęła krążyć po pokoju, zupełnie nie panując nad sobą. Nagle zatrzymała się przed Lorą z wściekłym wyrazem twarzy.

— Słuchaj! To dla mnie afront! — rzuciła wzburzona.

Matka spojrzała na nią z troską — Hilda bywała od czasu do czasu okropnie porywcza.

— Skąd ci to przyszło do głowy, Hildo? Zastanów się — powiedziała proszącym tonem.

Hilda zwróciła się do niej ze złością:

— Przestań, mamó! Nie wiesz, o co tu chodzi. Lora zaręczyła się z Richardem Sundheimem, żeby zrobić mi na złość. I korespondowała z nim przez cały czas też tylko mnie na złość.

Lora spojrzała ku stojącej nad nią Hildzie.

— Chyba nie wiesz, co mówisz. Dlaczego tobie na złość? Przecież Richard Sundheim był ci obojętny. Obojętny tak dalece, że rzuciłaś go bez wahania, kiedy stryj go wydziedziczył.

Hildę ogarniała coraz większa złość. Nagle poczuła się oszukana i zdradzona, wmówiwszy sobie, że zrezygnowała z Richarda z największym bólem.

— Obojętny? Uważasz, że był mi obojętny? A cóż ty wiesz o tym, jak strasznie cierpiałam w głębi duszy, jak musiałam walczyć ze sobą. Kochałam go i kocham nadal. Sprzedałam się człowiekowi, który mnie mierzi, bo Richard Sundheim był zbyt biedny, żeby móc utrzymać żonę. A ty przychodzisz teraz do mnie i z fałszywą, świętoszkowatą miną oznajmiasz mi, że się z nim zaręczyłaś. Z jedynym mężczyzną, którego kochałam! Nie zniosę tego, słyszysz, nie zniosę tego!

Hilda z głośnym szlochem rzuciła się na krzesło. Jej matka patrzyła na nią skonsternowana, a Lora była wręcz przerażona tym wybuchem. Wiedziała wprawdzie, że Hilda odgrywa nie tylko przed nią, ale i przed samą sobą komedię, niemniej było jej nieprzyjemnie, że uczestniczy w swego rodzaju scenie zazdrości.

Wstała i podeszła do Hildy. Uznała, że musi zachować się stanowczo i energicznie, aby doprowadzić ją do opamiętania.

— Twoje pretensje to urojenia, Hildo. Richard Sundheim bardzo mało dla ciebie znaczył; może tylko jego powierzchowność podobała ci się bardziej od wyglądu twojego męża. Ale czym jest miłość, nie wiesz. To uczucie jest ci całkowicie obce i niezrozumiałe. Miłość to także zdolność do poświęcenia się dla kochanego człowieka, a ty nigdy nikogo nie kochałaś oprócz siebie. I stale pragnęłaś tylko tego, co akurat było dla ciebie nieosiągalne. Teraz masz bogactwo i splendory, których zawsze byłaś żłakniona, ale już odczuwasz przesyt. Nie, ty nie wiesz, biedactwo, co to jest miłość! Za to ja wiem. Kochałam Richarda już wtedy, kiedy wcale nie zwracał na mnie uwagi, wpatrzony tylko w ciebie. Zamknęłam wtedy tę miłość w sobie i prędzej bym umarła niż się do niej przyznała. Było mi jednak ciężko ze świadomością, że ty nie uczynisz go szczęśliwym. A kiedy tak bez skrępowań go odtrąciłaś, wyznałam mu miłość, nie licząc na nic, jedynie po to, żeby go pocieszyć. Teraz jednak, kiedy jego serce zwróciło się do mnie, nic i nikt, a najmniej ty, nie powstrzyma mnie, żeby się z nim związać.

Hilda opanowała się z trudem. Z jej oczu wyzierała zimna nienawiść.

— Idź sobie! Zejdź mi z oczu, nie chcę cię więcej widzieć! Opuść mój dom i nigdy nie wracaj! Nienawidzę cię! Tak, nienawidzę, bo mi ukradłaś miłość Richarda Sundheima. Idź, nie zniosę dłużej twojego widoku!

— Jak chcesz, Hildo. Mimo wszystkich przykrych słów, jakimi mnie obrzucałaś, jest mi ciebie serdecznie żal. Nigdy nie znajdziesz spokoju i zadowolenia, bo dla ciebie urok ma tylko to, czego nie możesz mieć. Richard Sundheim był ci dotąd obojętny. Dopiero teraz, kiedy wybrał inną, i to na dobitkę mnie, nabrał dla ciebie ceny. Bądź zdrowa, Hildo. Obyś wreszcie nauczyła się cieszyć tym, co przeznaczył ci los. Masz męża i dziecko; uczyn ich szczęśliwymi, a wtedy sama będziesz szczęśliwa.

Hilda zatkała sobie uszy, tupnęła nogą mało salonowym gestem i wściekła wypadła z pokoju.

Lora zwróciła się do macochy:

— Pozwól, że cię pożegnam, mamó. Prawdopodobnie nie zobaczymy się już nigdy więcej.

Pani Darlandowa dotknęła dłoni Lory zimnymi czubkami palców.

— Bądź zdrowa, Loro. Życzę ci, żebyś nie żałowała swego kroku. Hilda jest od czasu urodzenia dziecka nerwowa i stale podniecona, więc nie bierz tego wszystkiego zbyt serio. Wiem, że nie byłaby z Sundheimem szczęśliwa, bo on był zbyt biedny. Ale i twoje życie z nim nie będzie usłane różami. Uważam, że to zwariowany pomysł zaręczać się z takim golcem. Chyba nie masz zamiaru jechać za nim do Afryki Południowo-Zachodniej?

— Ależ tak, mam. Robię to z pełnym przekonaniem i niczego się nie boję. Będziemy ramię w ramię walczyć razem o byt. Jakoś się przebijemy.

— No cóż, życzę szczęścia. Nie mam prawa zatrzymywać cię.

— Chwała Bogu! Zresztą nie dałabym się zatrzymać. Życzę ci wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że uda ci się przemówić Hildzie do rozsądku, zanim wróci jej mąż. Bądź zdrowa!

I tak Lora rozstała się z macochą. Pożegnanie ani z Hildą, ani z jej matką nie było bolesne. Żadna z nich nie była bliska jej sercu. W ten sposób zerwane zostały ostatnie więzy, które wprowadziła luźno, ale dotąd jeszcze łączyły ją z nimi.

Odetchnęła pełną piersią, kiedy znalazła się na dworze. Właściwie to dobrze, że nie ma nikogo, z kim rozstanie byłoby trudne i czyniło pożegnanie z ojczyzną jeszcze cięższym.

XIV

Lora czyniła przygotowania do podróży. Sprawdziła dokładne terminy kursowania statków do Afryki Południowo-Zachodniej i wybrała odpływającą równo za miesiąc „Usambarę”, ponieważ tym statkiem wyruszył przed dwoma laty Richard. Natychmiast zarezerwowała dla siebie kajutę w pierwszej klasie, gdyż jako samotnie podróżująca kobieta wolała nie ryzykować drugiej. Wypowiedziała najem mieszkania i sprzedała te nieliczne meble, które jej jeszcze pozostały. Najchętniej zabrałaby je ze sobą, bo bardzo by się przydały na miejscu, ale transport był zbyt kosztowny.

W okresie tej przedwyjazdowej krzątaniny spędzała wiele czasu w życzliwym domu Heimsów, gdzie z całego serca cieszono się jej szczęściem. Georg Heims omówił i połatwiał zgodnie z jej życzeniem wszelkie kwestie finanso-

we, wyręczając ją w różnych uciążliwych sprawach. Lora zwierzyła się obojemu przyjacielom, że ma zamiar powiedzieć Richardowi o prawdziwym źródle pożyczki dopiero po ślubie.

Ulegała teraz bardzo zmiennym nastrojom: raz była dobrej myśli i pełna optymizmu, to znów ogarniała ją niepewność, jak Richard przyjmie jej śmiałą decyzję. Wiedziała przy tym, że wypatrywany tęsknie telegram może dotrzeć do niej dopiero na krótko przed wyjazdem.

Tygodnie minęły szybko, kiedy nareszcie, na kilka dni przed wyruszeniem w drogę, nadeszła długo wyczekiwana depesza. Lora rozerwała blankiet trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami i przeczytała:

Bardzo szczęśliwy czekam w Walvisbaai. Richard

Lorze spadł kamień z serca i pojaśniały oczy.

Na dwa dni przed wyjazdem musiała jeszcze pójść na policję w sprawie paszportu. Traf chciał, że tuż przed wejściem do budynku policji spostrzegła przejeżdżającego autem Ernsta Frankensteina, który na jej widok wyskoczył z samochodu, podszedł i przywitał się na swój hałaśliwy sposób, mocno ściskając jej dłoń.

— Witaj, Loro! Cieszę się, że jeszcze cię zobaczyłem. Słyszałem od Hildy, że jedziesz do Afryki i że z tego powodu moje panie trochę się z tobą posprzeczały. Widzisz, szwagiereczko, one troszczą się o ciebie, ale wyraziły to, zdaje się, w zbyt zapalczywy sposób. Ty chyba wykażesz więcej rozsądku i przyjedziesz jeszcze pożegnać się z nami?

Lora potrząsnęła głową.

— Nie, Ernst, nigdy nie przestąpię progu waszego domu. Hilda wyprosiła mnie bardzo zdecydowanie i zabroniła kontaktów na przyszłość.

— To nonsens! Ale ty przecież wiesz, Loro, że odkąd mamy dziecko, Hilda łatwo się unosi i denerwuje. Na pewno tak nie myślała i nie chciała źle.

— Zostawmy to już. Będzie lepiej, jeśli więcej nie przyjdę. Pożegnałyśmy się już i to powinno wystarczyć.

— Czy ty rzeczywiście wybierasz się do Afryki Południowo-Zachodniej?

— Tak. Jutro wyjeżdżam.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Loro? Z pewnością potrzebujesz pieniędzy. Widzisz, ja... ja chciałbym jakoś wynagrodzić Richardowi Sundheimowi... jakoś naprawić... gdybym więc mógł trochę ci pomóc... Parę tysięcy marek nie czyni mi różnicy.

Lora spojrzała ze zdumieniem. Nagle błysnęła jej pewna myśl.

— Nie, Ernst, dziękuję ci; nie potrzeba mi pieniędzy. Ale skoro sam zacząłeś o tym mówić, to wiedz, że pieniędzmi nie naprawisz tego, co wyrządziłeś Richardowi. Przecież on został wydziedziczony wyłącznie z twojej winy.

Frankenstein poczerwieniał, ale natychmiast opanował się i odparł szybko:

— Wybacz, Loro, ale jak to z mojej winy?

— Wiesz dobrze jak, i ja też wiem, chociaż dotychczas o tym nie mówiłam. Chciałeś przeszkodzić Richardowi w zdobyciu Hildy i dlatego

czernieś go przed stryjem, żeby go wydziedziczył i uczynił biedakiem.

Frankenstein zmieszał się, ale zarazem był zdumiony.

— Jak na to wpadłaś, Loro?

Spojrzała mu twardo w oczy wiedząc, że tylko przez zaskoczenie może zmusić go do przyznania się.

— Byłam świadkiem twojej rozmowy ze starym panem Sundheimem, kiedy obaj siedzieliście w łoży na balkonie.

— W jaki sposób? Przecież byliśmy tam sami! — stropił się Frankenstein, mimowolnie zdradzając swoją tajemnicę.

— Tak ci się wydawało, ale ja stałam w pobliżu i wszystko widziałam, chociaż sama byłam niewidoczna — stwierdziła Lora zdecydowanym tonem.

— Do licha! I tak długo zachowałam to dla siebie? No więc, skoro już wiesz... było tak, jak mówisz. Ale na miłość boską, nie zdradź mnie przed Hildą.

Lora pomyślała, iż jeśli teraz wyzna, że tylko go podpytała i że Hilda wie o sprawie tyle co ona, ale nie ma mu tego za złe — Frankenstein zyska przewagę,

ona zaś nie osiągnie tego, co przez przypadek, w ostatnich godzinach przed wyjazdem, miała nadzieję osiągnąć.

Powiedziała więc tylko:

— Czy zdajesz sobie sprawę, że zrujnowałeś Richardowi życie?

Frankenstein oddychał z wysiłkiem.

— Dobry Boże, to nie miało być aż tak. Ja tylko wpuściłem staremu komara do głowy, żeby go podjudzić. Powiedziałem, że oni oboje czekają na jego śmierć, żeby się pobrać... no i... że słyszałem, jak Richard Sundheim narzekał na skąpstwo i tyranię stryja. I powiedziałem, że nie można mieć za złe młodemu, jeśli czeka na śmierć bogatego stryjaszka, bo po to są bogaci krewni, żeby po nich dziedziczyć. Stary nie miał pojęcia, że ja go znam; udawałem, że nie wiem, kim on jest. No i on dał się na to złapać, zaraz to zauważyłem. Bóg mi świadkiem, Loro, ja naprawdę myślałem, że oni wkrótce się pogodzą. Chciałem tylko zyskać na czasie, dopóki nie będę pewny Hildy. Dlatego oświadczyłem się jej jeszcze tego samego wieczora. Potem było mi naprawdę przykro, że ten stary okazał się taki nieugięty. Myślę, że on się jednak w końcu opamięta; nie ma przecież innych krewnych poza tym bratankiem.

— Owszem, ma. Jest jeszcze jakiś daleki krewny, któremu wszystko zapisał. Ale Richarda boli przede wszystkim to, że stryj uważa go za niewdzięcznika i że ciągle jeszcze gniewa się na niego.

— O, Boże! Jest mi rzeczywiście bardzo przykro.

— Sądziś, że to coś naprawi?

— Więc co mam zrobić?

— Posłuchaj. Jeśli chcesz, żeby Hilda o niczym się nie dowiedziała, musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem.

— Co masz na myśli, Loro? — spytał Frankenstein niepewnie.

— Pojedź jeszcze dziś do Gorin, zgłoś się do pana Heinricha Sundheima i wypowiadaj się z całej historii. Jeśli chcesz uważać się za człowieka honoru, jest rzeczą oczywistą, że musisz naprawić krzywdę wyrządzoną człowiekowi, który nigdy nie zrobił ci niczego złego! Inaczej Bóg może cię w końcu pokarać i los zemści się na twoim dziecku.

To był najcięższy i ostateczny argument. Frankenstein zbladł.

— Na miły Bóg, ależ ty umiesz kogoś udęczyć, Loro! Tak naprawdę wszystko to zrobiłem tylko dlatego, że bardzo kochałem Hildę. Nie oddałbym jej innemu za żadną cenę. A na wojnie i w miłości wszystkie środki są dozwolone. Postaram się rzecz naprawić, jeśli obiecasz mi, że nigdy nie powiesz Hildzie o naszej rozmowie.

Lora odetchnęła — to mogła śmiało obiecać.

— Daję ci słowo, że jeśli jeszcze dzisiaj pojedziesz do Gorin i opowiesz wszystko, jak było, Hilda nie dowie się ani słowa z tego, o czym tu rozmawialiśmy.

— No, dobrze. Pojadę do Gorin dziś po południu.

Lora podała mu rękę.

— I zrobisz słusznie, Ernst. Dziękuję ci.

— Nie ma za co. Ja sam poczuje się lepiej, kiedy sprawa się wyprostuje. Nieraz już o tym myślałem, ale nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Teraz wydaje mi się to proste. Stary mnie zgromi i zbeszta, ale ja zmilczę i wszystko będzie dobrze. No, na mnie już czas, spieszę się na konferencję. Wszystkiego dobrego! Jesteś cholernie przyzwoitą facetką, Loro. Zawsze o tym wiedziałem.

Lora uśmiechnęła się blado. Właśnie dziś zdarzyło jej się po raz pierwszy w życiu celowo trochę pobujać. Ale o tym Frankenstein nie może się dowiedzieć, bo gotów pożałować swojej obietnicy.

— Nie zatrzymuję cię dłużej, Ernst. Bądź zdrow!

— Bądź zdrowa, Loro! I niech ci się wiedzie. Szczęśliwej podróży!

Po raz pierwszy uścisnęła mu serdecznie rękę.

Frankenstein podszedł do auta, wsiadł i odjechał. Lora skierowała się w stronę wejścia do budynku policji, gdy nagle stanęła jak wryta. Przy wejściu stał starszy pan podpierający się laską. Wpatrzony w Ernsta Frankensteina uczynił ruch, jak gdyby chciał za nim podążyć, a kiedy tamten szybko odjechał, zwrócił spojrzenie na Lorę. Był to Heinrich Sundheim, stryj Richarda.

Starszy pan odczuł po wyjeździe bratanka coś w rodzaju ulgi, że nikt już nie czyha na jego śmierć. Z zadowoleniem kazał sporządzić nowy testament na rzecz żyjącego w Australii Karla Sundheima, umacniając się coraz bardziej i bardziej w gniewie na Richarda. Ale potem poczuł się dziwnie. Kiedy miesiąc upływał za miesiącem bez jakiegokolwiek znaku życia od bratanka, świadomość, że nie ma go w domu, już nie przynosiła mu ulgi. Teraz odczuwał tylko jego brak, co starszego pana irytowało jeszcze bardziej. Przecież to Richard swoim zachowaniem doprowadził do tego, że musiał go wypędzić!

Wiedział, że Richard wyjechał do Afryki Południowo-Zachodniej, i ciągle oczekiwał, że młody człowiek zwróci się do niego o pomoc.

Gdyby mu tej pomocy udzielił, byłby jeszcze bardziej zły, ale drażniło go, że Richard odesłał czek na tysiąc marek i więcej się nie odezwał.

W kilka dni po wypędzeniu Richarda z domu przeczytał w gazecie, że Hilda Hartung zaręczyła się z właścicielem fabryki, Ernstem Frankensteinem. W oczach starszego pana błysnął triumf. Nie mając pojęcia, że ów fabrykant to ten sam człowiek, który siedział z nim wtedy w łoży i tak go nastawił przeciwko Richardowi, nie wyciągał z tych faktów żadnych wniosków. Cieszyło go tylko, że właściwie ocenił Hildę, która widać doszła do wniosku, że czekanie na jego śmierć jest bezcelowe. To był typ zimnej kokietki, zmieniającej adoratorów jak rękawiczki. Prawdopodobnie rozejrzała się szybko za innym bogatym konkurentem, kiedy Richard nie mógł jej już niczego zaofiarować.

Często zastanawiał się, kim był ten pan z łoży, który otworzył mu oczy nie wiedząc, że „bogatym stryjaszkiem” jest właśnie jego rozmówca. Chętnie wybałby go jeszcze dokładniej w tej sprawie, ale nigdy więcej nie spotkał nieznanego, zwłaszcza że sam rzadko bywał między ludźmi.

Starszy pan wyładował teraz całą złość na Friedrichu, nie chcąc słuchać staroślugi, który niezmiennie stawał w obronie Richarda. A potem ciężko zachorował. Miesiącami nie opuszczał łóżka, na koniec spędził cztery miesiące na kuracji nad jeziorem Garda, ale do zdrowia już nie wrócił. Serce sprawiało mu kłopoty, zdziwaczał i zrzędził więcej niż kiedykolwiek, stale ubywało mu sił.

Tego dnia pojechał do miasta w jakiejś spornej kwestii podatkowej, mimo że nie czuł się najlepiej. Kiedy po załatwieniu sprawy schodził po schodach do westybulu, zobaczył nagle przy wejściu owego pana, który na balu w klubie „Zgo-

da" siedział z nim w łoży. Heinrich Sundheim ruszył co tchu, żeby go zatrzymać, ale zanim zszedł, Frankenstein odjechał. Młoda dama, która z nim przed chwilą rozmawiała, patrzyła teraz na starszego pana w niemym zdumieniu. W jej oczach był jakiś dziwny wyraz, który kazał mu podejść do niej.

— Proszę łaskawie mi wybaczyć, ale widziałem panią rozmawiającą z kimś, kogo chciałem zapytać o coś ważnego. Rozmawiałem z tym panem kiedyś, ale nie wiem, jak się nazywa. Czy mogłaby pani podać mi jego nazwisko?

Lora wzięła się w garść, mówiąc sobie w duchu, że to spotkanie to nie przypadek, ale zrządzenie losu, które należy wykorzystać. Może Frankenstein nie spełni swej obietnicy — wtedy dobrze byłoby złapać przynajmniej tę okazję i powiedzieć parę słów w obronie Richarda. Teraz, kiedy Frankenstein przyznał się i kiedy wiedziała już na pewno, że oczernił Richarda, nic nie mogło jej powstrzymać od wystąpienia w jego sprawie.

— Bardzo chętnie, panie Sundheim — powiedziała zdecydowanym tonem. Starszy pan był wyraźnie zaskoczony.

— Pani mnie zna? — zdziwił się.

— Tylko z widzenia. Widziałam pana na ostatnim balu w klubie „Zgoda”, jak siedział pan w łoży i rozmawiał z tym panem, który dopiero co mnie pożegnał.

Heinrich Sundheim gorliwie przytaknął.

— Zgadza się! Właśnie tego wieczoru rozmawiałem z nim pierwszy i ostatni raz o sprawie, która była dla mnie bardzo ważna i w związku z którą chętnie zadałbym mu jeszcze kilka pytań. Ale on tak samo nie wie nic o mnie jak ja o nim.

— Jest pan w błędzie. Tamten pan, a mój szwagier, wiedział dokładnie, z kim rozmawia. On tylko stwarzał pozory, że nie wie, kim pan jest.

Na twarzy starszego pana odmalowało się zdziwienie.

— Jak to? On mnie znał?

— Właśnie! On zresztą ma zamiar złożyć panu dziś po południu wizytę w Gorin. A nazywa się Frankenstein.

Starszy pan był zupełnie skonsternowany.

— Frankenstein? Skądś znam to nazwisko. A czego on chce ode mnie?

— Chce wyznać, że okłamał pana wtedy. On był bardzo zakochany w tej samej młodej damie, którą kochał pański bratanek: w Hildzie Hartung, mojej siostrze przyrodniej. Ja nazywam się Lora Darland.

Otóż żeby uniemożliwić małżeństwo Richarda Sundheima z Hildą, oczernił go przed panem, licząc na to, że w porywie gniewu wydziedziczy pan swego bratanka. Zakładał przy tym, że wkrótce przywróci go pan do łask. Chodziło mu tylko o to, żeby unieszkodliwić rywala i zyskać na czasie, dopóki Hilda nie przyjmie jego oświadczyn. I jego plan powiódł się: zrozpaczony Richard opuścił salę balową, a on jeszcze tego samego wieczoru zaręczył się z Hildą. Podejrzewałam, że to z jego winy wpadł pan w gniew na Richarda, bo widziałam go siedzącego w pańskiej łóżce, ale pewności nie miałam, dlatego nic nie mogłam zrobić. Dopiero dziś, przed chwilą, mój szwagier przyznał się do wszystkiego, potwierdzając moje domysły. Przemówiłam mu do sumienia i nakłoniłam go, żeby pojechał po południu do Gorin i wszystko panu wyznał.

Starszy pan zachwiał się nagle, siły odmówiły mu posłuszeństwa. Lora szybko go podtrzymała. Zaraz też pojawił się służący, stojący dotąd przy drzwiczkach eleganckiego samochodu.

— Proszę mi wybaczyć, że tak pana zaskoczyłam, ale chciałam na wszelki wypadek opowiedzieć panu o tym wszystkim. Istnieje przecież możliwość, że pana Frankensteina opuści odwaga, a Richard Sundheim zaznał tyle złego i od niego, i od mojej siostry, że wolałam sama wyjaśnić sprawę.

Starszy pan wytarł z twarzy kroplisty pot.

— Mój Boże... więc skrzywdziłem Richarda...

— Tak, ale został pan wprowadzony w błąd. Niestety dopiero dziś nabrałam co do tego pewności; inaczej wyjaśniłabym to panu wcześniej.

Starszemu panu zrobiło się słabo.

— Proszę mnie zaprowadzić do samochodu — rzucił gorączkowo służącemu.

Lora podtrzymała go z drugiej strony i pomogła dojść na miejsce, a kiedy znalazł się już w samochodzie, powiedziała z naciskiem:

— Pański bratanek jest całkowicie niewinny. Jest do pana serdecznie przywiązany i bardzo cierpiał nad tym, że utracił pańskie zaufanie.

— Skąd pani wie, że cierpiał z tego powodu?

Lora nie chciała mu zdradzić, że jest z Richardem zaręczona. Starszy pan robił wrażenie człowieka z natury podejrzliwego, który po ochłonięciu mógłby nie dać wiary jej słowom. Powiedziała zatem dyplomatycznie:

— Spotkałam go przed jego wyjazdem do Afryki. Wtedy właśnie mówił o tym, jak mu jest ciężko, że przestał pan mu ufać. Jemu nie chodziło o spadek, bo należy do tych mężczyzn, którzy sami potrafią kształtować swój los, ale nie mógł przeboleć, że żywi pan do niego urazę.

Starszy pan był blady jak płótno.

— Nie mógł przeboleć... a ja go tak potraktowałem... Dziękuję pani, bardzo dziękuję... chciałbym być z panią w kontakcie... Jeśli ten Frankenstein nie pojawi się... w każdym razie proszę się odezwać... teraz już nie mogę... jestem chory i osłabiony... proszę wybaczyć...

Całkowicie wyczerpany osunął się na oparcie samochodu. Lora skinęła głową na pożegnanie i odsunęła się. Służący wsiadł i dał szoferowi znak do odjazdu.

Lora popatrzyła w ślad za oddalającym się samochodem. Wiedziała, że już nigdy więcej nie spotka się z Heinrichem Sundheimem. ale przynajmniej zdołała mu powiedzieć, że Richard w niczym nie zawinił. Zalała ją gorąca, głęboka radość: przywiezie Richardowi wiadomość, że jego stryj już zdaje sobie sprawę z krzywdy, jaką mu wyrządził.

XV

Heinrich Sundheim wypoczął trochę podczas jazdy samochodem do Gorin. W myślach powtarzał sobie nieustannie to, co usłyszał od nieznannej młodej damy. Potrząsając w oszołomieniu głową, mamrotał:

— W takim razie byłem niesprawiedliwy; wypędziłem Richarda, choć na to nie zasłużył.

Nie mógł się z tym uporać i długo trwało, zanim wyjaśnił sobie wszystko do końca.

W Gorin stary Friedrich wyszedł swemu panu naprzeciw i zatroskany spojrzął w jego pobladłą, zmęczoną twarz.

— Jaśnie pan z pewnością zirytował się w urzędzie podatkowym, bo bardzo kiepsko wygląda — powiedział.

Heinrich Sundheim spojrzął przeciągle na starego sługę, który zajmował w jego domu miejsce szczególne i cieszył się zaufaniem.

— Friedrich, to ty miałeś rację, a ja byłem starym osłem! Mój bratanek Richard nie zrobił niczego złego!

I podekscytowany zrelacjonował wszystko, czego się dowiedział, podczas kiedy Friedrich prowadził go do pokoju.

— Zasłabłem ze zwykłego zdenerwowania — powiedział na zakończenie. — Ledwie stałem na nogach i dlatego nie zatrzymałem panny Lory Darland. A przecież z pewnością mogłaby mi jeszcze niejedno opowiedzieć. Czy to nie dziwne, że akurat zobaczyłem tych dwoje stojących pod ratuszem? Ty nie wiesz, co mi ten Frankenstein nałgał pewnego wieczoru na temat Richarda. Teraz muszę pójść do łóżka, bo bardzo marnie się czuję, ale jak się położę, opowiem ci, dlaczego wpadłem wtedy w taką szewską pasję.

Friedrich był równie mocno podniecony jak jego pan, a kiedy pomagał mu ułożyć się do odpoczynku, trochę drżały mu ręce.

— ...Więc rozumiesz, kiedy to usłyszałem, po prostu wyszedłem z siebie. Gdybyś był na moim miejscu, też by cię poniosło. Skąd mogłem wiedzieć, że ten Frankenstein mnie zna i że jest zazdrosny o Richarda? Co za oszust! A ja tak potraktowałem mojego biednego chłopca! Friedrich, czy on naprawdę był do mnie przywiązany?

— Z całą pewnością, jaśnie panie! Gdyby pan widział, jak on wyglądał tamtego wieczoru i na drugi dzień rano! Jaki był przygnębiony! Nie mógł zrozumieć, dlaczego jaśnie pan tak się na niego rozgniewał. Ciągłe powtarzał, że nie czuje

się winny i nie wie, czemu stryj uważa go za niewdzięcznika. Muszę się teraz przyznać jaśnie panu, że przez cały ten czas pisywałem do pana Richarda, bo on bardzo prosił o wiadomości, jak jest z pańskim zdrowiem, choć mu napisałem, że jaśnie pan go rzeczywiście wydziedziczył. Kiedy doniosłem mu o pańskiej chorobie, kładł mi na sercu sprawę troskliwej pielęgnacji. Pisał też w tych listach, że pracuje ciężko, ale już zaczyna wychodzić na swoje, że nie martwi się utratą spadku, męczy go jednak, że stryj tak źle o nim myśli i nie ma do niego zaufania.

Heinrich Sundheim spojrział badawczo na starego Friedricha.

— To znaczy, że on też do ciebie pisywał?

— Tak, jaśnie panie.

— Zachowałeś te listy?

— Oczywiście. Przecież ja kocham pana Richarda jak własnego syna. Pilnuję tych listów jak jakiejś świętości. W ciągu tych dwóch lat otrzymałem ich sześć. Pan Richard ma bardzo dużo pracy, więc czasu na pisanie nie pozostaje wiele.

— A czy pisze o sobie: o swoim zdrowiu, o tym, co porabia, jak sobie daje radę?

— Tak, jaśnie panie. Pisze o wszystkim bardzo dokładnie, bo wie, że się o niego troszczę.

— Czy... jeśli cię poproszę, dasz mi te listy do przeczytania?

— Oczywiście, jaśnie panie. Ani mnie, ani panu Richardowi nie przyniesie ujmy, jeśli je pan przeczyta. Przekona się jaśnie pan, jak jego bratanek kocha go i szanuje, jak wspomina z wdzięcznością, mimo że został przecież odtrącony.

— Przynieś mi te listy, Friedrich, teraz zaraz.

Friedrich przyniósł i starszy pan zabrał się niezwłocznie do lektury. To, co przeczytał, wstrząsnęło do głębi jego starym, zawziętym sercem. Zobaczył, jak dzielnie i odważnie Richard walczył o swój byt — bez oskarżeń czy gniewu pod jego adresem, jedynie z żalem, że stryj uważa go za winnego, on zaś nie wie, o co się go oskarża.

Kiedy skończył czytanie, powiedział matowym ze zmęczenia głosem:

— Zostaw mi jeszcze na trochę te listy, Friedrich; chciałbym jeszcze raz je przeczytać. I przynieś mi coś do jedzenia: trochę esencjonalnej zupy, kawałek kury. Potem zdrzemnę się; jestem śmiertelnie zmęczony.

Zjadł jak zwykle bardzo niewiele, a po posiłku zapowiedział Friedrichowi:

— Dopilnuj, żebym mógł spokojnie przespać się, dopóki nie przyjedzie ten pan Frankenstein.

Friedrich wyszedł z pokoju, a starszy pan przeniósł się natychmiast, myślami bardzo daleko, do Afryki, i tam odszukał Richarda. Dotknął przyniesionych przez Friedricha listów, jak gdyby chciał sprawdzić, czy jeszcze są. Postanowił, że powróci do nich po odpoczynku. W końcu zasnął i spał do chwili, kiedy Friedrich stanął przy łóżku i zameldował, że przyjechał pan Frankenstein i prosi o chwilę rozmowy.

Heinrich Sundheim czuł się teraz znacznie lepiej. Podpierając się laską, ruszył do saloniku. Oczekujący go Frankenstein usiłował pokryć zakłopotanie hałaśliwą jowialnością.

— Proszę mi wybaczyć, że zjawiam się tak niespodziewanie. Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina...

— Tak, znam nawet pańskie nazwisko. Proszę, niech pan spocznie. Ja nie mogę długo stać, a trudno, żebym siadał pierwszy.

— Ależ proszę, proszę!

Frankenstein zajął miejsce i zaczął:

— Od dawna leży mi na sercu pewna sprawa... Przed dwoma laty, kiedy spotkaliśmy się w klubie „Zgoda”, pozwoliłem sobie w stosunku do pana na głupi żart.

Starszy pan spojrzał na niego dziwnie.

— Ach, tak. Uważa pan to tylko za głupi żart?

— No, może było to coś więcej... Znałem pana z widzenia, wiedziałem, że jest pan właścicielem Gorin. Ale muszę zacząć od początku. Otóż ja kochałem pewną młodą damę... Kochałem ją do szaleństwa i byłem gotów na wszystko, żeby ją zdobyć. Miałem jednak groźnego rywala — pańskiego bratanka Richar-

da. Wiedziałem, że mam szansę pokonać go tylko wtedy, jeśli z tych czy innych powodów przestanie być pana spadkobiercą. Należało zatem dopomóc losowi i usunąć rywala z drogi... Przysiadłem się do pana i nakłamałem niestworzonych rzeczy, w które pan uwierzył. Teraz bomba musiała eksplodować lada chwila. I rzeczywiście — wszystko potoczyło się tak, jak przewidywałem, ja zaś jeszcze tego wieczoru zaręczyłem się z kobietą, którą kochałem, a wkrótce potem poślubiłem ją. Żona obdarzyła mnie niedawno wspaniałym synem, moją żywą podobizną. Zostałem najszcześniejszym ojcem na świecie i w tym moim szczęściu całkiem zapomniałem o Richardzie Sundheimie. Wtedy myślałem zresztą, że po pewnym czasie ochłonie pan z gniewu i pojedna się z nim. Ale dziś spotkałem moją szwagierkę, pannę Lorę Darland. Ostatnio jakoś nie przychodziła do nas, bo moja żona zrobiła się bardzo nerwowa po urodzeniu dziecka i panie trochę się posprzeczały. Ucieszyłem się z tego spotkania, gdyż mówiąc między nami, jest to wspaniała dziewczyna, niezwykle prawy człowiek. Ale dziś z miejsca napadła na mnie i powiedziała mi prosto w oczy, że jestem winien wydziedziczenia Richarda Sundheima. Cóż, musiałem jej przyznać rację. Dopiekła mi do żywego i wymogła na mnie obietnicę, że jeszcze dziś pojedę do Gorin i szczerze wyznam się ze wszystkiego.

Frankenstein zamilkł, a starszy pan rzucił mu ostre spojrzenie i spytał:

— Więc gdyby nie to, że szwagierka tak dała się panu we znaki, to nie przyjechałby pan do mnie?

— Szczerze mówiąc — nie. Nie wiedziałem, jak naprawić to, co zrobiłem. To ona wskazała mi właściwą drogę, powiedziała, co powinienem uczynić. I teraz jestem u pana, i przysięgam, że w tym, co panu wtedy naopowiadałem, nie było cienia prawdy. Nigdy z pańskim bratankiem nie rozmawiałem o panu; w ogóle zamieniliśmy ze sobą może z dziesięć słów. Ale, jak to już dziś powiedziałem mojej szwagierce: na wojnie i w miłości wszystkie środki są dozwolone. Ona jednak odparła mi, że jeśli nie naprawię wyrządzonego Richardowi zła, los może mnie pokarać na moim dziecku. Niech Bóg broni, żeby mojego chłopca miało spotkać coś złego! Wyznałem panu wszystko i proszę gorąco o wybaczenie. Wtedy nie widziałem innego sposobu, żeby zatrzymać przy sobie Hildę.

Frankenstein zaczerpnął tchu i chusteczką otarł pot z czoła, patrząc na swego rozmówcę jak uczeń, który musiał przyznać się do jakiegoś wybryku.

Heinrich Sundheim niemal tonął w głębokim fotelu. Wychudzoną dłonią ujął laskę tak, jakby chciał zamierzyć się nią na Frankensteina, i spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

— I sądzi pan, że zło zostanie tym samym naprawione?

— No, jeśli sprowadzi pan bratanka do Gorin i przywróci mu dawne prawa, wszystko będzie w porządku.

— Tak pan myśli? A te stracone dwa lata, kiedy on żył na obczyźnie, a ja tutaj, samotny jak palec, pozbawiony pociechy na starość?

Heinrich Sundheim mówiąc to całkiem zapomniał o uczuciu ulgi, której doznał po pozbyciu się uciążliwego dziedzica.

Ile dla niego znaczył Richard, przekonał się dopiero później, kiedy go już nie było.

— Jest mi bardzo przykro z tego powodu. Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Ale naprawdę wszystko może się jeszcze ułożyć.

Starszy pan ciężko westchnął i przesunął ręką po pomarszczonym czole.

— Nie ma sensu dłużej nad tym debatować. Stało się i nie odstanie, a w końcu... i ja nie jestem bez winy. Powinienem bardziej ufać swemu bratankowi niż obcemu człowiekowi, który mówił o nim wyłącznie źle. Dobrze więc, wybaczam panu, ze względu na pańską wspaniałą szwagierkę. A teraz muszę pana pożegnać, bo czuję się bardzo kiepsko. Przebyte zapalenie płuc ciągle jeszcze daje o sobie znać.

Frankenstein podniósł się z uczuciem niebywalej ulgi.

— Bardzo panu dziękuję.

— Mówiłem już: ze względu na pańską szwagierkę. Ta młoda dama sprawia niezwykle korzystne wrażenie.

Ernst Frankenstein już chciał wyjaśnić, że Lora jest zaręczona z Richardem Sundheimem, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa. Ten starszy pan był nieobliczalny, a Frankenstein nie chciałby za nic w świecie zaszkodzić Lorze; Richardowi też zresztą nie. Przełknął więc wiadomość i powiedział szybko:

— Lora? O, tak! To niezwykła dziewczyna, godna najwyższego szacunku.

— Niech pan pozdrowi ją ode mnie i powie, że jestem jej bardzo wdzięczny za namówienie pana do przyjazdu tutaj. Byłbym rad, mogąc ją kiedyś znowu spotkać.

— Przekażę jej pańskie słowa. Zdaję sobie sprawę, że potraktował mnie pan oględnie tylko ze względu na Lorę. Niemniej Bóg jeden wie, jak mi ulżyło. Mam znowu czyste sumienie.

Po odjeździe Frankensteina starszy pan podniósł się i wolno wrócił do swego pokoju, gdzie oczekiwał go Friedrich.

— Wszystko się zgadza, stary. Dałem się strasznie oszukać, a Richard niczemu nie jest winien. Pan Frankenstein nie przyznałby się zresztą do kłamstwa, gdyby nie panna Darland. W gruncie rzeczy wszystkiemu jest winna ta Hilda Hartung, obecna pani Frankenstein. Nie mogłem jej znieść od pierwszej chwili. Dlaczego Richard nie zakochał się w jej przyrodniej siostrze, która jest taka uroczą! Mężczyźni zawsze wpadają z takimi kokietkami jak pani Frankenstein. Jej mąż jeszcze będzie miał za swoje! Jutro z rana poślę po notariusza i uczynię Richarda znowu swoim spadkobiercą. Nie chcę z tym zwlekać, bo czuję się bardzo źle. Jutro rano napiszę też do Richarda i wezwę go do powrotu. Miejmy nadzieję, że doczekam tego dnia.

Położył się na otomanie i, zwyczajem starych ludzi, rozprawiał jeszcze przez dłuższą chwilę, a nazwisko Lory powtarzało się wielokrotnie, dzięki czemu Friedrich dobrze je sobie wbił w pamięć.

— To jej Richard zawdzięcza, że znowu będzie moim spadkobiercą. Możesz mi wierzyć, Friedrich, że z własnego impulsu Frankenstein nigdy by tu nie przyjechał. A jakie ona ma piękne oczy! Człowiekowi robi się ciepło koło serca, jak w nie popatrzy. Szkoda, że się tak fatalnie czułem, chętnie bym z nią dłużej porozmawiał.

W końcu pozwolił staremu służącemu odejść. Friedrich miał teraz czas, żeby napisać do Richarda wyczerpujący list, w którym powtórzył wiernie, słowo w słowo, co mu dziś jaśnie pan powiedział — również wszystko, co dotyczyło panny Lory Darland. List ten Friedrich wysłał natychmiast, bo Richard powinien jak najszybciej dowiedzieć się, że stryj przywrócił go do łask i majątku.

Ernst Frankenstein też napisał list — w czasie drogi powrotnej do domu, na kartce wyrwanej z notatnika.

Droga Loro! Byłem w Gorin i wyznałem moje przewinienia. Jestem głęboko przekonany, że wszystko znów będzie dobrze. Mam przekazać Ci pozdrowienia od starego pana Sundheima. Powiedział on również, że chętnie poznałby Cię bliżej. Zrobiłaś na nim bardzo korzystne wrażenie, w czym zresztą ma rację. Nie powiedziałem mu ani słowa o tym, że jesteś zaręczona z Richardem. Wołałem nie wrywać się z tą wiadomością, bo nie sposób było przewidzieć, jak by ją przyjął. Wierzę jednak, że pewnego dnia powita Cię i przyjmie bardzo serdecznie.

Jeszcze raz życzę Ci szczęśliwej drogi i w ogóle szczęścia.. Postaraj się, proszę, wyjednać dla mnie przebaczenie u Richarda Sundheima — Tobie z pewnością nie odmówi. Dotrzymaj słowa i nie zdradź Hildzie nic z tego, o czym dzisiaj rozmawialiśmy. Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie.

Twój szwagier Ernst Frankenstein

Włożył kartkę do koperty i wysłał z nią szofera, gdyż żona wymogła na nim, że nie będzie odwiedzał Lory.

Odjeżdżającą na trzeci dzień Lorę żegnali na dworcu jedynie Heimsowie. Pociąg ruszył i Lora opadła na wyściełane siedzenie z westchnieniem ulgi, gdyż niemal do ostatniego momentu obawiała się, że nagle wydarzy się coś, co ją zatrzyma.

Pierwszą stacją, na której pociąg miał krótki postój, był Gorin. Lora z ciekawością wyglądała przez okno, nie wiedząc jednak, po której stronie leżą dobra rodowe Sundheimów. Do przedziału wsiadło dwóch mężczyzn, najwyraźniej okolicznych ziemian. Panowie znali się widać dobrze, bo z miejsca zaczęli rozmawiać o celu i powodach podjętej podróży, a także o sprawach politycznych. Lora usiadła z powrotem w swoim kącie i zajęła się książką, ale w pewnej chwili z zapartym tchem zaczęła przysłuchiwać się rozmowie, która przeszła na miejscowe tematy.

— Czy słyszał pan, panie Ludolfie, że stary Sundheim zmarł wczorajszej nocy?

Zagadnięty skinął głową.

— Słyszałem. Podobno zmarł we śnie na atak serca. Kamerdyner znalazł go rano martwego w łóżku. Po tym ciężkim zapaleniu płuc, które przeszedł, serce było niewydolne.

— Też to słyszałem. Wyjazd do Włoch niewiele mu pomógł; płuca może i podleczył, ale serce nie wytrzymało.

— On nigdy nie był okazem zdrowia. Może dlatego trzymał się zawsze na uboczu.

— Był trochę dziwakiem i mizantropem. Jego bratanek Richard nie miał z nim łatwego życia. Pewnie wróci teraz do dworu, żeby objąć spadek. Dla takiego tłustego kaska opłacało się znosić złe humory.

— No to jestem, jak się okazuje, lepiej poinformowany. Spotkałem notariusza, który załatwiał różne sprawy staremu Sundheimowi, i dowiedziałem się, że Richard został wydziedziczony, a spadkobiercą miał zostać jakiś daleki krewny żyjący w Australii, bo między stryjem a bratankiem doszło do jakichś nieporozumień. Jednak ostatnio konflikt podobno załagodził się. W każdym razie notariusz miał zostać wezwany do stawienia się wczoraj rano w Gorin. Stary służący Sundheima jest strasznie wzburzony i przysięga, że jego pan miał szczerzy zamiar sporządzić nowy testament na korzyść swego bratanka Richarda, ponieważ przekonał się, że go skrzywdził. Ale zanim anulował poprzedni testament, a sporządził nowy, zaskoczyła go śmierć. Ten stary służący jest zrozpaczony. Tak czy owak panem na Gorin zostanie teraz ten Australijczyk, a biedny Richard odejdzie z kwitkiem.

— Szkoda, bo był miłym chłopakiem.

— Hm, podobno od czasu zerwania ze starym siedzi gdzieś w Afryce Południowo-Zachodniej. Ma, biedaczysko, pecha. Gdyby stary pociągnął jeszcze parę dni, byłby znów panem na Gorin.

— Rzeczywiście, straszny pech! Ale to twardy facet; i tak da sobie radę.

— Miejmy nadzieję. A teraz z innej beczki: co pan sądzi o nowej konferencji genewskiej?

Obaj panowie przeszli do spraw wielkiej polityki. Przez cały czas, kiedy mówili o Gorin, Lora siedziała spięta, łowiąc każde słowo z palącą ciekawością. Teraz ponownie wcisnęła się w swój kąć przy oknie. A więc stary pan Sundheim

zmarł! A stało się to w niewiele godzin po ich przypadkowym spotkaniu w mieście i po jego rozmowie z Frankensteinem. Pragnął spisać swoją ostatnią wolę na rzecz Richarda. Jak to dobrze, że nie odszedł z tego świata, żywiąc w sercu urazę do bratanka. Dla Richarda ta okoliczność będzie z pewnością najważniejsza.

„Czyż nie jestem pechowcem?” — pytał w ostatnim liście. Przypominając to sobie, Lora nie mogła powstrzymać uśmiechu. Rzeczywiście, jak pech, to pech. Ale to nic, wszystko w życiu można jeszcze osiągnąć. Grunt nie poddawać się, a szczęście któregoś dnia znowu się uśmiechnie. Na przekór złym mocom — wytrwać! Odwagi, mój kochany! Będziemy walczyć razem i pokonamy trudności. Na pewno się nam poszczęści! — myślała z ufnością.

Przez chwilę jeszcze jej uwagę zaprzętały zasłyszane nowiny. Czy Friedrich zawiadomi Richarda o śmierci stryja? Jeśli nie zadesperuje, Richard dowie się o wszystkim dopiero od niej. Jak dobrze, że będzie mogła powiedzieć mu również o tym, że stryj przed śmiercią zmienił zdanie, uznał, że się mylił.

Lora przyjechała do Hamburga o właściwym czasie. Pozostało go jej akurat tyle, żeby punktualnie stawić się na pokładzie „Usambary”, z czego była rada, gdyż nie musiała brać hotelu.

Podróż statkiem przebiegała pomyślnie, pogoda przez cały czas dopisywała. Mniej spokojnie działało się natomiast w duszy Lory. Im bliżej była celu, tym większy ogarniał ją niepokój. To, co przedsięwzięła, było jednak ryzykowne. Depesza Richarda trochę wprawdzie rozproszyła, jej obawy, ale wiele między nimi pozostało jeszcze do wyjaśnienia. Chwilami odwaga opuszczała ją całkowicie. Była teraz tylko niepewną, kochającą kobietą, pełną obaw i niepokoju, czekającą na spotkanie z obiektem swych uczuć. Trochę bała się również całkowicie odmiennych warunków. Czy będzie dla Richarda dobrą, pomocną towarzyszką życia? Nie miała przecież pojęcia o gospodarce na farmie, żadnego przygotowania w tym kierunku — niczego poza dobrymi chęciami, żeby do wszystkiego nagiąć się i przystosować, nauczyć się wszystkiego, czego nie umiała.

Chwilami zaś, pod wpływem zgoła odmiennego nastroju, wyrzucała wszystkie czarne myśli za burtę i poddawała się uczuciu gorącego, młodzieńczego szczęścia, że Richard ją kocha, że za nią tęskni i jej pragnie. A to przecież było najważniejsze. Reszta się jakoś ułoży. Musi się ułożyć.

Kapitan roztoczył nad Lorą opiekę na czas trwania podróży i zapoznał ją z innymi pasażerami, ale ona nie nawiązała z nikim bliższego kontaktu. Zawsze należała do natur powściągliwych, trzymających się na dystans, co w warunkach życia na statku uwydatniało się szczególnie. Zostawiano ją zresztą w spokoju z uwagi na noszoną przez nią żałobę.

Dopiero ostatniego dnia podróży zrezygnowała z czarnej sukni, przekonana, że byłoby to zgodne z życzeniem ojca. Przybywała do kraju, w którym nikt poza Richardem nie znał ani jej, ani jej ojca, nie chciała więc, co zrozumiałe, występować w czerni przy pierwszym spotkaniu.

Ostatnie godziny przed osiągnięciem celu podróży były dla niej szczególnie męczące. Walizki spakowała już znacznie wcześniej i była całkowicie przygotowana do opuszczenia statku. W blasku słońca afrykański brzeg zarysował się w oddali jasną, jak gdyby utworzoną z chmur linią. Odtąd tam będzie jej ojczyzna. Czy znajdzie na nowym miejscu szczęście? A czy musi go szukać? Czy nie nosi go w sobie jak coś niezniszczalnego? Richard kocha ją i tęskni do niej — i to stanowi o jej szczęściu; niczego więcej nie potrzebuje, żeby być szczęśliwą.

Statek wziął ostry kurs w stronę wybrzeża. Łąd stawał się coraz bliższy. Gołym okiem można już było dostrzec nabrzeże portowe Walvisbaai, budynki, a w końcu — sylwetki ludzi przy pracy i czekających na zawinięcie „Usambary”.

Do Lory podszedł kapitan.

— Nasza podróż dobiega końca, panno Darland. Mam nadzieję, że pani narzeczony jest już na miejscu. Najlepiej będzie, jeśli zatrzyma się pani na pokładzie i poczeka, aż tłum trochę się przerzedzi. Pan Sundheim z pewnością wejdzie na statek, żeby tu panią powitać.

Lora wzięła głęboki oddech. Gdyby kapitan wiedział, z jaką obawą i niepewnością oczekiwała zawinięcia do portu, nie nazywałby jej tak często w czasie podróży dzielną i odważną osobką.

— Posłucham pańskiej rady, panie kapitanie. A przy okazji chciałabym serdecznie podziękować panu za troskliwość i opiekę.

— Nie ma za co, spełniłem tylko swój obowiązek. Z wielką przyjemnością zresztą. Życzę pani wiele szczęścia. Oby Afryka Południowo-Zachodnia stała się dla pani szczęśliwym nowym domem.

— Dziękuję za życzenia, panie kapitanie.

— Chciałbym się teraz z panią pożegnać, bo potem, jak przybijemy, nie będę miał na to czasu. Powodzenia, panno Darland! A jeśli za parę lat zechce pani odwiedzić Niemcy, to mam nadzieję, że na pokładzie „Usambary” i ze mną jako jej kapitanem.

— Oby Bóg pozwolił. Niech pan pozostaje w zdrowiu, panie kapitanie. Jeszcze raz serdeczne dzięki i pomyślnych wiatrów!

Uścisnęli sobie dłonie, a potem Lora stanęła przy relingu i zaczęła wpatrywać się płonącymi oczami w nabrzeże, za którym widać było jakieś budynki z dachami pokrytymi falistą blachą.

Z sercem tłukącym się niespokojnie w piersiach patrzyła teraz na zbity tłum oczekujących. Czy jest wśród nich Richard?

XIV

Richard szalał z radości po otrzymaniu depeszy, w której Lora zapowiadała, że i tak przyjedzie oraz że prześle w liście dobrą wiadomość. W tym była cała Lora — dzielna, odważna, nie lękająca się trudów i przeciwności. Richard zaczął czynić przygotowania na jej przyjazd.

Kiedy za jakiś czas nadszedł zapowiadany list, w którym Lora donosiła, że Georg Heims przekazuje do jego dyspozycji piętnaście tysięcy marek na tych samych dogodnych warunkach, Richardowi zwilgotniały oczy. Kochana, troskliwa Lora, pomyślała o wszystkim! Miał więc znowu pieniądze, mógł dokupić bydła, którego tak potrzebował, a także urządzić trochę dom, żeby Lora dobrze się w nim poczuła. Należało również zabrać się do budowy murowanego nabrzeża na rzece, które powinno być gotowe przed nadejściem kolejnej pory deszczowej. A więc do dzieła! Richard dwoił się i troił przy naprawianiu szkód. Swoich ludzi, nie mających teraz wiele pracy przy tak ograniczonej liczbie bydła, zapędził do kopania jeszcze jednego wielkiego zbiornika na wodę, chcąc uniknąć w okresie suszy kłopotów z wodą dla stada. Mądry farmer po szkodzie! Richard wyciągnął z ostatnich klęsk właściwe wnioski. Chciałby tylko mieć dziesięć razy

więcej sił, żeby jak najszybciej doprowadzić gospodarstwo do poprzedniego stanu.

Następnej niedzieli, już po uporaniu się z zakupem bydła, wsiadł na motocykl i pojechał do Martensów. Musiał przecież opowiedzieć przyjaciołom o swoim szczęściu. Jego relacja spotkała się z najserdeczniejszym zainteresowaniem. Pani Lena chciała, żeby opowiedział jej o wszystkim szczegółowo, a potem wyciągnęła notes i zapisywała gorliwie, co Richard musi koniecznie uporządkować, a co kupić, żeby dom stał się nieco bardziej wygodny.

Martensowie mieli już za sobą dni pełne kłopotów i trosk związanych z ostatnimi klęskami, ponieśli również duże straty, ale powoli zaczynali o nich zapominać. Teraz cieszyli się szczęściem Richarda, a pani Lena tak żywiołowo traktowała sprawę urządzenia domu, że obaj panowie śmiali się do rozpuku z jej zapału. Obstawała zatem przy ładnych firankach, dwóch emaliowanych na biało łóżkach, umywalce, matach kokosowych, kilku wyplatanych meblach do pokojów i meblach wiklinowych na werandę. Domagała się również nowego urządzenia spiżarni i wielu innych rzeczy. Lista potrzeb była długa, ale kiedy w podsumowaniu kosztorysu wyszło jej tylko sto marek, zażądała jeszcze kilku metrów materiału na pokrycia i zasłonę do toaletki przyszłej pani domu.

— Przecież w domu nie ma żadnej toaletki — zaprotestował Richard ze śmiechem.

Pani Lena bez słowa zaprowadziła go do swej sypialni i pokazała zgrabną toaletkę, po czym uniosła udrapowaną ładnie zasłonkę. Zdumionym oczom Richarda ukazała się duża skrzynia bez przedniej ściany. Wewnątrz stały ustawione rzędami pantofle i buty.

— Jaką taką skrzynię znajdzie pan chyba w Ovambie, prawda?

Richard kiwnął głową.

— Tak, mam ich nawet większą ilość.

— No to dobrze! Widzi pan więc, co można zrobić ze zwykłej skrzyni, paru metrów materiału i kilku kokard. Zrobię taką samą toaletkę dla pani Lory, jak przyjadę do Ovamby, żeby wszystko przygotować na jej przyjęcie. Dom będzie wyglądał wspaniale, zobaczy pan!

Richard zwierzył się również, że ma zamiar wziąć z Lorą ślub zaraz po jej przyjeździe, w Swakopmund, lecz pani Lena energicznie się temu sprzeciwiła.

— Stanowczo protestuję! Przecież my chcemy przy tym być. Niech pan przywiezie narzeczoną do Keetmanshoop, gdzie będziemy was oczekiwać. Chcę być na weselu i nie mam zamiaru pozbawiać się tej przyjemności!

Richard też nie chciał jej tego pozbawiać.

— Dobrze, pani Leno! Moja narzeczona z pewnością również będzie za tym. Urządzimy wesele w Keetmanshoop.

— Świetnie! Pożyczymy wam potem samochód. Nasz czarny szofer odwiezie was do Ovamby, a my zaczekamy w Keetmanshoop, dopóki nie wróci.

— Mimo protestów Heinza muszę jednak stwierdzić, że jest pani aniołem, pani Leno.

Richard odjechał późnym popołudniem do domu z długą listą sprawunków i całą masą dobrych rad. Trzymając się ściśle wskazówek pani Leny, zamówił wszystko, co wynotowała, i zabrał się do roboty. Zaopatrzony w wielki kubeł zielonej farby olejnej i pędzle pomalował wraz z kilkorgiem pomocników werandę i okiennice. A potem zaczęło się generalne szorowanie, od którego jego ludziom brakowało tchu w piersiach — teraz widzieli już na pewno, że wkrótce przyjedzie młoda pani domu.

Czas minął bardzo szybko, choć ciągle jeszcze za wolno, jak na niecierpliwość Richarda.

Tymczasem nadeszły wszystkie zamówione rzeczy. Na krótko przed datą przyjazdu Lory pojawiła się wczesnym rankiem pani Lena i zaczęła od nowa przewracać dom do góry nogami. Richard został z tego po prostu wyłączony. Wolno mu było przebywać tylko w jego pokoiku, do którego mógł wchodzić wyłącznie przez okno i tą samą drogą z niego wychodzić, ponieważ pani Lena chciała mu zrobić niespodziankę, kiedy wszystko będzie już gotowe. Posiadał się zatem na werandzie i cierpliwie czekał. W samym środku tych przygotowań nadszedł telegram od Friedricha:

Jaśnie pan zmarł tej nocy. Pańska niewinność udowodniona. Niestety testament nie zmieniony. List w drodze. Friedrich.

Richardowi zrobiło się gorąco z wrażenia. Stryj Heinrich nie żyje! W miejscu dawnej urazy pojawiło się wzruszenie — przecież mimo wszystko kochał go i był mu winien wdzięczność. Ale co Friedrich miał na myśli, pisząc o udowodnieniu niewinności Richarda? W jaki sposób prawda ujrzała światło dzienne? To, że stryj nie zmienił swego testamentu, nie zdziwiło go. Dawno już zresztą pogodził się z tym, że został wydziedziczony. Przyszło mu jednak na myśl, że jakieś dwadzieścia-trzydzieści tysięcy marek bardzo by mu ułatwiło życie. Chodziło mu tylko o Lorę. Dla stryja byłaby to drobnostka, a kuzyn z Australii też by nie zbiedniał... Ale nie należy żałować spraw nieodwracalnych. Tak będzie i tak musi być, a głowę należy trzymać wysoko. Niemniej Richard oczekiwał w napięciu na zapowiedziany przez Friedricha list. Sprawy te jednak blakły i schodziły na dalszy plan, kiedy myślał o Lorze.

Pani Lena uporała się wreszcie z przygotowaniami i z dumą oprowadzała Richarda po pokojach. Jego radosny podziw wynagrodził jej wszelkie trudy. To, co zdołała wyczarować, graniczyło w jego oczach z cudem. Dom wyraźnie się ucywilizował. W przyływie gorącej radości objął panią Lenę i zaczął z nią wywijać w kółko ku uciechu przyglądających się temu tubylców, którzy zaraz poszli w jego ślady i rozpoczęli tany.

Richard przepędził ich ze śmiechem.

— Pani Leno, jest pani istną czarodziejką! Teraz wygląda tu nareszcie po ludzku. Lora z pewnością będzie się tu dobrze czuła — powiedział rozpromieniony.

Najpiękniej prezentowały się sypialnia i jadalnia. W sypialni stały dwa białe łóżka z pikowanymi kołdrami w barwne kwiaty i śnieżnobiałą, lnianą pościelą. W oknach wisiały białe muślinowe firanki przewiązane kolorowymi wstążkami. Po bokach łóżek stały dwie duże szafy — na ubrania i na bieliznę. Była także ładna umywalka i — o, dziwo! — toaletka: zbudowana ze skrzyni niewidocznej pod wzorzystym, lekkim materiałem, ze stojącym na górze lustrem w białych ramach. Całość sprawiała niezwykle miłe wrażenie.

W jadalni na świeżo odnowionym kredensie — który Richard zastał już, wprowadzając się do domu — pyszniły się różne piękne szkła, ustawione na tacce z serwetką własnej roboty pani Leny. W kredensie znajdowały się naczynia porcelanowe i serwis do kawy. Wokół okrągłego stołu, nakrytego kolorową serwetką, stały cztery krzesła. Na podłodze leżały czerwone maty. I tutaj wisiały w

oknach ładne firanki z etaminy, ozdobione koronką. Nad stołem wisiała lampa, a przy oknie urządzono przytulny kącik śniadaniowy z niewielkim stolikiem i dwoma bambusowymi krzeselkami. Wszystko wyglądało tak miło i ładnie, że Richard w niemej podzięce co jakiś czas całował panią Lenę w rękę. Ona zaś przyjmowała to ze śmiechem, gdyż podobne gesty nie były przyjęte na afrykańskich farmach.

Wszystko było więc w największym porządku i tylko czekało na przybycie pani domu. Richardowi surowo nakazano, żeby do chwili przyjazdu Lory przebywał wyłącznie w swoim dotychczasowym pokoiku i żeby nie robił bałaganu. Lena musztrowała służbę, przyuczając ją do różnych obowiązków, a na koniec zamknęła dobrze zaopatrzoną spiżarnię i wręczyła Richardowi klucz — zapasów nie wolno było ruszyć, dopóki nie zadecyduje o tym pani domu. Na półkach stały konserwy i przetwory. Mleko, jajka, masło, sery i warzywa pochodziły z własnego gospodarstwa i było ich pod dostatkiem.

Zadowolona z siebie Lena mogła nareszcie spokojnie wrócić do siebie.

Richard z lżejszym już znacznie sercem wybrał się do Walvisbaai na dzień przed przybyciem „Usambary”. Zanocował w hotelu, na następną : noc zamówił także pokój dla Lory. Statek miał bowiem zawinąć w ciągu dnia, więc podróż do Keetmanshoop można było kontynuować dopiero na drugi dzień.

Wstał wcześniej rano i przede wszystkim udał się do fryzjera, żeby pozbyć się znamion „dzikusa”. Golił się wprawdzie codziennie, ale włosy były stanowczo za długie i wymagały ostrzyżenia. Czas, który pozostawał mu do przybycia „Usambary”, spędził na załatwianiu różnych interesów — swoich i Heinza Martensa.

W końcu jednak nadszedł moment, kiedy można już było udać się do portu. Richard stał na nabrzeżu bardzo zdenerwowany i czekał — czekał — czekał. Minuty wlokły się jak wieczność. Oczy mu gorzały, a mięśnie twarzy drgały w hamowanym wzburzeniu, choć poza tym stał spokojnie. Ubrany w krótkie spodnie, beżową koszulę i przewiewną marynarkę, wyglądał zdrowo i energicznie. Kapelusz zsunął z czoła, gdyż zrobiło mu się zbyt gorąco.

„Usambara” nareszcie wpłynęła do portu, ale minął dłuższy czas, zanim przycumowała do nabrzeża. Richard wyteżał wzrok, wpatrując się w twarze stłoczonych przy relingu pasażerów, którzy już zaczęli przepychać się w kierunku

wyjścia, ale nigdzie nie dostrzegł Lory. Przeleciał spojrzeniem pokład — i nagle serce mu ustało. Zobaczył stojącą na uboczu smukłą kobiecą postać. I zanim rozpoznały ją oczy, serce podpowiedziało, że to ona. Ruszył szybko wzdłuż burty statku aż do miejsca, gdzie stała samotna kobieta. Teraz już wiedział na pewno. Głośny okrzyk wzbił się radośnie w górę:

— Lora!

Drgnęła i oderwała oczy od tłumu czekających. Spojrzała w dół, na mężczyznę, który tak samo jak ona stał z dala od ludzkiej cizby i wyciągał do niej ramiona. W oczach Lory rozblęły łzy. Najchętniej sfrunęłaby z pokładu prosto w jego objęcia. Impulsywnie powtórzyła jego gest z wyciągnięciem ramion. Spojrzenie Richarda zagarniało ją jak fala. Stali przez chwilę w głębokim wzruszeniu, wiedząc o sobie jedno na pewno: oto twoje przeznaczenie, twój los!

Trzeba jednak było poczekać, aż pasażerowie wysiądą. I ta niewielka zwłoka, kiedy patrząc na siebie, nie mogli pokonać dzielącej ich przestrzeni, wydała im się dłuższa niż minione dwa lata rozłąki.

W końcu droga była wolna. Richard wbiegł na trap i w chwilę potem stanął przed Lorą, otwierając ramiona.

— Kochana!

W tym jednym słowie zawarła się jego cała przeogromna radość. Objął Lorę tak mocno, że zabrakło jej tchu, a potem utonęli w sobie spojrzeniem.

Tak, to była ta sama dziewczyna o nieśmiałym, a zarazem odważnym wyrazie oczu — nieopisanie ciepłym, świadczącym o mocnym i głębokim uczuciu.

— Lora, kochanie moje!

Ich usta spotkały się w pocałunku aż bolesnym w swym oddaniu; pocałunku będącym spełnieniem długiej tęsknoty, najwyższego upojenia szczęściem.

— Loro!

Powtórzył raz jeszcze jej imię — cicho, spokojnie, z wewnętrznym wzruszeniem — i spojrzał w śliczne oczy dziewczyny.

— Richard, kochany mój!

I znowu ich usta połączyły się w pocałunku, a potem Richard odsunął ją troszeczkę od siebie, łapiąc oddech.

— Nareszcie cię mam, nareszcie jesteś tu. Te ostatnie tygodnie były okropne; nie mogłem już znieść tęsknoty za tobą.

— A ja musiałam najpierw znaleźć się tutaj, żeby bez reszty uwierzyć w to, że mnie kochasz.

— Ale teraz już wierzysz?

Wsparała czoło na jego ramieniu — z jej piersi wyrwał się krótki szloch.

— Tak, teraz wierzę.

— Jesteś taka piękna, Loro! Gdzie ja wtedy miałem oczy? Jesteś zbyt urocza i o wiele za piękna jak na żonę biednego, prostego farmera.

— Ale to ty nim jesteś! — odparła z rozjaśnioną twarzą.

Przyciągnął ją znowu do siebie i pocałował. Na pokładzie nie było już nikogo — nikt im nie przeszkadzał, nikt na nich nie patrzył. Nic nie zakłócało ich pierwszych chwil spotkania, pierwszego upojenia szczęściem. Richard oprzytomniał wreszcie.

— Chodź, Loro! Chyba nie masz zamiaru zostać na pokładzie?

Roześmiała się cicho.

— Och, będę szczęśliwa, kiedy znów poczuję twarde gruntu pod stopami.

— Czy morze było niespokojne?

— Nie, ale podróż trwała zbyt długo jak na moją tęsknotę.

— Oby ci się tylko spodobało tutaj, przyszła farmerko! — zaśmiał się uszczęśliwiony.

— Tam, gdzie ty jesteś, tam będzie mój raj. Zapamiętaj to sobie i niczym się nie martw.

— Masz rację, martwienie się byłoby czymś wręcz obraźliwym w tej sytuacji. Moje dzielne stworzonko!

Do głosu doszły w końcu realia: trzeba było załatwić formalności przyjazdowe, a także odebrać bagaż.

— Nadamy walizki od razu na dworzec kolejowy. Czy masz przy sobie najpotrzebniejsze rzeczy, żeby móc zanoćować w hotelu? Jeśli nadamy bagaż jeszcze dziś na kolej do Keetmanshoop, będzie na miejscu, kiedy tam zajdziemy.

Lora wskazała na niewielki neseser.

— Tam jest wszystko, czego mogę potrzebować, Richardzie.

— Dobrze, kochanie! Musimy dziś zanoćować w Walvisbaai, a rano pojedziemy dalej. Nasz ślub odbędzie się w Keetmanshoop, bo pani Lena Martens chce koniecznie być przy tym obecna i ma zamiar urządzić nam wesele. Nie chciałem jej tego odmawiać. Wiesz, ona bardzo dużo dla nas zrobiła. Przygotowała dom na twoje przyjęcie, żeby ci było, w miarę wygodnie. Czy zgadzasz się na ten projekt, Loro?

— Zgadzam się na wszystko, co postanowiłeś.

Po nadaniu bagażu na kolej pojechali do hotelu. Tuż przed wejściem minęła ich na ulicy jakaś dama. Richard spojrział i zawołał:

— Dzień dobry pani!

Pani Lind zatrzymała się i podała mu rękę.

— Ach, pan Sundheim! Jak się pan miewa?

— Wspaniale! Właśnie przyjechała moja narzeczona; przybyła na „Usambarze”, a pojutrze odbędzie się nasz ślub w Keetmanshoop.

Pani Lind obrzuciła Lorę uważnym spojrzeniem, po czym żywym gestem podała jej rękę.

— Serdecznie witam u nas i życzę szczęścia wam obojgu. Szkoda, że nie mogę być na waszym ślubie, ale obecnie nigdzie nie mogę się ruszyć.

— Jak stoją pani sprawy?

Pani Lind westchnęła.

— Złożono mi kolejną obietnicę, że najdalej za pół roku sprawa będzie załatwiona. Prawdziwa szkoła cierpliwości. Moja jest już zresztą na wyczerpaniu.

Ale jeśli w ciągu ośmiu miesięcy rzecz się sfinalizuje, moje dzieci mogą przyjeżdżać.

— Życzę z całego serca, żeby osiągnęła pani wreszcie spokój.

— Wszystko w mocy Boga. No, ale dość już o mnie. Czy znajdziecie dziś państwo godzinę czasu dla mnie? Chciałabym poznać trochę bliżej pańską narzeczoną. Czy może mi pani zdradzić swoje imię?

— Nazywam się Lora Darland.

— Lora? To brzmi prosto i miło, i dobrze pasuje do żony farmera, cieszę się, że panią spotkałam. Pani narzeczoną i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

— Wierno tym. Pani nazwisko jest mi dobrze znane. Mój narzeczoną wiele mi pisał o pani. Wiem, że zawdzięcza pani wiele cennych rad.

— Pięknie! A więc wiemy już o sobie nawzajem. A teraz proszę mi powiedzieć, o której moglibyśmy się spotkać?

Umówiono się co do miejsca i godziny, i pani Lind poszła dalej, pożegnawszy się na swój powściągliwy, a mimo to serdeczny sposób. Lora popatrzyła za nią.

— Bardzo interesująca pani, Richardzie.

— Niewiele jest takich jak ona. Ma dużo ciężkich przeżyć za sobą, a prawdopodobnie i przed sobą. Ale nie da się pokonać.

Lora uśmiechnęła się.

— Może też trzyma się twojej dewizy: Na przekór złym mocom — wytrwać!

Richard wziął ją pod rękę.

— Ach, kochanie! Żebyś wiedziała, co to za szczęście iść tak blisko obok ciebie.

Weszli do hotelu i Lora zaraz podążyła do swego pokoju, żeby odświeżyć się trochę. Richard patrzył za nią, jak idzie schodami na górę. Było mu przyjemnie, że jest taka elegancka i wytworna, ale jednocześnie targnął nim niepokój: czy taka elegancka, wytworna dama pasuje do Ovamby? Co to będzie?

Tę wątpliwość przedłożył Lorze niebawem, kiedy zasiedli do posiłku.

— Jestem całkowicie na to przygotowana, Richardzie, że jako farmerka odłożę elegancję na bok. Ale farmerka w Afryce Południowo-Zachodniej również może sprawiać miłe wrażenie, sądząc po pani Lind.

— Nie będziesz jednak mogła kupować takich toalet, jakie nosisz i do jakich przywykłaś. Takie suknie, jeśli w ogóle można je tu dostać, są piekielnie drogie.

Lora roześmiała się na widok jego strapionej miny.

— Och, mój drogi! Nie chcę, żebyś się zamartwiał, więc ci wyznam, że wszystkie moje suknie pochodzą z mojego własnego atelier. Uszyłam sama również to wszystko, co nosiła Hilda, dopóki nie wyszła za mąż.

— Naprawdę? Masz takie zręczne ręce? — spytał zdumiony. — To rzeczywiście trochę mnie uspokaja. Nie wiedziałem, że masz takie talenty.

— Mam nadzieję, że odkryjesz we mnie jeszcze inne talenty. Obawiam się tylko jednego, Richardzie...

Ujął jej dłoń i spojrzał z czułością w oczy.

— Czego się obawiasz, kochanie?

— Że nie będę zbyt pomocna w gospodarowaniu na farmie. Z gotowaniem i prowadzeniem domu radzę sobie dobrze, ale o gospodarce hodowlanej nie mam pojęcia. Będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość.

— Ależ Loro, o czym ty mówisz! Od tego przecież jestem ja. A gotować też nie musisz; mam bardzo sprawnego kucharza. Ty będziesz tylko dbać o porządek w domu i zarządzać ludźmi. Wpierw jednak musisz nauczyć się postępować z nimi, co czasem bywa trudne. Ale będę ci w tym pomagał, a pani Lena poradzi ci od czasu do czasu. Tylko bez obaw, Loro. Jestem przekonany, że wszystkiemu podołasz.

— W każdym razie mam najlepszą wolę nauczania się wszystkiego, co trzeba. A teraz chciałabym przejść do spraw poważniejszych. Czy otrzymałeś już jakąś wiadomość od tego starego służącego twojego stryja?

— Tylko depeszę z wiadomością o jego śmierci i o tym, że udowodniona została moja niewinność. Myślę, że zapowiedziany w depeszy list nadszedł razem z „Usambarą” i wkrótce dotrze do mnie do domu. Jestem jednak bardzo ciekaw, w jaki sposób prawda o tym, że nie ponoszę tu żadnej winy, ujrzała światło dzienne, a także co takiego przeskrobałem, że popadłem w niełaskę.

Lora spojrzała na niego z miłością.

— Mogę ci to wyjaśnić, ale musisz pogodzić się z tym, że stryj nie unieważnił tego testamentu, w którym cię wydziedziczył, chociaż miał na pewno taki zamiar. Przeszkodziła mu w tym zamiarze nagła śmierć.

Richard spojrzał zdumiony.

— Znasz bliższe szczegóły, Loro?

— Tak, Richardzie. Rozmawiałam osobiście z twoim stryjem; nie poinformowałam go tylko, jak jest między nami.

Lora opowiedziała teraz szczegółowo o swoich podejrzeniach w stosunku do Frankensteina, zrelacjonowała w sposób możliwie oględny wybuch Hildy na wieść o ich zaręczynach oraz rozmowę z Frankensteinem, spotkanym przypadkowo na dwa dni przed wyjazdem.

— Wykorzystałam tę ostatnią szansę jakby w przypiływie natchnienia. Wydarłam z niego przyznanie się do winy, choć musiałam trochę koloryzować, żeby osiągnąć cel.

Z kolei Lora opowiedziała, jak przymusiła Frankensteina do tego, żeby pojechał do Gorin i odwołał swoje kłamstwa, jak nagle natknęła się na stryja Heinricha i o czym z nim rozmawiała. Pokazała też Richardowi kartkę przesłaną przez Frankensteina. Richard słuchał z uwagą, a potem przeczytał kartkę i twarz mu się zasepiła.

— Co za łajdak! — rzucił wzburzony.

Lora złapała go za rękę.

— Richardzie, proszę cię, zapomnij o tym, co Frankenstein ci wyrządził. I uwierz mi, że nie byłbyś z Hildą szczęśliwy.

Richard przycisnął jej dłoń do serca.

— Co tam Hilda! Dawno o niej zapomniałem, ale to, że przedstawił mnie stryjowi jako niewdzięcznika i kłamcę, dopiekło mi do żywego.

— Rozumiem to i wiem, ile ci złego wyrządził. Ale, tego już nie można zmienić. On spróbował wprawdzie coś naprawić, ale zabrał się do tego zbyt późno.

— Wiem, że nic już nie można zmienić. Zresztą pogodziłem się z utratą praw spadkowych, a w ostatecznym rachunku jestem Frankensteinowi wdzięczny za to, że znalazłem ciebie. I dlatego mu przebaczam. Gdybym przynajmniej usłyszał od stryja jakieś dobre słowo na ostatek.

— Może Friedrich będzie mógł przekazać ci coś pocieszającego. A teraz posłuchaj, czego dowiedziałam się przez przypadek w czasie jazdy pociągiem do Hamburga.

Richard słuchał, gładząc jej rękę, a na koniec powiedział:

— W każdym razie zawdzięczam ci to, że stryj zmarł w przeświadczeniu, iż nie zasłużyłem na jego gniew. To dla mnie duża pociecha. Nie żałuję tak bardzo tego spadku, bo dla mężczyzny najcenniejsza jest świadomość, że umie sam radzić sobie w życiu. A tego cudownego uczucia nigdy bym nie zaznał, gdybym pozostał w Gorin. Ze względu na . ciebie wolałbym co prawda odziedziczyć choć parę tysięcy marek, bo wtedy mógłbym zapewnić ci więcej wygód.

Lora spojrzała z filuterną miną, jakiej jeszcze u niej nie widział.

— O wygodach będziemy myśleć na starość. Teraz mam ochotę stanąć przy tobie do wyteżonej walki o byt. Chcę udowodnić sama sobie, że mogę być prawdziwą farmerką.

Richard przytulił policzek do jej dłoni.

— Tak, kochanie, masz rację. Damy sobie radę. Na przekór złym. mocom! Z tobą uda mi się wszystkiego dokonać. Czuję, że razem z twoim przybyciem wróciło do mnie szczęście. O, Boże! Że też muszę siedzieć tak przy tobie sztywno i oficjalnie, a nie wolno mi ani razu cię pocałować! Wierz lub nie wierz, ale tutaj, w Afryce, też się plotkuje,, i to jak! Pani Lind będzie mogła niejedno opowiedzieć ci na ten temat, jak się dziś spotkamy. Musimy więc zachowywać się godnie i przyzwoicie.

— To nie powinno przecież nastęczać nam trudności, Richardzie — przekomarzała się z nim Lora.

Richarda zachwycił jej przekorny uśmieszek.

— Loro, jesteś kobietą przewrotną! Nabieram jeszcze większej ochoty na to, żeby cię pocałować. Najchętniej wyrzuciłbym wszystkich ludzi z tej jadalni i został z tobą sam na sam.

Lora zarumieniła się, ale potem wybuchnęła śmiechem, widząc jego wojowniczą minę.

— Rzeczywiście zrobił się z ciebie dzikus.

— Jest z tym gorzej niż myślisz, Loro. Tylko ze względu na ciebie przedzierzgnąłem się dziś w cywilizowanego człowieka. Na przykład nie strzygę włosów całymi tygodniami, a moje ręce zapominają, że na świecie istnieje coś takiego jak manikiur.

Roześmieli się, a potem znów opowiadali sobie i opowiadali bez końca, dopóki nie nadeszła pora spotkania z panią Lind, która już była na umówionym miejscu i czekała na nich. W trakcie ożywionej pogawędki pani Lind udzieliła Lorze naprędce wielu dobrych rad, a przed pożegnaniem podała jej także swój adres.

— Jeśli nie będzie mogła pani poradzić sobie z czymś, proszę spokojnie zwrócić się do mnie. Jestem przyzwyczajona do tego, że połowa Afryki Południowo-Zachodniej zasięga u mnie porad.

— Jest pani bardzo dobra, ale ja chciałabym sama się we wszystkim połapać i nie nadużywać pani uprzejmości. Nigdy jednak nie zapomnę, jak życzliwie mnie pani przyjęła.

— Brawo! Drogi panie Sundheim, pańska narzeczona będzie prawdziwą farmerką. Ma po temu wszelkie dane, a ja mam dobre oko. A teraz zostańcie z Bogiem, moi drodzy! Wszystkiego dobrego w waszym związku! Jeszcze się zobaczymy. Afryka Południowo-Zachodnia to taka większa wioska, gdzie wszyscy ciągle się spotykają. I niech pan pozdrowi Heinza Martensa i jego młodą żonę.

Pożegnanie było bardzo serdeczne, a pani Lind zupełnie oczarowała Lorę. Przyszła farmerka wbijała sobie w pamięć wszystkie jej rady, a niektóre nawet

zanimowała, żeby nie zapomnieć. Richard śmiał się z jej gorliwości, ale zarazem był wzruszony.

TLR

XVII

Nazajutrz narzeczeni wyruszyli bardzo wcześnie w drogę. Na dworcu kolejowym w Keetmanshoop powitali ich Martensowie. Lora z miejsca polubiła panią Lenę, a Heinz zrobił na niej bardzo sympatyczne wrażenie; Lena zaś była wręcz oczarowana Lorą.

Para narzeczonych przenocowała w pomieszczeniach klubowych, a na drugi dzień Richard udał się zaraz do urzędu w celu przedłożenia papierów Lory. Zamiar zawarcia związku małżeńskiego zgłosił już dużo wcześniej, przed wyjazdem do Walvisbaai, więc od tej strony wszystko było w porządku. Zresztą nigdy nie robiono tu wielu korowodów, bo niekiedy jakąś parę trzeba było bardzo szybko połączyć.

Lena zaaranżowała miłe, nastrojowe przyjęcie weselne z udziałem wielu okolicznych farmerów. Lora poczuła żywą sympatię do tych dzielnych, prostych ludzi, których twarde życie oduczyło wszelkich zdawkowych i wymuszonych form zachowania. Między Leną i Lorą zadzierzgnęła się już teraz nie przyjaźni, z gatunku tych, co to trwają przez całe życie. Dopiero późnym popołudniem młoda para zdołała wyrwać się gościom. Auto Martensów stało gotowe do drogi. Lora i Richard, obsypani życzeniami, wsiedli i ruszyli do Ovamby. Teraz należeli już na zawsze do siebie, odtąd mieli razem przeżywać radość i cierpienie, dzielić biedę i dostatek.

W Ovambie Richard wyniósł Lorę z auta i przeniósł przez próg domu.

— Niech Bóg pobłogosławi twoje wejście pod ten dach, ukochana żono — powiedział gorąco.

— Oby Bóg pozwolił mi wnieść pod ten dach jedynie szczęście, ukochany mężu.

Richard oprowadzał Lorę po całym domu, obserwując ją z niepokojem. Ale ona rozglądała się po wszystkich pomieszczeniach roześmiana i szczęśliwa.

— Och, Richardzie! Naopowiadałeś mi niestworzonych rzeczy tylko po to chyba, żeby mnie przestraszyć. Przecież to jest piękny, wygodny dom.

Richard odetchnął z ulgą.

— To jednak głównie zasługa dobrej wróżki, czyli pani Leny; nie zapomnij o tym. Ale naprawdę podoba ci się mój skromny dom?

Lora przytuliła się do Richarda. Z jej oczu popłynęły strugi łez.

— Kochany mój, nareszcie znalazłam swoje miejsce na ziemi: w twoim sercu i w twoim domu. To więcej szczęścia niż człowiek może w sobie pomieścić.

Objął ją mocno i zaczął całować. Samochód odjechał i wokół zapanowały cisza i spokój. Służba spała już w swoich położonych nie opodal chatach. Tak jak Richard sobie życzył, nikogo nie było widać ani słyszać.

Byli sami, całkowicie odizolowani od świata. Przytuleni mocno do siebie — serce przy sercu, usta przy ustach. I świat wokół tych dwojga szczęśliwych utonął i znikł.

Kiedy rano Lora i Richard wyszli na werandę, Ovamba pławiła się w jasnych promieniach słońca. Wokół, jak okiem sięgnąć, był step. Richard sygnałem srebrnego gwizdka — którym, gromadził pracowników rolnych jeszcze w Gorin — zawołał służbę i przedstawił im nową „missis”, nakazując przy tej okazji wykonywanie na przyszłość jej poleceń. Lora powiedziała po angielsku kilka przyjaznych słów i obdarowała kobiety sznurkami szklanych paciorków, a mężczyzn — kolorowymi chusteczkami (wszystko to Richard zakupił przewidująco w domu towarowym w Walvisbaai). Te skromne prezenty wzbudziły, ku zdumieniu Lory, ogromny entuzjazm. Tak więc nowa „missis” została od razu dobrze przyjęta.

Młoda para dopiero teraz zasiadła do śniadania. Lora obsługiwała Richarda jak przystało młodej gospodyni i promieniała zadowoleniem, bo wszystko jej się bardzo podobało.

Po śniadaniu Richard zaprowadził ją najpierw nad rzekę, gdzie trwała praca przy budowie nabrzeżnego muru, a potem poszli przejść się po terenie osady.

— Musisz przecież zobaczyć, co hoduję. To są raczej żmudne, pracochłonne próby, ale niektóre uprawy udały mi się nad podziw dobrze. Posadziłem nawet trochę kwiatów dla ciebie.

Spojrzała na niego ciepło.

— Jesteś taki dobry, Richardzie.

Objął mocnym uściskiem jej ramiona.

— Najchętniej wykrzyczałbym swoje szczęście aż pod niebo. Jesteś ze mną, Loro. I jesteś moją żoną! To brzmi wręcz cudownie. A ty... jesteś szczęśliwa?

Spojrzała na niego wymownie i Richard już znał odpowiedź.

— Czy Ovamba podoba ci się?

— Tu jest przepięknie. Nie przypuszczałam, że jest taka duża. Nawet ta osada, która do ciebie należy, stanowi całkiem sporą posiadłość, a Ovamba byłaby na nasze stosunki w kraju wielkim majątkiem ziemskim.

Richard roześmiał się.

— Owszem, kochanie. Jeśli chodzi o rozległość, to mogę porównywać Ovambę z Gorin, ale Ovamba nie jest nawet w dziesiątej części tak dochodowa. Tutaj nie można niczego budować, ziemia daje tylko trawę na stepie. Dlatego inwestować można jedynie w hodowlę bydła. To, co z takim trudem uprawiam na terenie osady, to tylko poletka doświadczalne na całkowicie jałowym gruncie, nastawione wyłącznie na domowy użytek. Ale najważniejsze, że nie jesteś zbyt rozczarowana.

— Wręcz przeciwnie! Tutaj jest o wiele piękniej niż w ciasnym miejskim mieszkaniu, w którym musiałabym wegetować.

— Ale naokoło jest pustkowie.

— Przecież mam ciebie.

Na taką odpowiedź Richard nie wytrzymał: musiał objąć i ucałować żonę.

W takim błogostanie pozostawali przez następne dni; codzienność ledwie do nich docierała. Bardzo powoli oswajali się z otaczającą ich rzeczywistością, ale w końcu Lora zabrała się do działania i to tak gorliwie, że Richard musiał ją hamować.

Po paru dniach nadeszły od Friedricha dwa listy jednocześnie. Pierwszy został napisany bezpośrednio po bytności Frankensteina w Gorin. Friedrich zrelacjonował wiernie wszystko to, co się tego dnia wydarzyło, a także poświęcił wiele miejsca pannie Lorze Darland.

Richard przeczytał list i podał go żonie.

— Przeczytaj i ty, czarodziejko. Udało ci się podbić nawet skostniałe serce mego stryja.

Podczas kiedy Lora zaczęła czytać, Richard zabrał się do lektury drugiego listu, napisanego w dzień później. Friedrich opisywał, jak znalazł rano starego pana Sundheima martwego; rozwodził się nad tym, że stryj nie zdołał niestety sporządzić nowego testamentu, w związku z czym „Australijczyk” stał się jedynym spadkobiercą całego majątku.

Ten Australijczyk ma powód do radości, ale mnie boli dusza, że to nie Pan odziedziczy Gorin, Panie Richardzie. I tak jak ja jestem pewien stanu swego umysłu, tak Pan może być pewien intencji i ostatej, najostatniejszej woli Pańskiego stryja. Całkiem wyraźnie powiedział mi wieczorem, kiedy mu pomagałem położyć się do łóżka: „Friedrich, napisałem do notariusza list, żeby przyjechał jutro do Gorin. Niech szofer pojedzie po niego do miasta wcześniej rano. Chcę anulować ten głupi testament, który kazałem sporządzić w chwili gniewu. Moim spadkobiercą ma być mój bratanek Richard i nikt więcej”. Ale panowie z sądu i pan notariusz powiedzieli, że ważne jest tylko to, co napisano czarno na białym. Gdyby jaśnie pan żył choćby o jeden dzień dłużej, to Pan odziedziczyłby po nim Gorin i resztę majątku. Byłem uradowany, że jaśnie pan zrozumiał swoją omyłkę, i w duchu widziałem już Pana tutaj. A teraz wszystko skończone! Jestem z tego powodu bardzo nieszczęśliwy, mój drogi, bardzo drogi Panie Richardzie. Moim zdaniem stała się wielka niesprawiedliwość, że odejdzie Pan teraz z pustymi rękami.

Mnie jaśnie pan zapisał dziesięć tysięcy marek. Zgodnie z jego wolą mogę pozostać do końca życia w Gorin, gdzie mam zapewnione utrzymanie. Dlatego jeszcze raz proszę, Panie Richardzie, żeby zechciał Pan przyjąć ode mnie przynajmniej te dziesięć tysięcy. Mnie one nie cieszą, kiedy pomyślę, jak ciężko musi się Pan borykać. Proszę więc napisać mi, czy przyjmie Pan te pieniądze. Notariusz napisał już do Australii, bo nie wiadomo przecież dokładnie, gdzie ten pan Karl Sundhein obecnie przebywa. Ale się ucieszy! Jak przyjedzie, to z pewnością powiem mu, że w gruncie rzeczy nie jest właściwym spadkobiercą. W ogóle nie mogę sypiać z powodu tej sprawy. Ma Pan niesamowitego pecha, Panie Richardzie!

Richarda głęboko wzruszyła propozycja Friedricha, chociaż oczywiście nigdy by nie przyjął owych dziesięciu tysięcy marek, które stryj zapisał staremu słudze. Podsunął Lorze również ten list, a kiedy przeczytała, przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym Richard powiedział z westchnieniem:

— Friedrich ma rację: w tej sprawie miałem wyjątkowego pecha. Można rzeczywiście wpaść w rozpacz. Nawet taka suma, jaką stryj zapisał Friedrichowi, byłaby dla mnie wielką pomocą. O tym, że odziedziczyłbym Gorin, gdyby stryj żył o bodaj dzień dłużej, nie chcę nawet myśleć. Pojechalibyśmy razem do kraju i zostałabyś panią na Gorin.

— Wiem, Richardzie, że pragnąłbyś tego głównie ze względu na mnie. Ale daję ci słowo, że jako pani na Gorin nie byłabym ani trochę szczęśliwa niż jestem teraz, jako pani na Ovambie.

Richard wziął ją w objęcia.

— Jak bardzo różnisz się od innych kobiet! Każda na twoim miejscu zapłakałaby się z powodu utraty spadku. Ale gdybym odziedziczył choć parę tysięcy marek, mógłbym uczynić twoje życie trochę przyjemniejszym.

Lora uznała, że teraz wybiła godzina, kiedy powinna wyznać mężowi całą prawdę o pochodzeniu zaciąganych przez niego pożyczek. Richard wziął ją na kolana, ona zaś objęła go za szyję.

— Czy bardzo byś się cieszył, Richardzie, gdybyś mógł już teraz całkowicie spłacić swój dług?

Roześmiał się niepewnie.

— Tak, przede wszystkim ze względu na ciebie. Mógłbym wtedy pomyśleć o kupnie jakiegoś małego auta, żebyś mogła robić wypadki tu czy tam. Teraz jesteś właściwie odcięta od świata, chyba że wpadną do nas Martensowie albo zabiorą cię gdzieś swoim samochodem.

— Ile kosztuje samochód?

Pocałował ją, zszedł z kolan i łagodnie usadowił na fotelu.

— Najmniej sześć tysięcy marek, jeśli chcielibyśmy kupić dobrą maszynę.

— Więc kup takie auto, Richardzie! — powiedziała z przekornym uśmiechem.

Zadarł jej bródkę do góry i spojrzał na wpół rozbawiony, na wpół strapiony.

— Złotko, ja niestety nie mam na to pieniędzy!

— Ale ja mam!

Popatrzył na nią zbity z tropu.

— Ty? Ależ kochanie, nie możesz mieć przecież takiej sumy.

— A jednak tak, Richardzie! Mam dziesięć tysięcy, a nawet trochę więcej.

Pokiwał smutno głową i wziął ją za rękę, badając puls.

— Na miłość boską, nie jesteś chyba chora?

Lora roześmiała się, ale zaraz spoważniała i ujęła oburącz jego dłoń.

— Nie ma rady. Będę musiała coś ci wyznać. Ale obiecaj, że nie pogniewasz się na mnie...

— Ja? Na ciebie? Nie potrafię; zbyt mocno cię kocham. Więc co to za straszliwe wyznanie?

Spojrzenie ślicznych oczu przenikło jego serce do głębi.

— Richardzie, te pieniądze... te trzydzieści tysięcy marek pożyczki... pochodziły ode mnie. Georg Heims był tylko pośrednikiem. Wiedziałam, że ode mnie nie przyjmiesz ich w żadnym wypadku, więc poprosiłam go, żeby wystąpił w roli pożyczkodawcy.

Richard pobladł i cofnął się o kilka kroków. Spojrzała na niego z obawą i wyciągnęła błagalnym gestem rękę. Richard odwrócił się i stanął w otwartych drzwiach werandy. Nie powiedział ani słowa, ale widać było, jak bardzo jest wzburzony.

— Richardzie! — powiedziała prosząco.

— No, wiesz! — rzucił przed siebie obezwładniony i pokonany.

Przytuliła się do niego.

— Nie gniewaj się na mnie...

Pocałował z nabożeństwem jej pochyloną głowinę.

— Po prostu brak mi słów, Loro. Coś takiego nawet przez myśl mi nie przeszło. Jesteś istnym skarbem, a ja przeszedłem kiedyś obok ciebie jak ślepiec! Powiedz mi jednak, kochanie, skąd masz te pieniądze? Wiem przecież, że twój ojciec stracił wszystko, co posiadał.

Lora spojrzała wilgotnymi jeszcze oczami i lekko zadrżała, a potem opowiedziała o swoim spadku.

— Boże! Dostała mi się żona wspaniała, ofiarna i... straszliwie nierozsądna... lokująca wszystkie swoje pieniądze w beznadziejne przedsięwzięcie. Kochanie, co ja mam teraz z tobą zrobić? — spytał, patrząc jej w oczy z głębokim wzruszeniem.

Nie odpowiedziała, tylko podała mu usta do pocałunku, a Richard zaczął ją całować z takim zapamiętaniem, że obojgu zabrakło tchu. W końcu jednak powiedział, z trudem dochodząc do siebie:

— Obym mógł wynagrodzić ci to wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Jak się okazuje, poślubiłem kobietę zamożną, nic o tym nie wiedząc i na nic nie licząc.

— Tak, Richardzie! Jestem bardzo zamożna — zażartowała Lora, ale dalej ciągnęła już poważnie: — W każdym razie przynajmniej pozbyłeś się długów, a samochód możesz kupić zaraz. Mam dokładnie jedenaście tysięcy trzysta dziesięć marek. To, co pozostanie po kupnie auta, złożymy do banku na szczęście i będziemy dodawać do tego wszystko, co zarobisz. A pewnego dnia — zaśmiała się — staniemy się niespodziewanie bogatymi ludźmi.

Richard niemal udusił ją pocałunkami.

— I to słodkie, kochane stworzenie jest moje! To jasne, że w innych sprawach nawet trzeba być pechowcem, bo inaczej za wiele szczęścia spadłoby na jednego człowieka. O, Boże! Zyskać taką żonę i jednocześnie pozbyć się długów. Kochanie, to za wiele na jeden raz. To tak, jakby ubić jeden dobry interes za drugim.

Samochód został kupiony, a pierwsza jazda odbyła się na trasie prowadzącej do farmy Martensów. Pani Lena zdziwiła się niemało, kiedy z ładnego auta za-jeżdżającego przed dom wysiedli Lora i Richard. Zaraz też przywołała męża, który właśnie zajęty był pracą w oborze.

Richard opowiedział z młodzieńczą werwą, jak bardzo „korzystnie” ożenił się, chociaż o czekających go profitach nie miał pojęcia.

— Poza autem kupiliśmy jeszcze mnóstwo innych rzeczy: bieliznę pościelową, kilka brakujących mebli, naczynia, jakieś niezbędne drobiazgi. Mamy teraz bardzo zasobne gospodarstwo domowe i żyjemy wręcz wykwintnie. Musicie koniecznie przyjechać do nas w niedzielę i zobaczyć wszystko na własne oczy. A nabrzeże jest prawie gotowe. Deszcz może padać, ile chce; mnie już o to głowa nie będzie bolała.

Lora przywiozła w prezencie piękną jasną suknię — na wzór tej, którą Martensowie kiedyś na niej podziwiali. Pani Lena z niepewną miną, ale oczami iskrzącymi się od radości oglądała wspaniały dar.

— Nie, nie mogę tego przyjąć. Suknia jest prześliczna, ale nie uchodzi, że- bym przyjmowała takie prezenty.

— Nie pozwala mi pani na wyrażenie wdzięczności choćby w formie nie- wielkiej przysługi, a sama włożyła pani tak wiele pracy w mój dom! Chyba nie zechce mi pani zrobić przykrości odmową?

Lena była szczerze uradowana.

— O, Boże! Jak tu odmawiać, kiedy suknia jest prześliczna! Jest pani mi- strzynią, pani Loro! Nie mogę wyjść z podziwu, że umie pani tak pięknie szyć, do czego ja nie mam najmniejszych zdolności.

— Za to ja zawdzięczam pani prześliczną toaletkę. W jakiś sposób chciałam się za nią odwdziaczyć, a że moja suknia podobała się pani, postanowiłam zrobić pani przyjemność i uszyć podobną.

— Więc naprawdę mogę ją przyjąć?

— Oczywiście! Myślę, że będzie na panią w sam raz, bo mamy prawie takie same figury. Niech pani zaraz przymierzy.

Lena ustąpiła. Włożyła suknię i tak się sobą w niej zachwyciła, że z radości rzuciła się Lorze na szyję.

— Tak się cieszę, że pani tu jest! Chciałabym mieć w pani prawdziwą przyjaciółkę, zwłaszcza że nasi mężowie są tak bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni.

Lora chętnie na to przystała i przyjacielski związek został przypieczętowany serdecznym całusem. Obie młode pary małżeńskie spędziły ze sobą bardzo przyjemnie jeszcze wiele godzin. Sundheimowie dopiero pod wieczór pojechali do domu swoim nowym autem, z którego byli niezmiernie dumni.

Lora zżyła się z nowym otoczeniem szybciej, niż mogła przypuszczać. Pracy miała dużo, wiele spraw było dla niej całkowicie obcych, jednak przy dobrej woli człowiek inteligentny poradzi sobie ze wszystkim. Kłopotów i trudów nie brakowało, ale Lora i Richard pracowali ręka w rękę, a ich głęboka, mocna miłość była źródłem wciąż nowych sił. Mimo trosk i przeciwności wiedzieli, że jest to najszcześniejszy okres ich życia.

W niedziele spotykali się z Martensami — u nich lub u siebie na zmianę. Czasami umawiali się w klubie w Keetmanshoop, gdzie spotykano się w szerszym gronie, a od czasu do czasu urządzano potańcówki.

Minęło już pół roku od chwili przybycia Lory do Afryki, a każdy dzień wypełniony był szczęściem.

Hodowla jagniąt prosperowała coraz lepiej. Richard odnosił sukcesy, które warte były jego wysiłku. Tak jak przedtem wysyłał swoje produkty żywnościowe na Diamentowe Wybrzeże, a skóry jagnięce do Europy, gdzie przerabiano je na „perskie futra” rozchwytywane przez eleganckie panie. Z kilku szczególnie pięknych skór kazał uszyć futro dla Lory i był niesłychanie dumny i szczęśliwy, że może ofiarować swej ślicznej żonie tak drogocenne okrycie.

Boże Narodzenie spędzili razem z Martensami oraz z rodzicami Leny. Było bardzo nastrojowo i wtedy nagle nadszedł ten moment, kiedy opanowało ich dziwne wzruszenie. Boże Narodzenie na obczyźnie jest zawsze ogromnym przeżyciem; uczucie rozrzewnienia sprawia, że oczy zachodzą łzami, a usta intonujące kolędę drżą. Jednak surowe warunki życia czynią farmera człowiekiem twardym, który stara się opanować wzruszenie i pokryć je demonstracyjną wesołością. Wszyscy ci ludzie skrywają jednak w głębi serca jedno życzenie: powrócić

któregoś dnia do kraju. Czasem o tym mówią, a czasem to przemilczają, ale tęsknota za stronami rodzinnymi w nich żyje.

Na Boże Narodzenie zjechał do Ovamby jeszcze jeden gość: pani Elly Lind, która zapragnęła spędzić święta w gronie przyjaciół. Uzyskawszy u swych angielskich chlebodawców trzy dni urlopu, zawiadomiła Martensów i Sundheimów, którzy przyjęli ją z niekłamana radością. W wigilijny wieczór, kiedy wszystkich zebranych ogarnął już całkowicie świąteczny nastrój, pani Lind wyszła z domu na werandę, żeby spokojnie wypłakać tęsknotę za dziećmi. Wróciła z zaczerwienionymi oczami dopiero wtedy, kiedy całkowicie się uspokoiła. Lora i Lena objęły ją serdecznie.

— Niech się pani nie martwi. Dzieci wrócą niedługo, a jeśli ciągle jeszcze nie będzie pani miała dla nich dachu nad głową, przywiezie je pani do nas. Chętnie je przyjmujemy. Będzie pani przyjeżdżać tu do nich, dopóki się pani nie urządzi na własnym — powiedziała Lora, która już przedtem omówiła całą sprawę z mężem.

Z oczu pani Lind puściły się znowu łzy, ale po chwili dzielna niewiasta oparowała się i rzekła:

— Wszyscy powinni uczyć się od afrykańskich farmerów tej wspaniałomyślnej gościnności. Gdzie indziej trudno spotkać coś takiego. Dziękuję wam, kochani. Być może będę zmuszona skorzystać z waszej propozycji, jeśli moja sprawa nie zostanie w najbliższym czasie rozstrzygnięta. Najgorsze jest to, że wszystkie lepsze farmy znajdują już wkrótce nabywców, a ja nie będę miała żadnego wyboru. Teraz jednak przynajmniej podano mi dokładny termin: mają mi wypłacić odszkodowanie pierwszego kwietnia. Na Wielkanoc mój najmłodszy syn kończy szkołę, więc najwyższy czas zakrzętnąć się wokół jakiegoś domu dla dzieci. Jeśli więc okaże się to konieczne, trzymam panią za słowo, pani Loro. Obarczę panią na pewien czas opieką nad moją gromadką. Będą pani pomagać w gospodarstwie, co wyjdzie im tylko na dobre, gdyż zawczasu nauczą się czegoś.

Od Bożego Narodzenia minęło kilka miesięcy. Richard i Lora siedzieli któregoś dnia nad książkami gospodarskimi, notując wszystkie dochody i wydatki, kiedy przed dom zajechał zaprzężony w woły wóz z Keetmanshoop, transportujący na dworzec kolejowy produkty wysyłane na Diamentowe Wybrzeże. Wóznicą zaś przywoził zawsze przy tej okazji pocztę — głównie gazety, gdyż listy z Niemiec przychodziły rzadko, jedynie wtedy, kiedy napisał Friedrich. Stary sługa

doniósł niedawno, że „Australijczyka” ciągle jeszcze nie ma w Gorin; w ogóle nie zgłosił się. Tak więc porządku pilnuje nadal notariusz, a zarządca trzyma wszystko mocno w garści.

Poza tym żadna poczta nie przychodziła, jako się rzekło, więc tego dnia Richard zdumiał się wielce, kiedy wręczono mu list wyglądający na urzędowe piśmo. Obejrzał kopertę ze wszystkich stron i powiedział:

— Z kraju, Loro. Z zarządu naszego rodzinnego miasta. Ciekawe, czego oni mogą chcieć ode mnie.

Lora spojrzała z zainteresowaniem.

— Będziesz musiał otworzyć, żeby się dowiedzieć — zażartowała sobie z męża.

Richard roześmiał się.

— Jaka mądra Lora! No to zobaczmy!

Otworzył kopertę i rozłożył duży, uroczyście wyglądający arkusz. Przeleciał po nim wzrokiem i zbladł. Twarz mu zadrgała. Lora, która poznała już dobrze reakcje męża, spojrzała niespokojnie, ale o nic nie zapytała.

Richard zerwał się nagle i wydał jakiś na wpół zduszony okrzyk, popatrzył na Lorę nieprzytomnym wzrokiem.

— Co się stało, Richardzie? Jakies złe wiadomości?

— Loro! — zaczerpnął głęboko tchu. — Jednak zostaniesz panią na Gorin!
— wyrzucił z siebie.

Popatrzyła zaskoczona.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Nie, kochanie! — potrząsnął głową energicznie. — Wyobraź sobie, że ten Karl Sundheim, któremu stryj wszystko zapisał, nie żyje! Szukano go długo w Australii, a kiedy wreszcie natrafiono na jego ślad, okazało się, że zmarł na dwa miesiące przed stryjem, nie pozostawiwszy po sobie potomstwa. Z całej naszej rodziny żyją więc tylko ja i w ten sposób zostałem spadkobiercą stryja Heinricha, a jego ostateczna wola została spełniona. Ten list to wezwanie do przyjazdu w celu objęcia spadku.

Lora była początkowo, tak jak mąż, bardziej zaskoczona niż uradowana. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko i nieoczekiwanie. Przez chwilę stali, patrząc na siebie w zdumieniu, ale potem górę wzięła radość. Richard objął żonę i powiedział:

— Okazuje się, kochanie, że będziemy gospodarować w ojczyźnie wcześniej niż myśleliśmy, zanim zdążymy osiwieć.

Lora była wzruszona. Oboje znosili ciężkie warunki życia bez słowa skargi, pracując niezmordowanie przez cały ten czas; teraz błysnęła im nadzieja na życie w kraju ojczystym — pokusa życia pogodnego, bez trosk materialnych.

Richard pocałował ją i mocniej przytulił do siebie.

— Widzisz, teraz mogę stworzyć ci inne, łatwiejsze życie. I to cieszy mnie najbardziej. Nie myśl, że przekreślam lata spędzone tutaj, w Afryce; za żadne skarby świata nie wymazałbym ich ze swego życia. Mimo wszystkich trudności tego okresu miałem jednak uczucie, że moje siły rosną i krzepną. Wiele się tutaj nauczyłem. A poza tym oboje przekonaliśmy się wśród tych przeciwności, że możemy nawzajem na siebie liczyć. Ale teraz, kochanie, będę mógł wynagrodzić ci wszystkie ofiary i wyrzeczenia, i to jest cudowne. Powinno nareszcie być ci w życiu lepiej, moja kochana, najmilsza żono.

Lora miała w oczach łzy.

— Cieszę się ze względu na ciebie, Richardzie. Uwierz mi jednak, że i ja nie chciałabym wykreślić ze swojego życia tych przeżytych tutaj lat. Pracować i walczyć ramię w ramię z tobą było czymś pięknym i wspaniałym.

Długo jeszcze siedzieli razem i rozmawiali o tym, co jakby spadło na nich z nieba, a co od dawna uważali za stracone.

— Chyba jednak najbardziej cieszyć się będzie stary Friedrich — powiedział w końcu Richard.

Lora przytaknęła i dodała:

— Musimy go otoczyć staraniem, tak żeby mu było u nas dobrze.

Po chwili Lora lekko sposepniała, gdyż przypomniała jej się Hilda,

a razem z tą myślą nasza ją wizja nieuniknionego spotkania. Richard uchwycił spojrzenie żony — znał ją dobrze, więc wiedział, że jakaś niemiła myśl przemknęła jej przez głowę.

— Co się stało, kochanie?

— Nie będziesz mógł uniknąć spotkania z Hildą — powiedziała cicho.

Roześmiał się na cały głos i przyciągnął ją do siebie.

— Słodki, kochany głuptas! Myślisz, że Hilda jest jeszcze dla mnie niebezpieczna? Hilda, którą poznałem tak dobrze z jej najgorszej strony? Teraz, kiedy mam ciebie? Jak w ogóle możesz myśleć o czymś takim?

Lora roześmiała się, ale po chwili powiedziała z westchnieniem:

— Przyznam ci się, że jak pomyślałam o Hildzie, to niemal pożałowałam, że odziedziczyłeś Gorin. Widzisz, jaka jestem głupia...

Potrząsnął ją łagodnie za ramiona.

— To prawda: mały, słodki głuptas! Żadna kobieta nie zdołałaby odebrać ci mnie.

Objęli się i zaczęli całować, zapominając na dłuższą chwilę o wielkim spadku. Kiedy potem znów wrócili do rzeczowych rozważań, Lora zapytała znienacka:

— A co zrobimy z Ovambą?

Richard potarł czoło w zamyśleniu.

— Musimy z niej zrezygnować, a bydło i osadę sprzedać. Uwierz, że przyjdzie mi to z największym trudem.

— Mnie też. Boli mnie myśl, że jacyś obcy, obojętni ludzie będą mieszkać tu, gdzie byliśmy tacy szczęśliwi. Chociaż... Richardzie, wpadło mi w tej chwili do głowy...

— Co takiego, Loro?

— Pani Lind! Że też nie pomyśleliśmy o niej od razu! Kiedy była u nas na święta, martwiła się, że wszystkie lepsze farmy mają już właścicieli. Moglibyśmy jej sprzedać naszą osadę i bydło, a także mógłbyś przekazać jej swoje

uprawnienia dzierżawy z chwilą wyjazdu. Nie potrzebujemy przecież tak gwałtownie pieniędzy, mogłaby nas spłacić później, kiedy będzie miała z czego, a jest przecież bardzo gospodarna. W ten sposób pani Lind miałaby dom dla swoich dzieci. Pierwszego kwietnia ma dostać odszkodowanie, więc mogłaby spłacić większą część należności, a jeśli nie, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby poczekać. Co o tym sądzisz?

Richard ucałował ją gorąco.

— Sądzę, że jesteś cudowną żoną i że masz serce i głowę na właściwym miejscu. To wspaniały pomysł! Napisz do niej jeszcze dzisiaj. Należy ci się ta chwila radości. Ovamba dostanie się w dobre ręce, a wszystko, co tu zdziałalem, pomoże komuś, kto na to w pełni zasługuje. Także nabrzeże, które zbudowałem, przyniesie pożytek. Wspaniale, Loro! Jedźmy teraz do Martensów. Oczywiście, nie obejdzie się bez łez, kiedy pani Lena dowie się, że cię straci, ale w sumie oboje będą na pewno cieszyć się razem z nami. A pani Lind będzie też miłą sąsiadką.

Pani Lena rzeczywiście rozplakała się, słysząc, że Lora i jej mąż powracają do Niemiec.

— Och, Loro! Znalazłam w tobie taką dobrą przyjaciółkę, a Heinz był szczęśliwy, że Richard mieszka blisko nas, a tymczasem oboje wyjeżdżacie.

Lora objęła ją i zaczęła pocieszać.

— Nie płacz, kochanie. Zaprzyjaźnisz się z panią Lind równie mocno jak ze mną. Postanowiliśmy oddać Ovambę w jej ręce.

I Lora wtajemniczyła Martensów w plan osadzenia pani Lind w Ovambie.

— To znakomity pomysł. Nikomu tak tego nie życzę jak jej

— powiedział Heinz Martens żywo, chcąc zwalczyć ogarniające go wzruszenie.

Lora i Richard długo jeszcze rozmawiali ze swymi wiernymi przyjaciółmi, a kiedy ich w końcu pożegnali, mieli przedsmak rozstania o wiele boleśniejszego, kiedy będą wyjeżdżali do Niemiec.

Zaczął się dla nich teraz okres intensywnych przygotowań i narad. Lora napisała list do pani Lind, która pojawiła się w Ovambie w kilka dni później bez zapowiedzi. Po prostu wsiadła w Keetmanshoop na zaprzężony w woły wóz.

— Trzeba było dać nam znać, to wyjechałbym po panią samochodem — czynił jej wyrzuty Richard.

Pani Lind potrząsnęła głową ni to śmiejąc się, ni to płacząc.

— Nie mogłam sobie znaleźć miejsca po przeczytaniu listu pani Lory; listu bardzo pięknego. Wyruszyłam w drogę bez długich namysłów, no i jestem. Chciałam usłyszeć od was, moi kochani, czy to rzeczywiście prawda; czy rzeczywiście chcecie mi zaufać i zostawić wszystko, nawet jeśli nie będę mogła od razu was spłacić?

— Ależ tak, pani Lind! Moja żona natychmiast o pani pomyślała. Wyjeżdżamy od dziś za trzy tygodnie. Jeśli przybędzie pani do Ovamby na kilka dni przed tym terminem, będę mógł spokojnie wszystko pani przekazać. Chcemy też zostawić pani auto, żeby dzieci nie były zupełnie odcięte od świata. A spłatą należności niech się pani nie przejmuję. Poczekamy. Pani osoba jest najlepszą gwarancją.

Pani Lind objęła Lorę.

— Niech pani Bóg wynagrodzi za to, że pani o mnie pomyślała. Ovamba to dla mnie wymarzony raj, a wszystko, czego tu dokonaliście, będzie jak znalazł.

— Cieszymy się, że Ovamba pójdzie w dobre ręce. Mam nadzieję, że tutaj będzie pani nieco lżej, niż gdzie indziej zaczynać wszystko od nowa — powiedział Richard serdecznie.

Pani Lind uścisnęła mu dłoń.

— Nie znajduję dostatecznych słów podzięk.

— A my jesteśmy szczęśliwi, mogąc podziękować za tyle cennych rad, jakich nam pani nie szczędziła.

Richard zarezerwował — znowu na „Usambarze” — miejsca na powrót do Niemiec. Wysłał wiele telegramów do odpowiednich urzędów w rodzinnym mieście, żeby nie jechać w ciemno. Zgłosił także datę swego przybycia.

Kiedy pani Lind zjechała już do Ovamby na stałe, zdał jej całe gospodarstwo we wzorowym porządku. Nowy, opiewający na nią kontrakt dzierżawy farmy został przeprowadzony urzędowo, a prawo własności do osady przepisane na jej nazwisko. Pani Lind wysłała już do dzieci list ze szczegółowymi wskazówkami dotyczącymi podróży.

Lora i Richard spędzili jeszcze kilka dni w towarzystwie uszczęśliwionej pani Lind i pojechali z ostatnią wizytą do Martensów. I tym razem nie obyło się bez łez, przy czym płakała nie tylko pani Lena, ale także Lora.

— Jeżeli wybieriecie się na urlop do Niemiec, to pamiętajcie, że będziecie naszymi gośćmi w Gorin — powiedziała w końcu Lora.

Richard zaś dodał:

— A jeśli nazbieracie dość pieniędzy, to wracajcie do kraju na zawsze.

— Tylko wtedy, Richardzie, jeśli starczy nam na zakup własnego majątku. Bez tego byłoby nam w ojczyźnie zbyt ciasno po tylu latach spędzonych w Afryce. Ale zanim będziemy mogli wrócić, upłynie jeszcze sporo wody.

Lora i Lena objęły się po raz ostatni. Richard i Heinz uścisnęli sobie raz jeszcze ręce, po czym Sundheimowie odjechali.

Również rozstanie z panią Lind było ciężkie. Trzeba było wszystko przetrzymać, także pożegnanie z Ovambą, co obojgu przyszło z trudem.

Pani Lind odwiozła ich do Keetmanshoop autem, którym potem wróciła do Ovamby. A ponieważ farmerka musi. umieć wszystko — pani Lind radziła sobie świetnie i z samochodem. Sundheimowie pojechali pociągiem do Walvisbaai, gdzie wsiedli na pokład „Usambary”. Znajomy kapitan ucieszył się szczerze z pomyslniej odmiany losów młodej pary.

Podróż wydała się obojgu jednym wielkim świętem, bo po raz pierwszy mieli tyle czasu, żeby móc spokojnie zastanowić się nad sobą i bez przeszkód od rana do późna rozmawiać. Oboje byli przy tym nad wyraz szczęśliwi, że rozumieją się coraz lepiej i są sobie coraz bliżsi.

Znowu w kraju! Lora i Richard zamieszkali tymczasowo w jednym z hoteli w mieście, oczekując na załatwienie wszelkich formalności i przekazanie Richardowi dziedzictwa. Młoda para trzymała się bardzo na uboczu i nie utrzymywała z nikim stosunków, wyjąwszy Georga i Gretę Heimsów. Mimo to mówiono o nich wiele na mieście. Frankenstein również słyszał o tym, że Gorin ma jednak przypaść w udziale Richardowi, i szczerze się z tego cieszył. Inaczej niż Hilda, która dostała niemal ataku szału, dowiedziawszy się o nieoczekiwanym obrocie sprawy. Jej matka zdołała z największym trudem uspokoić ją na tyle, żeby zięć nie zorientował się, iż Hildzie chodzi w gruncie rzeczy tylko o osobę Richarda Sundheima.

— Jak myślisz, Hildo — powiedział któregoś dnia do żony — czy nie powinniśmy złożyć wizyty Richardowi i Lorze? Ostatecznie należą do naszej rodziny.

Ernst Frankenstein nigdy nie grzeszył subtelnnością, więc nie wysubtelniał również teraz, gdyż inaczej musiałby sam dojść do wniosku, że jest ostatnim człowiekiem, który ma prawo powoływać się na rodzinne związki z Richardem. Teraz już nie był ani trochę zazdrosny o Richarda. Należał do tych szczęśliwych natur tak głęboko przekonanych o własnej wartości, że uważał za wręcz niemożliwe, aby ktoś mógł przedkładać nad niego jakiegoś innego osobnika.

Hilda chciała w pierwszym odruchu energicznie zaprotestować, ale potem jej oczy rozjarzyły się złym blaskiem. Odżyło w niej nagle pragnienie, żeby w jakikolwiek sposób zniszczyć lub przynajmniej zmącić szczęście Lory. Nie wiedziała oczywiście, że Lora spotkała jej męża przed swoim wyjazdem do Afryki i że skłoniła go do wyznania swej winy staremu panu Sundheimowi.

— Masz rację, Ernst! Musimy złożyć im wizytę i pogratulować, ale odłożmy to do chwili, kiedy zamieszkają w Gorin.

— Jak chcesz, Hildo! Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli zaczekamy, dopóki się tam nie przeniosą. Lora nie żywi już chyba urazy do ciebie, że poniekąd wymówiłaś jej kiedyś dom. Tak jak ją znam, dawno o tym zapomniała.

Wizytę postanowiono więc odłożyć do stosowniejszego momentu.

Richard i Lora wprowadzili się do dworu w Gorin, gdzie Friedrich ze łzami w oczach powitał swego ukochanego panicza nie wiedząc, jak wyrazić przepętniającą go radość.

— Nie mogło stać się inaczej, panie Richardzie, jeśli jest sprawiedliwy Bóg na niebie. Jaśnie pan nieboszczyk z pewnością nie zaznałby spokoju w grobie, gdyby w Gorin miał nastać ktoś inny — oświadczył stary sługa.

Na młodą panią patrzył ciepło i z wielką sympatią. Richard napisał mu swego czasu w jednym ze swoich listów, ile zawdzięcza panie Lorze Darland, o której mówił stryj, a także powiadomił go, że właśnie się z nią ożenił. Lora zajmowała więc od dawna poczesne miejsce w sercu Friedricha. Richard za nic nie chciał, żeby Friedrich nadal pracował i przemęczał się, ale staruszek gorąco prosił o prawo usługiwania Richardowi dopóty, dopóki będzie w stanie temu podołać. Richard w końcu ustąpił i Friedrich został jego osobistym służącym.

Minął pewien czas, zanim młoda para przyzwyczaiła się do odmiennych warunków życia. Początkowo na przykład było im dziwnie, że nie widzą wokół siebie ciemnych twarzy, ale wkrótce przywykli. Lora była na wstępie zdumiona drogocennym umeblowaniem dworu w Gorin. Richard to zauważył i pewnego razu powiedział ze śmiechem:

— Zdaje się, że dopiero teraz uświadomiłaś sobie, w jakim prymitywie żyliśmy w Ovambie, prawda?

— Nie psiocz na Ovambę, Richardzie. To, co tam przeżyliśmy, było piękne i wspaniałe.

— Więc jednak nie podoba ci się w Gorin? — przekomarzał się dalej Richard.

— Ależ tak! — roześmiała się. — Bardzo mi się podoba. I będę uczyć się, jak godnie reprezentować tę rodową posiadłość. Obawiam się tylko, że rola farmerki z Ovamby leżała mi lepiej niż rola pani na Gorin.

— Na jakimkolwiek miejscu się znajdziesz, zawsze staniesz na wysokości zadania. To jest podziwu godne, że umiesz tak szybko dostosować się do każdej nowej sytuacji życiowej. Jestem z ciebie bardzo dumny, Loro.

Lora rzeczywiście bardzo szybko odnalazła się w nowych warunkach, a Ovamba ze wszystkim, co było tam miłe i niemiłe, zbladła i stała się z czasem

tylko drogim wspomnieniem. Lora zdawała sobie sprawę, że jako właścicielka Gorin zajmuje znacznie bardziej odpowiedzialną pozycję i że czeka ją wiele poważnych obowiązków; wiedziała też, że pomyślność wielu ludzi zależy w dużej mierze od niej i od Richarda, o czym nie wolno im było ani na chwilę zapominać. Im więcej jednak miała pracy i obowiązków, tym bardziej czuła się zadowolona i wolna. Z radością stwierdziła też, że jej mąż dopiero tu znalazł się na właściwym stanowisku, a jego praca i działalność przynosiły dobroczynne skutki o wiele większej liczbie ludzi niż w Ovambie.

Minęły już prawie trzy tygodnie, kiedy pewnego dnia przed dwór w Gorin zajechało auto, a po chwili służący przyniósł kartę wizytową. Lora przesunęła po niej wzrokiem i serce zabiło jej mocno. Niepewnym gestem podała mężowi wizytówkę zapowiadającą przybycie państwa Frankensteinów. Richard spojrzął i nachmurzył się.

— Nie mam zamiaru ich przyjąć — powiedział cicho ze względu na służącego czekającego przy drzwiach. — Pan Frankenstein mógłby jeszcze usłyszeć ode mnie parę przykrych słów, a na spotkanie z panią Hildą nie mam żadnej ochoty.

Lora spojrzała na męża niespokojnie.

— Boisz się spotkania z nią? — spytała równie cicho, tak żeby służący jej nie usłyszał.

Richard z uśmiechem potrząsnął głową.

— Nie, nie boję się, ale absolutnie nie mam ochoty jej widzieć.

— Przyjmijmy ich jednak, Richardzie. Plotkuje się nie tylko w Afryce Południowo-Zachodniej. Miasto będzie trzęsło się od plotek, jeśli zrobimy im afront.

— No, dobrze! — zgodził się Richard i zwróciwszy się w stronę służącego, dodał głośno: — Proszę wprowadzić tych państwa do saloniku.

Frankensteinowie znaleźli się w tym samym pokoju, w którym Ernst wyznał kiedyś Heinrichowi Sundheimowi swoje przewinienia. Teraz więc rozejrzał się wokół z niemiłym uczuciem i nagle obleciał go strach. Richard mógł przecież oskarżyć go w obecności Hildy o dawne sprawy. Ale potem pomyślał o Lorze. Nie, Lora nie dopuści do tego, żeby Hilda dowiedziała się czegokolwiek. Mimo

to nie czuł się dobrze przez tych kilka minut, kiedy wraz z żoną czekał na Sundheimów. Postanowił chwycić byka za rogi i nie dopuścić do tego, żeby Richard cokolwiek zdradził Hildzie.

Richard i Lora weszli do saloniku. Hilda była zdumiona, gdyż Lora bardzo zmieniła się na korzyść — szczęście dodało jej urody. Wyglądała bardzo wytwornie w popielatej sukni z matowego jedwabiu, z długimi rękawami i zapiętej aż pod szyję. Lora prezentowała się niezwykle miło i czarująco w tej prostej, a mimo to eleganckiej sukni. Dziś mogła z powodzeniem wytrzymać porównanie z Hildą; dziś już Hilda nie przyćmiewała jej i nie usuwała w cień. I o ile Lora zmieniła się na korzyść, o tyle Hilda — przeciwnie. Wiecznie złe humory, porywczność i niezadowolenie z życia mimo bogactwa odbiły się bardzo niekorzystnie na jej urodzie.

Na tę wizytę Hilda włożyła szczególnie efektowną toaletę mającą podkreślić jej urodę i ukazać ją w najkorzystniejszym świetle. Hilda postanowiła bowiem za wszelką cenę zawładnąć Richardem i odstąpić go od Lory. I to było teraz jej najgorętszym pragnieniem.

Ale już przy pierwszym zalotnym spojrzeniu mu w oczy, które patrzyły na nią zimno i — co gorsza — szyderczo, poczuła, że tę grę przegrała, zanim jeszcze ją zaczęła.

Z obłudną serdecznością podeszła zatem do Lory i objęła ją.

— Kochana, kochana Loro! Jestem taka szczęśliwa, że wróciłaś. Bardzo mi cię brakowało i szczerze bolałam nad tym, że rozstałyśmy się po małej sprzeczce. Zapomnij o tym, Loro, tak jak ja już zapomniałam. Powinnyśmy teraz dużo przebywać razem; musicie oboje często nas odwiedzać.

Lora zniosła cierpliwie tę fałszywą serdeczność, ale nie była w stanie odpowiedzieć jej prawdziwą życzliwością wiedząc, że stosunki między nią a Hildą zawsze będą powierzchowne.

Tymczasem Frankenstein podszedł do Richarda i z proszącym spojrzeniem wyciągnął do niego rękę.

— Chciałbym, jeśli pan pozwoli, drogi szwagrze, złożyć serdeczne gratulacje z powodu odziedziczenia Gorin. Bóg mi świadkiem, że nie ma człowieka, który by tak się z tego cieszył jak ja.

W słowach tych zabrzmiało tyle prawdziwego przekonania i tak wyraźna prośba o przebaczenie, że Richarda opuściły gniew i uraza. Uśmiechnął się, podał Frankensteinowi rękę i zamienił z nim parę słów, nie poruszając, ku jego ogromnej uldze, przeszłości. Także Lora podeszła do niego z uśmiechem, a w końcu również Richard musiał przywitać się z Hildą, która raz jeszcze spróbowała oczarować go spojrzeniem. Natrafiła jednak na tak ironiczny wyraz oczu Richarda, że ciarki przeszły jej po plecach. Podała mu rękę, on zaś pochylił się w ukłonie, ale nie na tyle głębokim, żeby ucałować jej dłoń.

— Serdecznie witam pana w ojczyźnie, szwagrze — powiedziała, zbierając wszystkie siły i próbując uśmiechu, który prześliznął się po nim bez wrażenia.

— To miłe z pani strony, szwagierko. Cieszę się, że widzę panią zdrową i zadowoloną — odparł Richard tak spokojnie i chłodno, że Hilda straciła resztki nadziei na przykucie go do swego zwycięskiego rydwanu.

Frankenstein zwrócił się do Lory:

— Czy gniewasz się jeszcze na mnie?

Lora zaprzeczyła ruchem głowy i uśmiechnęła się.

— Jak się miewa wasz synek, Ernst?

Twarz Frankensteina rozjaśniła się ojcowską dumą.

— Ach, Loro! Zobaczysz sama, jaki to wspaniały chłopak. Jest ruchliwy jak łąsaczka i zawsze rozbawiony; Jak na wymagania Hildy, zbyt rozbawiony. Ona dostaje teraz napadów nerwowych, kiedy mały bryka. Mnie to nie przeszkadza, bo uważam, że rozbrykane dzieci są zdrowe. Sam nigdy nie należałem do spokojnych, a mały jest i pod tym względem moim odbiciem. Przyjdź do nas koniecznie, Loro, zobaczyć go.

— Dobrze, Ernst, przyjdę.

Lora rzuciła okiem w stronę męża i niemal przeraziła się, widząc jego lodowate, ironiczne spojrzenie skierowane na Hildę. W jego oczach można było wyczytać beznamietną niechęć, choć prowadzili jedynie zdawkową wymianę zdań na temat Afryki Południowo-Zachodniej. Po chwili rozmowa zrobiła się ogólna i Lora zapytała Hildę o zdrowie jej matki, co Hilda skwitowała lekkim szyderstwem:

— Mama nie myśli o niczym innym i nic jej nie interesuje poza pokojem dzieciennym. Wprost ubóstwia swego wnuka.

W tych słowach było tyle zimnej niechęci do własnego dziecka, że Richard w duchu dziękował Bogu i Frankensteinowi za ocalenie go przed małżeństwem z Hildą.

Frankenstein roześmiał się na swój dobroduszny, hałaśliwy sposób.

— Nasza babunia jest zakochana w swoim wnuku niemal tak samo jak ja, a to mówi samo za siebie.

— Oboje rozpieszczacie go do granic ostateczności — powiedziała Hilda takim tonem, jakby chciała podkreślić, że nie rozumie, jak można rozpłaszczać takie dziecko.

— Myślę, że wasz synek jest bardzo miłym, zabawnym chłopcem. Przyjdę go wkrótce zobaczyć. Muszę przecież także odwiedzić mamę — zauważyła Lora.

Rozmowa toczyła się jeszcze mniej więcej kwadrans. Hilda przez cały ten czas usiłowała zajrzeć w zimne oczy Richarda, które jej nie miały nic do powiedzenia, natomiast spoglądały ciągle ku Lorze z wyrazem bezgranicznej miłości. W Hildzie wszystko się gotowało z wściekłości. W jej sercu narastała nienawiść do Lory, ale towarzyszyło temu poczucie bezsilności, świadomość, że nawet nie może tej nienawiści okazać. Szczęście Lory było tak widoczne i tak niewzruszone, że zamącić go nie była w stanie.

Z przeświadczeniem, że przegrała ostatnią bitwę, wsiadła do auta. Przez całą drogę do domu milczała wciśnięta w kąt samochodu, przygryzając wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. Musiała przy tym wysłuchiwać zachwyków męża, który rozwodził się nad tym, jak bardzo Lora zmieniła się na korzyść, jaka zrobiła się z niej czarująca, piękna pani, a także jakim sympatycznym chłopcem okazał się Richard i jaka jest z nich obojga dobrana, szczęśliwa para.

— Oni są ze sobą tak szczęśliwi, jak my, słodziutka — podsumował Frankenstein obejmując Hildę ramieniem.

Hilda poddała się temu, ale nie powiedziała ani słowa, wiedząc, że straci panowanie nad sobą, jeśli tylko otworzy usta. Czuła się w tej chwili najnieszcze-

śliwszą kobietą na świecie — cierpiącą bez jakiejkolwiek własnej winy. Natury takie jak Hilda nie są nigdy szczęśliwe i zadowolone.

Kiedy Sundheimowie zostali sami, Richard objął żonę i spojrzał głęboko w jej piękne, poważne oczy.

— Ach, Loro! Chyba byłem ślepy i głuchy, kiedy zakochałem się w twojej przyrodniej siostrze. Nie mogłem dziś doszukać się w niej niczego pięknego, a jej przenikliwy głos robił mi wręcz przykrość. O, Boże! O ileż jesteś od niej miłsza i bardziej pociągająca! Osoba Hildy nie może cię już niepokoić; ona ci w niczym nie zagraża. Żadna nie może mi ciebie zastąpić i żadna się do ciebie nie umywa. O ile bardziej dystyngowanie wyglądasz w porównaniu z Hildą! Jest w niej niewątpliwie coś prostackiego, czego albo przedtem nie zauważałem, albo czego nabyła dopiero jako żona Frankensteina. Najmiłsza, chcę tylko ciebie!

Ucałował ją gorąco, a Lora pozbyła się na zawsze wszelkich obaw. Jej szczęście było pewne i trwałe — wierzyła w to teraz mocniej niż kiedykolwiek. Przepęłniło ją uczucie gorącej wdzięczności do losu.

— Mój jedyny, byłabym do głębi nieszczęśliwa, gdyby Hilda jeszcze coś dla ciebie znaczyła. Chwała Bogu, że tak nie jest. Teraz... teraz nie umiałabym stanąć na uboczu i w milczeniu zrezygnować z ciebie.

Pogładził z czułością jej włosy.

— Chyba nie myślałaś poważnie, że mógłbym wyrzec się ciebie choćby tylko w myślach? Musiałbym wtedy wykreślić z mojego życia wszystko to, co było w Ovambie! Moje złote, słodkie, kochane stworzenie! Kocham cię z całego serca i z całej duszy. Nigdy żadnej kobiety nie mógłbym kochać tak jak ciebie!

Lora spojrzała na niego rozjaśnionymi oczami.

Szczęście, o które oboje tak ciężko walczyli, pozostało im wierne. Nadal mieli dużo pracy, ale to ich tylko cieszyło. Nad biurkiem Richarda wisiała oprawiona w proste ramy wyhaftowana przez Lorę dewiza: Na przekór złym mocom — wytrwać!

Wręczając mężowi ten podarunek, Lora powiedziała z uśmiechem:

— Wprawdzie wieszanie takich sentencji dowodzi złego gustu, ale dla nas była ona ważna. Dlatego powinieneś mieć ją stale przed oczami. Niech ci przypomina, ile człowiek może zdziałać, jeśli szczerze tego pragnie.

— I jeśli ma przy sobie takiego wspaniałego towarzysza życia jak ty. O tym nie wolno zapominać! — odparł Richard Sundheim, biorąc żonę w objęcia i ob-
sypując ją gorącymi pocałunkami.

TLR